

KATARZYNA KOBYLARCZYK

WEJDŹ NA SZLAK!



**KATARZYNA KOBYLARCZYK
WEJDŹ NA SZLAK!**

Kraków 2013



Małopolski Instytut Kultury
ul. Karmelicka 27, Kraków
tel.: +4812 422 18 84
www.mik.krakow.pl



instytucja kultury
Województwa
Małopolskiego

Redakcja merytoryczna: Joanna Nowostawska-Gyalókey
Konsultacja merytoryczna tekstów: Waldemar Brzoskwinia (*Krakowski Szlak Techniki*), Zoltán Gyalókey (*Małopolska Romańska*)
Redakcja: Ewa Ślusarczyk
Korekta: Agnieszka Stęplewska, Ewa Ślusarczyk
Projekt graficzny serii: Agnieszka Buława-Orłowska
Projekt graficzny i skład: Aneta Sitarz – manto
Dobór ilustracji: Joanna Nowostawska-Gyalókey
Przygotowanie do druku: Andrzej Karlik

Dołożyliśmy wszelkich starań, aby odnaleźć autora zdjęcia na s. 136–137. Jeśli rozpoznają je Państwo, prosimy o kontakt z wydawcą.

Na okładce: rodzina Noworolskich na wakacjach we Włoszech, pocz. XX w.; autor nieznany, z arch. W. Noworolskiego

ISBN 978-83-61406-92-1

© by Małopolski Instytut Kultury, Kraków 2013

Publikacja powstała w ramach XV Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego.

www.dnidziedzictwa.pl

Nakład: 9000 egz.
Druk: Know-How

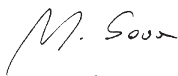
Współpraca:



Szanowni Państwo!

Przed nami jubileuszowa XV edycja Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego. Serdecznie zapraszamy na spotkanie z historią i kulturą regionu. Tym razem zachęcamy do odwiedzenia aż piętnastu obiektów – położonych na szlakach kulturowych – poznania ludzi i miejsc. Zaprezentujemy zabytki architektury romańskiej, dziedzictwo industrialne Krakowa, obiekty związane z okresem Młodej Polski, wille i dwory oraz drewniane kościoły wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego UNESCO. Towarzyszące zwiedzaniu wystawy, wykłady czy warsztaty wzbogacą ofertę wydarzeń, pozwolą spojrzeć na te miejsca nieco inaczej niż na co dzień, nawiązać z nimi autentyczną i osobistą relację i odkrywać nasze dziedzictwo z prawdziwą satysfakcją.

Wejdźmy na szlak!



Marek Sowa

Marszałek Województwa Małopolskiego

Szanowni Państwo!

Na pierwszy rzut oka książka, którą trzymają Państwo w ręku, opowiada o losach piętnastu małopolskich miejsc – różnorodnych, odległych od siebie, związanych z różnymi epokami. Kiedy jednak wglębiamy się Państwo w lekturę, odkrywają zaskakujące powiązania między pozornie obcymi sobie ludźmi, miejscami, zdarzeniami.

Zawartość tej książki dowodzi, że w świecie i w regionie losy ludzi i przedmiotów przedziwnie splatają się z sobą, a znaki tych połączeń ujawniają się w najbardziej nieoczekiwanych momentach.

Tegoroczne Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego poświęcone są szlakom kulturowym. Jeśli zechcą Państwo przejść z nami tę drogę, przekonają się Państwo, że formuła szlaku tematycznego ma w sobie głęboką mądrość, gdyż odsłania i wydobywa powiązania, które istnieją podskórnie, a których na co dzień często w ogóle nie jesteśmy świadomi.

Zapraszam Państwa do lektury i udziału w wydarzeniu.



Joanna Orlik

Dyrektor Małopolskiego Instytutu Kultury

PODZIĘKOWANIA

To wydawnictwo nie powstałoby, gdyby nie wysiłek, wiedza i zaangażowanie wielu osób. Chciałabym w tym miejscu podziękować przynajmniej części z nich.

Pani Danucie Lubelskiej dziękuję za przemile spotkanie i podzielenie się rodzinnymi wspomnieniami. Panu Wojciechowi Noworolskiemu – za rozmowę i opowieść o losach rodu Noworolskich. Państwu Ewie i Bolesławowi Wegenkom – za gościnę w Gorzeniu i wspomnienia o Emilu Zegadłowiczu. Pani Anieli Gromali – za opowieść o tacie, Józefie Piotrowskim.

Pan Grzegorz Mleczo podzielił się ze mną swą olbrzymią wiedzą na temat krakowskiego gazownictwa. Doświadczenie pana Waldemara Brzoskwini pomogło mi uniknąć błędów w rozdziałach poświęconych Krakowskiemu Szlakowi Techniki.

Nieocenionej pomocy w gromadzeniu materiałów udzielili mi zwłaszcza pani Alicja Biczysko z Prandocina, ks. Marian Głowacki – proboszcz kościoła w Prandocinie, prof. Igor Gościński z Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego, pani Joanna Grabowska z Archiwum ASP, pani Ewa Groń z firmy Tauron Dystrybucja SA Oddział Kraków, ks. Bogusław Jurczak – proboszcz kościoła w Binarowej, pani Gabriela Kiełtyka i pan Wojciech Sołtysiak z Muzeum w Wiślicy, pan Jerzy Korfel z Kościelca, ks. Zbigniew Kras – proboszcz kościoła w Lipnicy Murowanej, pan Janusz Kucharski – prezes Krakowskiego Towarzystwa Ochrony Zabytków Techniki, ks. Janusz Kuras – proboszcz kościoła w Sękowej, ks. Jan Majka – proboszcz kościoła w Kościelcu, pan Łukasz Skalny ze Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Krzeszowickiej oraz pani Małgorzata Sokołowska i pani Magdalena Szymańska z Muzeum ASP. Pani Marii Kmicie z Prandocina dziękuję za udostępnienie własnych, niepublikowanych materiałów. Pani Kazimierze Żmudzińskiej, pani Renacie Bartnik i pani Irenie Datoń z Domu Pomocy Społecznej w Płazie jestem wdzięczna za gościnę i opowieść o dawnym dworze Starzeńskich.

Pani Jadwidze Wielgut-Walczak zawdzięczam trafne sugestie oraz dostęp do Biblioteki ASP. Pani Małgorzacie Zbroszczyk z Biblioteki w Chrzanowie dziękuję za dokonanie rzeczy niemożliwych w nieprawdopodobnie krótkim czasie, a zwłaszcza za zebranie wspomnień mieszkańców Płazy. Pani Monika Walczak-Prystaj z Gabinetu Rycin ASP pomogła nam dotrzeć do znakomitego materiału ilustracyjnego.

Dziękuję też Iwonie Kobylarczyk.

SPIS TREŚCI

SZLAK MŁODOPOLSKA MAŁOPOLSKA	6	-----
1. Trony, krzesła, stołki, czyli żywoty dyrektorów Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie	8	
2. Kasztanowce i medycyna Dom Towarzystwa Lekarskiego w Krakowie	18	
3. Słodko-gorzka saga Kawiarnia Noworolski w Krakowie	26	
KRAKOWSKI SZLAK TECHNIKI	34	-----
1. Gazowy romans Marji S. Zespół gazowni miejskiej w Krakowie	36	
2. Szafirowe cacko wykwintu Zespół dawnej zajezdni tramwajowej w Krakowie	44	
3. Iluminacje najjaśniejszego pana Zespół elektrowni miejskiej w Krakowie	52	
SZLAK MAŁOPOLSKA ROMAŃSKA	60	-----
1. Szczegół Kolumba Kościół pw. św. Wojciecha w Kościelcu	62	
2. Perła na pagórze Kościół pw. św. Jana Chrzciciela w Prandocinie	70	
3. Trzydzieści centymetrów dalej Bazylika kolegiacka oraz Muzeum Regionalne w Wiślicy	78	
SZLAK DWORY MAŁOPOLSKI	86	-----
1. Co Karol kupił kochanej Karolinie Willa Domańskich w Nawojowej Górze	88	
2. W tajemniczym ogrodzie Pałac Starzeńskich w Płazie	96	
3. Raj pięciokrotnie utracony Dwór Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym	104	
MAŁOPOLSKA TRASA UNESCO	112	-----
1. Wycieczka z przewodnikiem Kościół pw. św. Leonarda w Lipnicy Murowanej	114	
2. Ołówek i pajęczyna kolorów Kościół pw. św. Michała Archanioła w Binarowej	122	
3. Piękny namiot z drewna Kościół pw. św. Filipa i Jakuba Apostołów w Sękowej	130	

Jeśli masz ochotę na kawę w najelegantszej kawiarni Krakowa, jeśli chcesz przejść się korytarzami, po których biegali niesforni uczniowie: Wyspiański, Mehoffer, Malczewski i Weiss, późniejsi wykładowcy i rektorzy, jeśli ciekawi cię, o czym w mniszej celi śnił dr Adrian Baraniecki (a czego „ścisłych granic nie podobna wyznaczyć”), jeśli chcesz zobaczyć najsłynniejsze kasztanowce Młodej Polski i usiąść na naprawdę niewygodnych krzesłach z epoki...



...WEJDŹ Z NAMI NA SZLAK *MŁODOPOLSKA MAŁOPOLSKA*

Fragment witraża *Apollo Spletany*, proj. S. Wyspiański;
fot. J. Nowostawska-Gyalóky, z arch. MIK (2012)

Szlak *Młodopolska Małopolska* biegnie przez pięć powiatów, obejmuje ponad sto obiektów i opowiada o losach ponad dwudziestu wybitnych twórców: malarzy, literatów, architektów. Wszystko po to, by pomóc poznać i zrozumieć niezwykle zjawisko, jakim była Młoda Polska. Kraków zajmuje szczególne miejsce na tej trasie. To tu mieściły się domy i pracownie artystów: Józefa Mehoffera, Stanisława Wyspiańskiego czy Włodzimierza Tetmajera. To tu – na ścianach galerii i deskach teatrów – wystawiano ich dzieła. To tu – w kościołach (św. Krzyża, Mariackim czy Franciszkanów) oraz w prywatnych mieszkaniach – zaklinali oni swoje wizje w malowidła, meble czy witraże. To tu uczyli się w Szkole Sztuk Pięknych i spotykali w kawiarniach: Jamie Michalika czy Noworolu. Kraków był ich domem, sceną, inspiracją, miejscem pracy i odpoczynku, błogosławieństwem i przekleństwem.

Dla uczestników XV Dni Dziedzictwa wybraliśmy trzy miejsca nierozzerwalnie związane z epoką Młodej Polski. W **Domu Towarzystwa Lekarskiego**, którego wnętrze zaprojektował Stanisław Wyspiański, czekają słynne kasztanowce, witraż *Apollo Spętany* oraz bardzo niewygodne krzesła. W **Akademii Sztuk Pięknych** pokażemy warsztat artysty tamtych lat, a na korytarzach poszukamy ech uczniowskich wybryków Mehoffera, Tetmajera, Weissza czy Malczewskiego. Zajrzymy też do **Biblioteki ASP przy ulicy Smoleńsk**, znajdującej się w miejscu, gdzie powstało niegdyś najstarsze muzeum Krakowa. Wreszcie – usiądziemy na kawę w eleganckiej secesyjnej **kawiarni Jana Noworolskiego w Sukiennicach**.

TRONY, KRZESŁA, STOŁKI, CZYLI ŻYWOTY DYREKTORÓW

W AKADEMII SZTUK PIĘKNYCH PRZY ULICY SMOLEŃSK
ŁĄCZĄ SIĘ DZIEJE DWÓCH WIELKICH INSTYTUCJI
DZIEWIĘTNASTOWIECZNEGO KRAKOWA: SZKOŁY SZTUK
PIĘKNYCH JANA MATEJKI ORAZ MIEJSKIEGO MUZEUM
TECHNICZNO-PRZEMYSŁOWEGO ADRIANA BARANIECKIEGO.

Książki dobrze leżą na pochyłych, wypolerowanych blatach. Pulpity mocno wpierają się nogami w podłogę; są masywne i ciężkie, tak ciężkie, że ani drgną, i w ogóle nie skrzypią.

To wciąż jedna z najlepiej urządzonych czytelni w Krakowie: dużo tu dziennego światła, dobra wentylacja. I cisza. Idealne miejsce, by czytać o sztuce.

Usiądźmy zatem i poczytajmy.

Będzie to skomplikowana opowieść o tronach, krzesłach i stołkach. Trony, krzesła i stołki będą zmieniać miejsca i siedziby, i coraz to kto inny będzie na nich zasiadał. Niektórzy będą tylko o nich marzyć. Inni dostąpią ich i tracą, i przez resztę życia (krótkiego z reguły) będą za nimi tęsknić, inni natomiast sami z nich zrezygnują.

Będzie to historia o sztuce i o władzy. Oraz o dwóch osobnych instytucjach, których znaczenia dla polskiej sztuki nie można przecenić. Ich historia – zrzędzeniem losu – na moment łączy się właśnie tu. W bibliotece.

AKADEMIA. STARY KRÓL

Pierwszy fotel to niemal tron. Ten, kto na nim zasiada, jest bogiem, władcą absolutnym i prorokiem. Po prostu Mistrzem.

Nazywa się Jan Matejko i od 1873 roku tworzy pierwszą niezależną uczelnię artystyczną – Szkołę Sztuk Pięknych.

Przed Matejką Kraków traktował edukację malarską po macoszemu. Artyści tkwili w jednym cechu z malarzami pokojowymi. Dopiero w 1818 roku Uniwersytet Jagielloń-

Fragment klatki schodowej w gmachu ASP
przy pl. Matejki; fot. J. Nowostawska-
Gyalókey, z arch. MIK (2012)

ski utworzył posady dla profesorów malarstwa, rysunku i rzeźby. Objęli je rysownik Józef Peszka, malarz Józef Brodowski i od 1819 roku rzeźbiarz Józef Reidlinger. Każdy z nich dawał sześć lekcji tygodniowo. Uczniowie kopowali kilka tych samych obrazów, rysowali gipsowe odlewy antycznych rzeźb (te odlewy do dziś stoją w korytarzach ASP), a dodatkowo malowali szyldy sklepów. Od 1818 roku malarzy wzięt pod swoje skrzydła Wydział Literatury UJ. W 1826 roku Akademia Sztuk Pięknych działająca w ramach UJ uzyskała prawa samodzielnego wydziału. Siedem lat później nieźle działająca Szkoła Rysunku i Malarstwa przeniosła się do gmachu Instytutu Technicznego. Nowy dyrektor – Wojciech Stattler – próbował wprowadzić do programu szkice z natury i pracę z modelem. Od 1850 roku smarkatego jeszcze Matejkę uczył tam rysunków młody Władysław Łuszczkiewicz.

Rewolucja nadeszła, kiedy uczeń dorósł, zdobył uznanie, sławę i pozycję. W 1873 roku władze powierzają Matejce posadę dyrektora, ziemię na Kleparzu i fundusze na budowę gmachu Szkoły Sztuk Pięknych.

Do budowy miejsca, w którym ustawi swój tron, Matejko angażuje trzydziestodwuletniego Macieja Moraczewskiego. Moraczewski ma własny dyrektorski fotel – rok wcześniej wygrał konkurs na stanowisko kierownika Urzędu Budownictwa Miejskiego. Być może dwa lata starszemu Matejce wydał się skądś znajomy. Otarli się o siebie podczas powstania styczniowego. Malarz dowoził wtedy broń do oddziałów, w których walczył Moraczewski.

W 1878 roku były powstaniec projektuje obok Barbakanu neorenesansowy gmach, wzorowany na pałacach Rzymu i Florencji. Na narożach ustawia dwa cynkowe odlewy orło-gryfów. W 1879 roku do budynku wprowadzają się Szkoła Sztuk Pięknych i jej król.

MUZEUUM. MNICH

Choć nigdy nie dowiemy się tego naprawdę (bo nie zachował się), drugi mebel niemal na pewno nie jest fotelem. Może bliżej mu do zydła. W celi klasztoru Franciszkanów zasiada na nim lekarz i kolekcjoner Adrian Baraniecki, twórca pierwszego krakowskiego muzeum.

Baraniecki wrócił niedawno z Wielkiej Brytanii. Wcześniej był też w Paryżu. Spędził za granicą cztery lata, uciekając przed represjami po powstaniu styczniowym. W Londynie zachwyciło go Muzeum Kensingtonskie – ekspozycja, która powstała, by odpowiedzieć na pytanie: czy można produkować przedmioty masowo, a jednocześnie pięknie? Muzeum pokazywało, że można. Uczyło, jak w praktyce łączyć sztukę i przemysł. Gromadziło wyroby z różnych epok, prezentowało sposoby ich wykonania i prowadziło działalność edukacyjną, by podnieść poziom szkolnictwa zawodowego i wyrabiać w społeczeństwie poczucie dobrego smaku.

Jeszcze w Londynie Baraniecki doszedł do wniosku, że chciałby zrobić coś podobnego w kraju. W Paryżu i Londynie stopniowo kupował eksponaty do przyszłego muzeum. Zgromadził ich pięć tysięcy – i niemal drugie tyle książek. Część przysłał, część osobiście przywiózł do Krakowa. Przekazał je miastu.

Wolne Miasto Kraków pod wodzą prezydenta Józefa Dietla wkraczało właśnie na drogę postępu. Dietl zapowiedział, że uczyni je czystą, zdrową i ozdobną siedzibą nauki, handlu i przemysłu. Baranieckiemu odpowiadała ta wizja.

Kraków nie ma wciąż żadnego muzeum; muzeum ze zbiorami Czartoryskich powstanie dopiero za osiem lat. Nie istnieje Muzeum Narodowe. Baraniecki i jego pięć tysięcy eksponatów są czymś bez precedensu.

Trafiają do klasztoru.

To właśnie tam – u Franciszkanów – w 1868 roku w zimnej mniszej celi staje dyrektorski zydeł dra Adriana Baranieckiego. Kolekcjoner nigdy nie narzeka – ani na

Szkoła Sztuk Pięknych w Krakowie,
pocz. XX w.; autor nieznan, z arch.
Biblioteki Głównej ASP,
Gabinet Rycin



niewygodę, ani na brak pensji. Jako dożywotni kierownik z zapalem organizuje Muzeum Techniczno-Przemysłowe, a nocami śni o czymś jeszcze większym, czymś ogromnym, czego „ściśłych granic nie podobna zaznaczyć”.

Marzy o muzeum ludzkiej cywilizacji.

AKADEMIA. UPIÓR I

Na korytarzach Szkoły Sztuk Pięknych Mistrza praktycznie się nie widuje. Siedzi na tronie gdzieś „na górze” i zdobi podległe sobie królestwo niczym korona na wieży Mariackiej. Mówi się o nim szeptem.

Tu, na dole, władzę ziemską dzielą się profesorowie, woźni Tryba i Migoń oraz ich wiecznie skłócone żony, które czasem służą uczniom za modelki. Służą, oczywiście, w ubraniach. Naga kobieta w murach szkoły – to nie do pomyślenia. Raz jeden Lolo Polityński, Tadek Okoń i Stefan, bratanek Mistrza, sprowadzają po kryjomu modelkę. Zamykają się z nią naga i z zapalem rysują, póki ktoś nie idzie na skargę. Nie wylatują tylko dlatego, że wstawia się za nimi sędziwy profesor Loefler i wszyscy boją się, że dostanie zawału.

Zamiast gołych modelek rysuje się modeli i szpargały. Modeli jest dwóch, lecz portretuje się głównie Antka. Drugi – rasowy murarz z Ludwinowa – ma, zdaniem profesorów, kolana za grube jak na ideały antyku. Natomiast szpargały do rysowania – zbroje, karabele, siodła, tygrysy skóry – gromadzi Mistrz. Co śmielsi (szeptem) mówią, że pokój, gdzie stoi jego tron, to rupieciarnia, nie pracownia.

W 1874 roku szkoła dzieli się na sześć oddziałów: cztery rysunkowe i dwa malarskie, a w 1877 powstaje „specjalna szkoła malarstwa historycznego”. Do „specjalnej” uczniów według sobie znanych kryteriów dobiera sam Mistrz.

Wojciech Weiss ma piętnaście lat, kiedy Matejko, patrząc na jego rysunki, każe włączyć go w poczet słuchaczy szkoły.

MUZEUM. NAUCZYCIEL PANIEN

W klasztorze Franciszkanów Adrian Baraniecki gromadzi kopaliny, surowce skalne i minerały szlachetne, nasiona i narzędzia rolnicze, maszyny, modele gmachów, mostów

Alfons Karpiński, Wojciech Weiss oraz modelka w majsterszuli; modelka pozowała do obrazu Weissa *Akt leżącej modelki w Meisterschule*, 1897; autor nieznan, z arch. Biblioteki Głównej ASP, Gabinet Rycin



i statków, a także instrumenty muzyczne, stroje i najpiękniej zaprojektowane wyroby codziennego użytku. Liczba eksponatów sięga trzydziestu tysięcy sztuk. Dary płyną z całego świata.

Stanisław Szolc-Rogosiński wprost z Kamerunu i Gabonu przysyła egzotyczne wyroby codziennego użytku i kość słoniową. Benedykt Dybkowski przekazuje z Syberii futrzane stroje Czukczów, miniaturową zagrodę buriacką i ozdoby z kości morsa. Konstanty Jelski oddaje zbiór czarnej ceramiki z Peru. Kolekcjoner Józef Poller daruje szkło i porcelanę, w tym szesnastowieczny puchar wenecki. Ktoś oddaje gotycki ornat haftowany jedwabiem, ktoś inny fajanse z Pacykowa, litewską sochę i pudło ze słomy.

Adrian Baraniecki ma już prawie cały świat.

Ale to mu nie wystarcza. Chce więcej. Chce uczyć. W klasztornych pomieszczeniach wydziela salę na trzysta krzeseł. Od 1868 roku w niedzielę i święta głosi się tam wykłady popularyzatorskie. Baraniecki idzie krok dalej – uruchamia Wyższe Kursy dla Kobiet. To jedyne miejsce w Krakowie, gdzie panny i mężatki mogą kontynuować naukę po pensji. Kształcą się w naukach przyrodniczych i historyczno-literackich, handlu i gospodarce oraz sztukach pięknych. Znany badacz starożytności, Władysław Łuszczkiewicz, przychodzi, by wyklądać im historię sztuki i ornamentu.

W klasztorze zaczyna brakować miejsca.

Baraniecki musi pomyśleć o czymś większym. Właśnie kończy się remont Sukiennic – przez jakiś czas kolekcjoner ma nadzieję zająć ich pierwsze piętro. Przegrywa



z Muzeum Narodowym. W 1888 roku Rada Miasta postanowiła budowę Muzeum Techniczno-Przemysłowego uczcić czterdziestolecie panowania Franciszka Józefa. Znajduje się pięćdziesiąt tysięcy guldenów i działka. Ale cesarz nie zgadza się na nazwanie placówki swoim imieniem, skoro żyje jej twórca Baraniecki. Władze wycofują się, pieniądze przepadają, na działkę wchodzi Teatr Miejski.

Adrian Baraniecki nigdy nie doczeka siedziby dla swojego muzeum. Nie uda się to także jego następcy na dyrektorskim stołku – Janowi Kacprowi Wdowiszewskiemu.

Nad Muzeum Techniczno-Przemysłowym zbierają się czarne chmury.

AKADEMIA. UPIÓR II

Dla Wojciecha Weissa wstęp do Szkoły Sztuk Pięknych to spełnienie snów. Jako gimnazjalista modlił się o to w pacierzu.

Teraz uczy się szkicować antyczne posągi i głowy. Chadza do prosektorium. Rysunek aktu i wykłady z kultury ojczystej ma z profesorem Łuszczkiewiczem, który często zabiera klasę na krajoznawcze wycieczki. Młodzi malarze nazywają go Smokiem, boją się go, lecz lubią. Prawdziwym przerażeniem napawa go za to Matejko, który schodzi z wyżyn, by korygować uczniowskie prace. Weiss z treścią oczekuje jego słów. Niski, siwiejący Mistrz jawi mu się upiorem z bizantyjskich mozaik: w pergaminowej twarzy błyszczą mu czarne, ogniste oczy.

Matejko rzeczywiście jest surowy. W jego szkole obowiązują rygor i moralność, nie wolno palić papierosów ani cygar i śmiecić, a obecność jest obowiązkowa. Uczniowie drżą przed nim i kochają go, a jego sława i miłość ciąży im jak gruba kołdra. Mistrz wymaga, by malować tak jak on: historycznie, patriotycznie i mrocznie. Niektórzy buntują się. Malczewski posłusznie szkicuje zamordowanie Andrzeja Tenczyńskiego i oddanie Bryzeidy Agamemnonowi, ale wysiada na uduszeniu Ludgardy przez niewiasty służebne. – Ta cała akademia to śmietnik artystyczny! – wybucha. – Ja z koryta nie będę pić, gdzie widzę w kryształach wodę!

W listopadzie 1893 roku profesor Łuszczkiewicz wchodzi do pracowni z zatroskaną miną. – Tedy, panowie, Mistrz

Wycieczka artystyczno-naukowa
prof. Władysława Łuszczkiewicza,
1893; autor nieznany, z arch.
Biblioteki Głównej ASP, Gabinet
Rycin

W tle: fragment posadzki w gmachu ASP
przy pl. Matejki; fot. J. Nowostawska-
Gyalókey, z arch. MIK (2012)

Matejko umarł – mówi. – Jesteście w tym szczęśliwym położeniu, że jak żołnierze Napoleona będziecie mówić – walczyliśmy pod jego sztandarami...

Ale żołnierze Napoleona niespecjalnie garnęli się pod sztandary. Matejko nie doczekał się spadkobiercy w żadnym ze swych najlepszych uczniów. Jego idei nie chcieli kontynuować ani Malczewski, ani Gotlieb, Fałat, Weiss, Mehoffer, Tetmajer czy Wyspiański.

Władzę w szkole tymczasowo przejmuje profesor Łuszczkiewicz, ale już w 1895 roku na dyrektorskim tronie zasiada ktoś zupełnie nowy. Julian Fałat.

MUZEUM. KONSTRUKTOR

Nad muzeum zbierają się czarne chmury. Przez prasę przecacza się dyskusja o tym, jak powinno działać i czy w ogóle jest potrzebne. Lucjan Rydel grzmi, że bytuje sennie, dając słabe oznaki życia. Zaczyna się polemika, w której „artyści” od sztuki stosowanej ściągają się z „technikami”, którzy chcą, żeby MTP kształciło majstrów.

Wreszcie, niespodziewanie, „Czas” publikuje trzynastopunktowy manifest architekta i radcy budowlanego Tadeusza Stryjeńskiego. Stryjeński ma pomysł i wizję. Podejmuje się budowy nowego gmachu i reorganizacji muzeum.

W 1907 roku zostaje dyrektorem.

Zaczyna od selekcji. Zebranymi przez Baranieckiego zbiorami dzieli się z Gabinetem Przyrodniczym UJ i laboratorium Akademii Handlowej. Organizuje bibliotekę. Potem, w poszukiwaniu inspiracji, rusza na objazd muzeów przemysłowych w połowie Europy. Żadne mu się nie podoba.

W 1908 roku projektuje budynek dla MTP według własnej wizji. Miasto kupuje działkę przy ulicy Smoleńsk. Stryjeński wymyśla, by zbudować tam gmach nieco zbliżony do litery Z, złożony z dwóch brył połączonych przewiązką i zawiłym systemem korytarzy. Planuje bibliotekę, sale wykładowe i przestrzeń muzealną, którą będzie można aranżować drewnianymi ściankami. Natomiast z dziedzińca – wymyśla – będzie się wchodziło do umieszczonych na parterze warsztatów. Stryjeński chce, żeby w muzeum wrzało jak w ulu, a rzemieślnicy, majstrowie i artyści wszystkich dzie-

dzin wzajemnie się inspirowali. Zaprasza introligatorów, ślusarzy, stolarzy, szewców, krawców, tkaczy, drukarzy...

W 1909 roku rozpoczyna się budowa. Stryjeńskiemu pomaga utalentowany Franciszek Mączyński. Pracują w absolutnie nowoczesnej technice żelbetu. Eksperymentowali z nią już, wznosząc gmach Starego Teatru. Sceptycy z niepokojem patrzą na śmiałą konstrukcję. Wątpią, czy Stryjeński opanował żelbet tak dobrze, jak twierdzi. Ponoć podczas prac przy teatrze coś tam się obsuwało...

Nikt nie przewiduje tego, co wydarza się w 1910 roku. Nocą połowa podciągniętego pod dach budynku wali się jak domek z kart.

Trzeba dodatkowo podeprzeć stropy, wprowadzić korekty do projektu. Budowa przeciąga się do 1914 roku. Stryjeński nie doczeka końca. Zrezygnuje i odda dyrektorski fotel Stanisławowi Tillowi.

AKADEMIA. KOCHANEK SŁOŃCA

Julian Fałat robi w szkole prawdziwą rewolucję. Wojciech Weiss czuje, jakby dyrektor pootwierał okna w pracowniach. Do neorenesansowego gmaszyska wlewa się tęcza barw. Czarny kolor przestaje istnieć. Teraz najważniejszy jest błękit pruski, odcień słonecznego nieba. Uczniowie smarują nim nie tylko płótna, lecz także klamki i siebie nawzajem.

Fałat uchyla regulamin Matejki. Malarstwo historyczne zastępuje pejzażem. Profesora Łuszczkiewicza i kilka pokrewnych mu dusz belferskich odsyła na emeryturę. Zatrudnia Mehoffera, Wyspiańskiego i Axentowicza. Wpuszcza też do szkoły (poza słońcem) nagie modelki; właśnie taka, wsparta na ramieniu Wojciecha Weissa, spogląda ze zdjęcia z tamtych lat.

W 1900 roku cesarz Franciszek Józef zgadza się przekształcić szkołę w akademię na prawach wyższej uczelni.

Po skończeniu nauki Wojciech Weiss zostaje w akademii. Od 1907 roku uczy rysunku i malarstwa. W 1918 roku sam zasiada w wygodnym, miękkim fotelu rektora. Jedną z pierwszych decyzji, jakie podejmie, będzie wpuszczenie na ASP kobiet. Tym razem w charakterze studentek.

Fragment kutej balustrady z klatki schodowej gmachu ASP przy ul. Smoleńsk 9, proj. J. Czajkowski; fot. J. Nowostawska-Gyalókey, z arch. MIK (2012)

To one zwłaszcza będą go dobrze wspominać. Zapamiętają, że był zawsze delikatny i uprzejmy, a korektę zaczynał od „wybaczenie, że przeszkadzam”. Mówił cicho, tak żeby krytycznych uwag nie słyszeli koledzy ocenianego, czasem zaś długo i zawile przemawiał o muzyczności w malarstwie.

Znajdą się jednak uczniowie, którzy będą mieć odmienne zdanie o delikatnym rektorze. Z jego zajęć zapamiętają nudę oraz ciszę, przerywaną tylko łomotem pędzli.

Będą myśleli, że to wszystko, co (cicho) mówi rektor, jest przestarzałe, zakurzone i nieprzystające do nowoczesnego świata. I że przydałaby się jakaś rewolucja.

MUZEUM. RZEMIEŚLNICY

Tymczasem gmach przy ulicy Smoleńsk zapełnia się. Rzeczywiście, wrze w nim jak w ulu. Do sal wprowadza się muzeum oraz wydzielony z niego Instytut dla Popierania Przemysłu. Nowa jednostka bierze też pod swoje skrzydła kooperatywę artystów i rzemieślników znaną jako Warsztaty Krakowskie.

Członkowie warsztatów zabierają się do produkcji wyposażenia gmachu. Wojciech Jastrzębowski urządza salę wykładową. Nad wejściem do biblioteki wmurowuje *Jelenia św. Huberta*, swoje kolorowe sgraffito, planowane uprzednio do Sali pod Ptakami na Wawelu. Do różnokształtnych okien na klatce schodowej Henryk Uziembło projektuje monumentalne, lecz stonowane kolorystycznie witraże. Ściany hallu ozdabia się podkolorowanymi płytami Zofii Stryjeńskiej, przedstawiającymi bogów słowiańskich, a na suficie zawiesza żyrandol Kazimierza Witkiewicza. Józef Czajkowski kuje balustrady i osłony na grzejniki. Robi też meble do pokoju dyrektora. Kolejni władcy muzeum będą odtąd zasiadać w tzw. gabinecie męskim, przy dębowym, politurowanym komplecie z pracowni Andrzeja Sydora.



To także wtedy Karol Homolacs projektuje wyposażenie biblioteki. Obmyśla do niej ciężkie, masywne meble, które ciężko przestawić. Takie meble – przewiduje – nie skrzywią, kiedy się o nie oprzeć...

AKADEMIA. REWOLUCJONISTA

Rewolucja nadchodzi po wojnie. Dowodzi nią Eugeniusz Eibisch, o którym mawia się, że konspirował z samym Leninem (może przy kawie w Noworolu?). Eibisch i jego kapiści mają dość impresjonistycznego patrzenia w niebo. W 1946 roku, w tajnym głosowaniu, decydują o wysłaniu Wojciecha Weissa na głodową emeryturę.

Nie wiedzą, że człowiek, którego tak bardzo chcą się pozbyć, dysponuje talentem uniwersalnym i elastycznym. Potrafi namalować obraz, który w 1950 roku – tuż przed śmiercią – przywróci mu profesorskie krzesło.

Nie wiedzą także, że wkrótce ich samych zmiecie rewolucja młodszych i bardziej radykalnych.

MUZEUM. BIBLIOTEKA

W tym samym roku, w którym obraz *Manifest* przywraca Wojciechowi Weissowi posadę na ASP, kończy się historia Muzeum Techniczno-Przemysłowego. Władze nie potrzebują takiej instytucji. Muzeum zostaje zamknięte. Próbkami marmurów, kolekcją kłódek i podków, muszlami, wypchanymi ptakami, szkieletami zwierząt i wszystkimi innymi rzeczami, które z takim zapałem gromadził Adrian Baraniecki, dzieli się muzea – Narodowe, Historyczne, Etnograficzne, Zoologiczne...

Do gmachu przy ulicy Smoleńsk wprowadza się ASP. Biblioteka ze zbiorem książek, albumów, plakatów i rycin oraz meblami Homolacsa będzie odtąd służyć studentom akademii. W ten sposób historia dwóch instytucji, których znaczenia dla polskiej sztuki nie sposób przecenić, niespodziewanie się połączy.

I taki niech będzie koniec tej opowieści o artystach, wizjonerach, upiorach, rewolucjonistach, despotach i dyrektorach. Oraz o meblach, na których zasiadali.

KASZTANOWCE I MEDYCyna

KUTE GAŁĘZIE I KWIATOSTANY KASZTANOWCA, KTÓRE ZDOBIĄ BALUSTRADĘ SCHODÓW DOMU TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO W KRAKOWIE, SĄ JEDNYM Z NAJLEPIEJ ROZPOZNAWALNYCH DZIEŁ POLSKIEJ SECESJI. PODOBNIIE JAK CAŁE WYPOSAŻENIE BUDYNKU, ZAPROJEKTOWAŁ JE STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

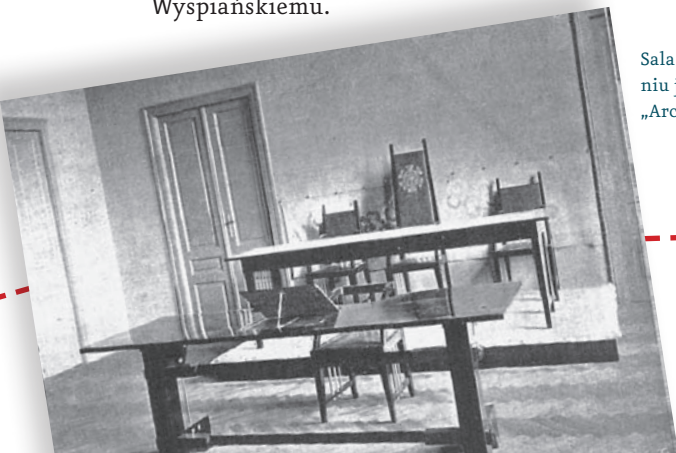
Pierwsze wrażenie nie jest złe. Nie wiadomo tylko, co zrobić z rękami. Podłokietniki są półokrągłe, strome i śliskie. Ręce natychmiast się z nich zsuwają.

Potem jest tylko gorzej. Kiedy opadną ręce, oparcie ujawnia swoją kanciastość. Kłuje w kręgosłup i każe się wyprostować. Wtedy daje o sobie znać siedzisko. Jest twarde, skórzane i dziwnie wypukłe. Człowiek czuje się na nim tak, jakby siedział na piłce – cały czas trzeba pilnować, by nie zjechać w dół.

Medycy, którzy po raz pierwszy zasiadają na krzesłach, bezskutecznie szukają wygodnej pozycji. Przypominają sobie, że istotnie, zamawiając meble, podkreślali: chcą stolki, nie fotele, jednak zupełnie nie spodziewali się tego, na czym teraz się wiercą. Wreszcie ktoś nie wytrzymuje i idzie do projektanta na skargę.

Projektant prychnie ze zniecierpliwieniem. – Kiedy krzesła są wygodne, wówczas na posiedzeniach śpią – mówi. – Krzesła urządzone są tak, aby ktoś, kto się zdrzemnie, zsunął się łagodnie na podłogę.

Być może właśnie wtedy medycy – pierwszy i jedyny raz – żałują, że ich prezes, Julian Nowak, zlecił zaprojektowanie wnętrza Domu Towarzystwa Lekarskiego Stanisławowi Wyspiańskiemu.



Sala Posiedzeń TLK po oddaniu jej do użytku w 1905 r.; „Architekt” 1905, z. 4

WIZYTA. TO POTRWA OSIEM LAT

Poznają się jako ludzie młodzi. Julian Nowak, trzydziesto-dwuletni lekarz po studiach w Paryżu, przyjeżdża do Krakowa objąć docenturę. Odwiedza Sukiennice, gdzie dwudziestoosmioletni Wyspiański wystawia pastele. Chce je zakupić, lecz pośrednik wystawia go do wiatru. Nowak musi sam zapukać do pracowni Wyspiańskiego.

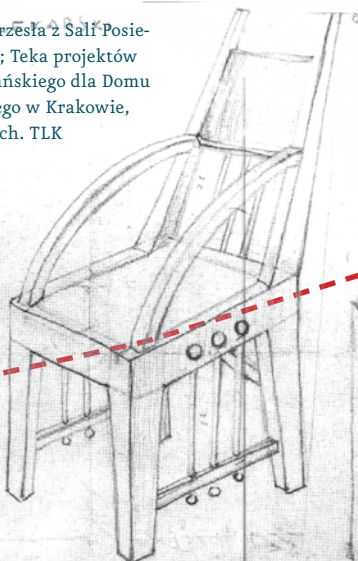
Kiedy artysta szuka pasteli na sprzedaż, lekarz podtrzymuje konwersację. Mówi o francuskim gotyku. Malarz słucha. Zna Paryż, widział mury Carcassone, rozumie sztukę średniowiecza (chadzał na studenckie wycieczki z profesorem Łuszczkiewiczem!). Im dłużej trwa rozmowa, tym mocniej obaj – i medyk, i malarz – czują, że chcieliby spotkać się jeszcze raz.

Tak zaczyna się znajomość, która potrwa osiem lat. Malarz będzie odwiedzał medyka, malował jego dzieci i słuchał, jak żona gra na fortepianie. W 1904 roku stworzył portret, na którym lekarz będzie miał zadumane spojrzenie i wąsy falujące jak wodorosty.

Lekarz będzie troszczył się o zdrowie i dochody malarza. Kiedy trzeba, pożyczy mu pieniądze. Będzie pośredniczył między nim a zleceniodawcami i kupował dzieła. Zawiesi w salonie projekty witraży malarza (dla przyzwoitości oprawi je w złote ramy). Pokaże mu Tatry. Nie będzie pretendował do miana przyjaciela. Wie, że dojrzały artysta mieć ich nie może. Jest natomiast gotów być przyjacielem sztuki Wyspiańskiego. Niezwykle oddanym przyjacielem.

Projekt krzesła z Sali Posiedzeń TLK; Teka projektów S. Wyspiańskiego dla Domu Lekarskiego w Krakowie, 1904, z arch. TLK

Krzesło z Sali Posiedzeń TLK, proj. S. Wyspiański; fot. J. Nowostawska-Gyalókey, z arch. MIK (2012)



Dlatego, kiedy w 1904 roku na działce przy ulicy Radziwiłłowskiej staje wyczekiwany Dom Towarzystwa Lekarskiego, Julian Nowak nie będzie się wahał. Wie, komu zlecić zaprojektowanie reprezentacyjnych wnętrz.

DIAGNOZY: WŚCIEKLIZNA, OSPA, DUR

Towarzystwo Lekarskie Krakowskie działa od 1866 roku. Zakłada je dr Aleksander Kremer. Medykom już od dawna brakowało klubu, gdzie mogliby śmiać się z zawodowych żartów i wymieniać wiedzę. Do TLK zapisują się chirurdzy Józef Dąbrowski i Józef Jaszczurowski, ginekolodzy Teofil Stępiński i Antoni Mars, pediatra Maciej Leon Jakubowski, położnik Adam Czyżewicz, okulista i lekarz sądowy Leon Blumenstok oraz Adrian Baraniecki, twórca Muzeum Techniczno-Przemysłowego. Wkrótce dołączają do nich m.in. Henryk Jordan, Ludwik Rydygier, Odo Bujwid. Z Nawojowej Góry z wykładami o adrenalinie przyjeżdża dr Napoleon Cybulski, w przyszłości jeden z prezesów TLK...

Rozprawiają o nieznanym przyczynach wścieklizny i o szczepieniach krowianką przeciw ospie. Dochodzą do wniosku, że zachorowania na dur brzuszny biorą się z zanieczyszczenia wody pitnej kloaką i wnioskuje o budowę wodociągu. Lobbują za polskimi lekami i uzdrowiskami (leki polecane przez TLK, poza niską ceną i wysoką skutecznością, muszą cechować się też elegancją wykonania). Którejś wiosennej deszczowej nocy dr Józef Oettinger tak przemoknie w drodze do pacjenta, że rozeźlony podda kolegom pod rozważenie następujący wniosek: nocą powinna gdzieś stać specjalna dorożka, którą lekarz mógłby dojechać do chorego! Koledzy zgodzą się, choć żaden nie wpadnie na pomysł, by tę nocną służbę nazwać pogotowiem ratunkowym.

Początkowo spotykają się w prywatnych mieszkaniach. To jednak dla wszystkich jest uciążliwe. Najwyższa pora zbudować siedzibę: przestronny klub typu angielskiego.

KASA (ZDROWYCH I CHORYCH). SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ TYSIĘCY KORON

Ruszają zbiórki i składka. Wkrótce w kasie TLK leży siedemdziesiąt pięć tysięcy koron. Gmina oddaje medykom działkę przy ulicy Radziwiłłowskiej.

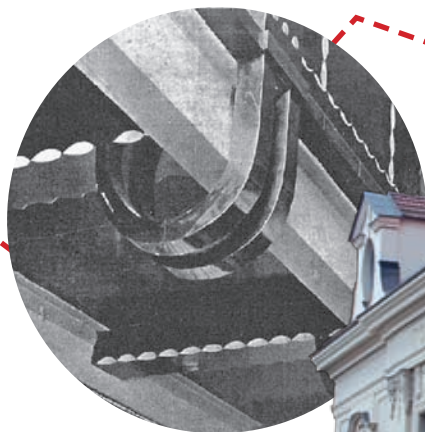
Inżynier Władysław Kaczmarek i współpracujący z nim architekt Ignacy Sowiński projektują i wznoszą tam skromny, lecz wykwintny dom, niemal bez ozdób na fasadzie („fundusze nasze były szczupłe” – usprawiedliwia się Julian Nowak na łamach prasy). Wiosną 1904 roku rusza budowa, w listopadzie gmach stoi. Ma okazałą klatkę schodową i piętro mieszczące salę zebrań, bibliotekę i pokój bilardowy. Doktor Julian Nowak, który od roku jest prezesem towarzystwa, stara się o wszystkie urządzenia nowoczesnego komfortu. Zakłada telefon, kanalizację, centralne ogrzewanie, światło elektryczne i wentylatory, które potrafią w ciągu siedmiu minut całkowicie wymienić powietrze w sali posiedzeń. Chce, by za skromną fasadą kryło się piękne i wygodne wnętrze.

Wypiański podejmuje się je stworzyć.

Medycy przedstawiają mu potrzeby i budżet – i zostawiają swobodę działania. Proszą tylko, by wystrój domu nawiązywał do przedmiotu ich badań – świata przyrody.

Wypiański przystaje. Ma już pomysł na stół, schody, kilimek i ławki...

Dom TLK; fot. J. Nowostawska-Gyalókey, z arch. MIK (2012)



Ozdobny detal z galerii
mieszczącej się w Sali
Posiedzeń TLK; „Architekt”
1905, z. 4



OPERACJA NA WNĘTRZU. DELIKATNA METALOWA PIANA

Obejmuje myślą cały dom: od westybulu po toalety. Obmyśla kształty wieszaków i poręczy, schodów i drzwi. Tka w myślach wzory firanek i kilimów.

Dowiaduje się, że amerykańscy fizycy sfotografowali pod mikroskopem płatek śniegu. Prosi, by zdobyć dla niego to zdjęcie. Na podstawie fotografii szkicuje płaski żyrandol, do którego wkręca się gołe żarówki. Doktor Nowak uważa, że całość wygląda jak delikatna metalowa piana.

Ale najważniejszy dla Wyspiańskiego jest kolor. Wszystko podporządkowuje kolorowi. Każe jednolicie pomalować pokoje, łącznie z sufitami (to ekstrawagancja – kiedy proponuje to samo Żeleńskim, którym urządza mieszkanie, ci z przerażeniem odmówią). Sala posiedzeń ma być w odcieniu pompejańskiego różu, czytelnia szara, a westybul – żółty. Malarze z zakładu Antoniego Tucha według kartonów Wyspiańskiego zdobią ściany fryzami ze stylizowanych kwiatów: w dużej sali z kaczkowatych krakowiaków (artysta nazywa tak pelargonie), w westybulu – z kwiatostanów kasztanowca. Sufit czytelnia zdobi wieniec róż.

Do kolorów ścian dobrany jest odcień mebli – w sali posiedzeń – mahoniowych, w czytelnia – szarych. Medycy narzekają, że krzesła są niewygodne, ale projektant zbywa to prychnięciem.

Zresztą Julianowi Nowakowi krzesła podobają się. Podobają mu się wszystko. Najbardziej zakochany jest w balustradzie schodów – kutych w metalu gałęziach kasztanowca. Może wpatrywać się w nie godzinami: są ogromne, nadnaturalne, jednocześnie uproszczone i botanicznie wierne. „Wyspiański – notuje profesor – daje syntezę rośliny. Nie są to naśladownictwa kwiatów ani ich portrety, to są kwia-

Reklama zakładu A. Tucha;
„Architekt” 1900, nr 1



Fragment witrażu Apollo Spętany, proj. S. Wyspiański;
fot. J. Nowostawska-Gyalókey,
z arch. MIK (2012)

ty jego, Wyspiańskiego”. Krakowiaki wymalowane w sali posiedzeń kojarzą mu się z artystycznie rozwiązaniem równaniem matematycznym. Czuje, że pęczki kwiatów i liści po prostu nie mogą być inaczej ułożone.

Do wąskich okien westybulu Wyspiański projektuje witraż, który zrealizuje zakład Władysława Żeleńskiego i Antoniego Tucha. Lekarze pragną, by witraż ten poświęcony był Kopernikowi, ich patronowi. Wyspiański obiecuje dać im Kopernika, jednak go nie sportretuje. Zamiast tego na kartonie rysuje tło astronomicznych przestworzy i zaklęte w ludzkie postaci planety: Saturna, Jowisza, Marsa, Merkurego i Wenus. Nad nimi góruje Apollo, bóg-słońce, spętany swoją lutnią i nieruchomy, odkąd geniusz Kopernika zatrzymał go w miejscu.



ROZWIĄZANIE. W NATCHNIENIU URODZONE

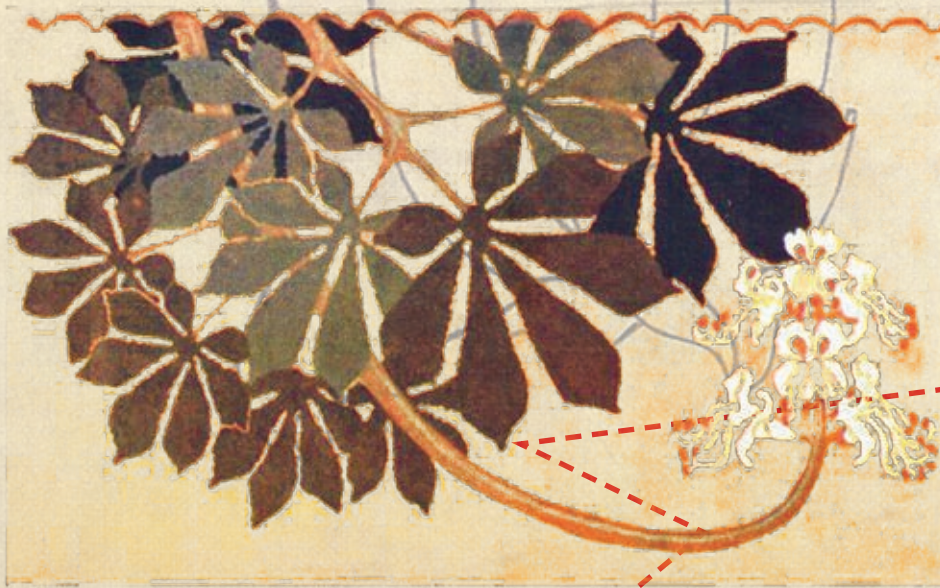
2 marca 1905 roku prezydent Leo, radni schodzą się na otwarcie Domu TLK. Wita ich dumny, lecz skromny Julian Nowak.

Goście zbierają się w sali posiedzeń, z uwagą oglądają różowe ściany i matematyczne krakowiaki, gładzą obłe poręcze krzeseł, siadają na skórzanych siedzeniach. Doktor Nowak sięga po kartkę z przemówieniem, które napisał w nocy.

„Nie potrzebujemy się wstydzić naszego dzieła – zaczyna. – Dążyliśmy do tego, aby wewnątrz domu, w którym częściej przebywać nam przyjdzie, wypadło jak najarty-stycznie. Albowiem my, przyrodnicy, mamy wrodzone pragnienie piękna. Nauka bowiem i sztuka z jednego płyną źródła. I jak w prawdziwej sztuce nie da się nic wielkiego stworzyć bez ścisłych matematycznych obliczeń, tak znowu każda głębsza myśl ludzka w natchnieniu się rodzi”.

Tak mówi doktor Nowak, a im dłużej mówi, tym bardziej goście muszą uważać, by nie zsunąć się z dziwnie naraz niewygodnych krzeseł.

Balustrada z motywem kasztanowca, proj. S. Wyspiański;
„Architekt” 1905, z. 4



ZGON. BŁĘKITNO-ŻÓŁTA KASZA

W 1905 roku stan zdrowia Wyspiańskiego pogarsza się. Lekarze zalecają pobyt w szpitalu przy ulicy Długiej. To zakład psychiatryczny i choć Wyspiański leży tam z objawami zatrucia lekami, rozchodzi się plotka, że oszalał.

O szerzenie tej plotki malarz podejrzewa doktora Nowaka. Bezpodstawnie. Zrywa z nim stosunki. Więcej się nie zobaczą.

28 listopada 1907 roku Stanisław Wyspiański prosi, by zapalić lampę, bo boi się nocy. Potem umiera.

Profesor Julian Nowak zostanie politykiem i premierem w rządzie Józefa Piłsudskiego. Jego mikrofotograficzny atlas bakterii i grzybów będzie książką o międzynarodowym znaczeniu. Przeżyje Wyspiańskiego o trzydzieści dziewięć lat. Być może zobaczy, co podmuch, wywołany w 1945 roku wysadzeniem przez Niemców mostów, zrobi z oknami w Domu TLK. Będzie miał już wtedy osiemdziesiąt jeden lat i niecały rok życia przed sobą, więc może nie znajdzie sił, by pójść patrzeć na leżącą na schodach szklaną błękitno-żółtą kaszę, w którą zmienił się Apollo. Być może zostanie mu to oszczędzone. Tak jak to, co w 1950 roku stanie się z malowidłami w sali posiedzeń, kiedy Akademia Medyczna urządzi tam bibliotekę z regałami na książki przykręcanymi do ścian.

Nie doczeka zmartwychwstania witrażu w 1972 roku, i odnowienia wnętrza domu i powrotu do niego towarzystwa ani też wprowadzenia się do budynku Muzeum Wydziału Lekarskiego UJ, Instytutu Konfucjusza czy Polskiej Rady Resuscytacji.

Nie dowie się, że najlepiej zachowały się krzesła.

Przetrwały poskładane na strychu, zakurzone i zapomniane. Niezniszczone, gdyż nikt nie chciał na nich siedzieć.

W tle: projekt liścia i kwiatu kasztanowca do balustrady w TLK; Teka projektów S. Wyspiańskiego dla Domu Lekarskiego w Krakowie, 1904, z arch. TLK

1904.

1904.

KRAKÓW

SŁODKO-GORZKA SAGA

KRYSTAŁOWE LUSTRA Z BELGII, BUFET Z WŁOSKIEGO
ALABASTRU, SPECJALNIE ZAPROJEKTOWANE MEBLE
I POLICHROMIA – KAWIARNIA JANA NOWOROLSKIEGO
W SUKIENNICACH OD DNIA OTWARCIA ZAŚŁYNIE JAKO
NAJELEGANTSZY LOKAL W MIEŚCIE. NA KAWIE I CIASTKU
SPOTYKALI SIĘ TU PROFESOROWIE, POLITYCY I ARTYŚCI.

Zaczyna się od awantury. A może raczej od zamieszania. Wielkiego zamieszania pod Sukiennicami.

W miejscu zamkniętej niedawno cukierni Kondolewiczka kłębią się wozy, fury i ludzie. Robotnicy ostrożnie zdejmują z wozów luksusowe białe kanapy. Jan Noworolski gładzi miękki czerwony plusz. Wyobraża sobie, jak pięknie kontrastują z nim suknie dam. Krzesła i sofy z zieloną tapicerką każe wnosić głębiej, do ostatniej sali. Klepie wyściełane skórą fotele. Ma nadzieję, że spodobają się krakowskim kawoszom.

W myślach Noworolski widzi już, jak na pięknych secesyjnych meblach w jego kawiarni zasiadają zadowoleni klienci.

Tymczasem czeladnicy od stolarza Józefa Sperlinga uginają się pod ciężarem specjalnie zamówionych mebli i boazerii i jeden po drugim znikają w świeżo wyremontowanym wnętrzu.

Awantura wybucha nagle.

Ktoś klnie, ktoś rozkłada ręce, ktoś drapie się po głowie. Mebli nie da się zamontować! Boazerie odstają od ścian, kanapy kuleją i nic nie trzyma kątów! Nic nie pasuje! Wszystko jest krzywe, a raczej – to stary gmach Sukiennic jest krzywy, a meble Sperlinga proste. Ktoś, najwidoczniej, nie wymierzył ścian i posadzek...

Jan Noworolski jeszcze raz patrzy na eleganckie kanapy, po czym idzie napisać do stolarza bardzo niemiły list.

NAJAZD

– Idzie się! – korpulentna jejmość toruje sobie drogę w tłumie, który wypełnia krakowski dworzec kolejowy. Lwowski akcent rozbrzmiewa po peronach. – Z drogi! Idzie się!

Za jejmością tłoczą się kufry, toboły, służba, czwórka małych dzieci i ich ojciec o melancholijnym spojrzeniu. Zażywna jejmość mogłaby być jego matką, ale nie jest; jest teściową. Ma na imię Filipina, drobiazg czepia się jej spódnic, a ona oznajmia, że „idzie się!”, i wałąc parasolką na oślep, toruje sobie drogę do wyjścia.

Jest 1910 rok. Mężczyzna, który z rezygnacją podąża za teściową, to trzydziestodwuletni Jan Noworolski. Właśnie sprowadził się do Krakowa, by wyleczyć melancholię i założyć najbardziej elegancką kawiarnię w mieście.

Noworolscy pochodzą spod Lwowa. Pod koniec XIX wieku ojciec Jana Noworolskiego jest plenipotentem dóbr hrabiego Łosia w Turcji nad Stryjem. Syna oddaje do terminu – Jan idzie na naukę do lwowskich cukierników Władysława Strusia i Ferdynanda Grossa. Struś pochodzi z rodu, którego korzenie sięgają XIV wieku. Wspólnie z Grossem prowadzi wykwiwną cukiernię i pierwszą w Polsce fabrykę czekolady. Jan dostaje tam prawdziwą szkołę – życia i zawodu. Nie jest lekko, zwłaszcza gdy coś rozsiedzi pana

Filipina Strusiowa, pocz. XX w.; autor nieznanym, z arch. W. Noworolskiego

Wystrój kawiarni
Noworolski;
fot. J. Nowostaw-
ska-Gyalókey,
z arch. MIK (2012)



Strusia. Czeladnicy szepczą sobie wówczas o jego pradziadzie, mającym na Krymie aleję wysadzaną palami, na które wbijał bojarów...

Jan Noworolski musi być śmiałym młodzieńcem, bo te opowieści nie odstraszały go ani od wyuczenia się cukiernictwa, ani od rozkochania w sobie Władzi Strusiówny. Wkrótce usamodzielnia się. Znajduje wspólnika i otwiera kawiarnię w hotelu Union w Stanisławowie i cukiernię przy Wałach Hetmańskich we Lwowie.

Władzia rodzi mu czwórkę dzieci: chłopca Tadzia i trzy dziewczynki: Zosię, Stefę i Marysię. Jan ma trzydzieści siedem lat i jeśli nie jest u szczytu, to przynajmniej gdzieś blisko.

Wtedy nadchodzi cios.

Podczas gry w tenisa piłka uderza Władzię w pierś. Siniak nie chce się goić, w piersi robi się guz. Lekarze diagnozują: rak. Operację przeprowadza jeden z najlepszych światowych chirurgów – dr Rydygier – ale pojawiają się przerzuty do kręgosłupa. Jan układa dwudziestoośmioletnią żonę na desce do prasowania, pociąganiem wiezie ją ze Stanisławowa do kliniki – we Lwowie i w Wiedniu. Nic nie pomaga.

W 1908 roku Władzia osieroca czwórkę dzieci. Jan popada w melancholię. Lekarze doradzają mu wyjazd, zmianę otoczenia.

Postanawia pojechać do Krakowa i zacząć tam od nowa.

Rodzina Noworolskich na wakacjach we Włoszech (u góry po lewej Jan Noworolski), pocz. XX w.; autor nieznany, z arch. W. Noworolskiego



ZMIANA OTOCZENIA

Nigdy nie był w Krakowie. Przodem wysyła szpiegów. Chce, żeby znaleźli mu lokal na kawiarnię.

Szpiedzy donoszą: Michalik skłonny jest odsprzedać Jamę. Przez jakiś czas toczą się potajemne rozmowy, ale Jan rezygnuje. Ma na oku inną lokalizację. Sukiennice.

Kawiarnia w Sukiennicach istniała od 1880 roku. Wytworzył lokal prowadzili Roman Heinrich i Stanisław Rehman. Po ich śmierci przejął go niejaki Lardemer, lecz splajtował. Kawiarnia upadła, a ruinę odkupił stary krakowski cukiernik Władysław Kondolewicz. Kiedy zmarł, biznes odziedziczył syn Adam. Szpiedzy Noworolskiego donoszą, że Adam ledwie daje sobie radę z wielkim lokalem...

Jan nie waha się. Zwija lwowsko-stanisławowskie interesy i wchodzi w spółkę z młodym Kondolewiczem. Po przyjeździe do Krakowa rzuca się w wir pracy. Kawiarnia wymaga generalnego remontu.

Noworolski, najprawdopodobniej za pośrednictwem Sperlinga, zatrudnia Eugeniusza Dąbrowę-Dąbrowskiego i zamawia u niego kompletny wystrój wnętrza. Dąbrowa zajmuje się malarstwem i architekturą, projektuje meble, kilimy i książki (np. *Głos kobiet w sprawie kwestyi kobiecej*). Prasa widzi w nim „jednego z najbardziej utalentowanych naszych artystów, jednego z nielicznych, którzy twórczo realizują swój zmysł dekoracyjny”.

Przy projektowaniu wnętrza „Noworola” Dąbrowa sięga po wzorce z Wiednia.

Pierwsza sala – obmyśla – będzie nazywała się Biała i będzie buduarzem dla pań: ściany wyłoży się lustrami i kremową boazerią, a przy ścianach ustawi kanapy wyściełane czerwonym pluszem. Górą, pod sufitem, namaluje się pawie (zrobi to sam lub ręką Henryka Uziembły). Do kolejnej sali – Liliowej lub Lustrzanej – będzie się przechodziło przez przeszkłone drzwi (szkło zatrzymuje dym; w buduarze dla pań nie wolno palić). To pomieszczenie ma trafić w gust męski: orzech, czerń, stare złoto, ciemna boazeria i owalne lustra. Dalej – planuje Dąbrowa – będzie Palarnia. Na tle olbrzymiego zwierciadła ustawi się zegar o poślacanej tarczy. Kanapy

W tle: szyld nad wejściem do kawiarni; fot. J. Nowostawska-Gyalóky, z arch. MIK (2012)



będą obite na zielono, a na środku wzniesie się podium dla palaczy.

Noworolski nie żałuje nakładów. Kryształowe lustra sprowadza z Belgii, na bufet ściąga blat z włoskiego alabastru, maszyny do parzenia kawy przywozi od Meyerhoffera z Wiednia, a godło firmy graweruje na srebrze. Komunikację między kelnerami a mieszczącą się w piwnicach kuchnią zapewnia specjalnym aparatem akustycznym i windą ręczną. Wykonanie zaprojektowanych przez Dąbrowę mebli zleca warsztatowi stolarskiemu Sperlinga z ulicy Dunajewskiego.

Sperling robi meble i przywozi do Sukiennic do zamontowania.

Ale mebli nie da się zamontować. Wybuch afera.

– Grosza ode mnie nie dostanie! Niech to wszystko zabiera i spali w kominku! – gorączkuje się Jan i przygotowuje pismo do adwokata.

PLUSZ I KAPITALIZM

Dopiero w lipcu 1912 roku lokal w Sukiennicach jest gotów na przyjęcie gości. Szybko zyskuje stałych klientów. Na herbatkę z kieliszkiem soku wpadają profesorowie z uniwersytetu. Murzynka, czyli kawę z bitą śmietaną, popija generał Haller, a kapucyna, czyli cappuccino, zamawia Ignacy Daszyński. W siwej od dymu Palarni nalewkami Noworolskiego raczą się Tetmajer, Fałat, Piłsudski i Rydz-Śmigły. W buduarze dla pań Jacek Malczewski stawia lody córeczkom swojej muzy – pani Balowej.

Ponoć gdzieś w kącie, na kapitalistycznych pluszach, zaszywa się nawet Lenin. Przynajmniej dopóki kelnerzy nie wypatrzą go i nie wyproszą – jest biedny i nie pasuje do poziomu lokalu.

„Noworol” to w końcu eleganckie miejsce. Jedyne, czego mu brakuje, to toalety, lecz Jan Noworolski jest świadom tego mankamentu. Podpisuje z miastem specjalną umowę. Jego goście mogą bez przeszkód korzystać z szaletu w Sukiennicach.

Budowa kawiarnianego imperium pochłania Jana na dobre. W domu bywa rzadko. Czasem wyskoczy z rodziną

na wakacje do Włoch albo zagłębi się w jednym z siedemdziesięciu klaserów ze znaczkami. To, co zarobi, ciuła. Co miesiąc odkłada do sejfów złotą dwudziestozłotówkę.

Nie ożeni się ponownie. Filipina odstrasza wszystkie zalotnice.

Tymczasem dzieci Jana i Władzi rosną. Dziewczynki wychodzą za mąż. Tadeusz idzie w ślady ojca. Terminuje w Pasażu Bielaka, w rodzinnej pracowni cukierniczej, u warszawiaków Albrechta i Skąpskiego, wreszcie otwiera w stolicy przy ulicy Świętokrzyskiej sklep z wypiekami ojca. W latach trzydziestych wraca do Krakowa z żoną, Haliną z Ujazdowskich, i zakłada własną cukiernię.

W 1939 roku wybucha wojna, ale kawiarnia w Sukiennicach działa.

Rok później szklane drzwi otwiera Aleksander Frochner. Gospodarskim okiem spogląda na belgijskie lustra, czerwony plusz i wiedeński ekspres do kawy. Przychodzi w imieniu gubernatora Hansa Franka.

– Będzie tu restauracja. Tylko dla Niemców – wyjaśnia i podtyka Janowi papier. Ten papier to umowa. Niemcy będą dzierżawić lokal, co miesiąc płacąc właścicielowi czynsz.

Czynsz będzie wynosił jedną markę.

W tle: znak graficzny firmy, pocz. XX w.; autor nieznany, z arch. W. Noworolskiego

Zestaw porcelany ze znakiem graficznym firmy, prawdopodobnie z l. 30. XX w.; fot. J. Nowostawska-Gyalólkay, z arch. MIK (2012)



Niemcy robią remont w kawiarni w Sukiennicach. Powiększają ją, rozbudowują kuchnie, przebijają do nich szerokie schody i robią toalety.

Noworolscy wracają, kiedy kończy się okupacja. Jan zbiera cały przedwojenny personel, wyrzuca Niemców i barykaduje się w lokalu. Koczują w nim tydzień. Przez oszklone okna widzą szaber, przed którym udało im się ocalić kawiarnię.

Ład, który nastaje potem, nie jest przyjazny prywatnym cukiernikom z przedwojenną tradycją. W 1948 roku władze nie przedłużają Noworolskim koncesji na działalność. Jan wygrywa w sądzie, ale słyszy, że w Rynku działa zbyt wiele kawiarni. Kolejna nie jest potrzebna. Musi opuścić Sukiennice. Nie wolno mu nawet zabrać utargu z kasy.

Bierze kapelusz, laskę i wychodzi. Ma siedemdziesiąt dziewięć lat. W drodze do domu spada ze schodów. W zranionej nodze robi się skrzep. Pozbawiony swojej kawiarni, Jan Noworolski umiera na udar.

Do upaństwowionego lokalu wprowadza się spółdzielnia „Społem”.

JAK POWINNO BYĆ

Noworolscy wrócą do kawiarni w 1991 roku. Najpierw czeka ich bitwa – taka z barykadami, transparentami i biało-czerwonymi flagami. Prowadzą ją przeciw nim kelnerki, bufetowe i panie z obsługi toalet, które chcą, by lokal po sprywatyzowaniu przeszedł w ręce spółki pracowniczej. Barykadują się w kawiarni na sto trzy dni i bardzo możliwe, że jest to najdłuższy strajk okupacyjny tamtych lat.

Wreszcie strony podpisują rozejm. Noworolscy przejmują kawiarnię z „żywym inwentarzem” i obiecują po remoncie zatrudnić wszystkie wojowniczeki.

Remont ciągnie się dziewięć miesięcy i przywraca wnętrzu dawny blask. Po nim wszystko jest tak, jak dawniej. Tak, jak powinno być. Na ścianach pyszną się pawie, boazeria trzyma się ścian, a lustra odbijają się w sobie nawzajem.

I tylko czerwony plusz kanap i foteli daremnie czeka na szerokie suknie dam. Ale dzins też wygląda na nim nieźle.

W tle: polichromia z wnętrza kawiarni;
fot. J. Nowostawska-Gyalóky,
z arch. MIK (2012)

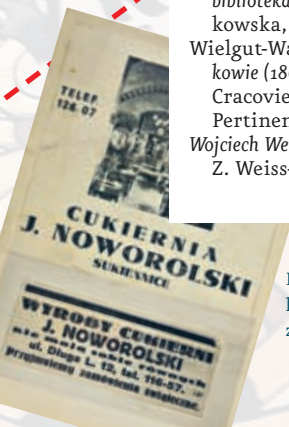


Wnętrze kuchni, pocz. XX w.;
autor nieznanym, z arch.
W. Noworolskiego



BIBLIOGRAFIA

- Beiersdorf Z., Muzeum Techniczno-Przemysłowe w Krakowie, „Rocznik Krakowski” 1991, t. LVIII.
- Buyko M., Uczniowie o Matejce, [w:] Czterej Mistrzowie i ich pracownicy. Małarstwo i rysunek ze zbiorów Muzeum Akademii Sztuk Pięknych, Kraków 2008.
- Dom Towarzystwa Lekarskiego w Krakowie, „Architekt” 1905, z. IV.
- Kołodziejowa B., Miejskie Muzeum Przemysłowe im. dra Adriana Baranieckiego w Krakowie, Rozprawy i sprawozdania Muzeum Narodowego w Krakowie, t. XI, Kraków 1976.
- Kozioł A., W Noworolu, „Dziennik Polski”, 19 lutego 2005.
- Paluch J.M., Rozmowa z Tadeuszem Noworolskim, „Cracovia Leopolis” 1995, nr 1.
- Pilikowski M., Maciej Moraczewski – twórca gmachu Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, „Wiadomości ASP” 2012, nr 56.
- Prokesch W., Z dziejów krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, Kraków 1917.
- Tomczyk-Maryon M., Wyspiański, Warszawa 2009.
- Towarzystwo Lekarskie Krakowskie. Księga Jubileuszowa, red. I. Gościński, A.B. Skotnicki, Kraków 2006.
- Wernichowska B., Galicyjskie delicje, http://ugotuj.to/przepisy_kulinarne/1,87978,1329169,Galicyjskie_delicje.html (dostęp: 20 stycznia 2013).
- Wielgut-Walczak J., Fundator i następcy. Dyrektorzy krakowskiego Muzeum Techniczno-Przemysłowego a kształt biblioteki muzealnej, [w:] Książka, biblioteka, informacja. Między podziałami a wspólnotą II, red. J. Dzienia-kowska, I. Krasieńska, M. Olczak-Kardas, Kielce 2011.
- Wielgut-Walczak J., Biblioteka Muzeum Techniczno-Przemysłowego w Krakowie (1868–1950). Zarys dziejów, „Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis”, folia 39, Studia ad Bibliothecarum Scientiam Pertinentia IV, 2006.
- Wojciech Weiss w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, red. J. Antos, Z. Weiss-Nowina Konopka, Kraków 2010.



Etykiety reklamujące zakład
l. 20.–30. XX w.; autor nieznanym,
z arch. W. Noworolskiego



Jeśli ciekawi cię, gdzie było jedno z pierwszych
dwupoziomowych skrzyżowań w Krakowie,
ile wiader piwa rocznie produkował browar
Goetzów, gdzie (i po co!) była suszarnia węży
i kto mieszkał w Domu Machin...

...WEJDŹ Z NAMI NA
KRAKOWSKI SZLAK TECHNIKI

Wzorcownia liczników w dawnej elektrowni miej-
skiej w Krakowie, l. 30 XX w.; autor nieznany,
z arch. Tauron Dystrybucja SA Oddział Kraków



To jedyna tego typu trasa w Polsce. Wiedzie przez centrum miasta i łączy szesnaście budynków i kompleksów przemysłowych z XIX i początku XX wieku. Projektowali je najlepsi polscy architekci i budowniczcy: Tadeusz Stryjeński, Franciszek Mączyński, Karol Knaus, Teodor Talowski, Jan Rzymkowski... Były szczytem nowoczesności, absolutną nowinką techniczną swoich czasów. Co na nas czeka? Trasa rozpoczyna się na Dworcu Kolejowym, gdzie wykopano niegdyś jedyny w Galicji podziemny tunel, prowadzący pasażerów na perony. Dalej szlak mija słynny i kontrowersyjny „Podkop” Talowskiego – jedno z pierwszych krakowskich skrzyżowań dwupoziomowych. Wiedzie przez browar, trzy elektrownie, kilka mostów (choć nie wszystkie całe), wiślane bulwary i starą gazownię. Spotkamy na nim Ludwika Zieleniewskiego, który z cechowego mistrza branży kowalskiej stał się nowoczesnym przedsiębiorcą (i właścicielem jednej z pierwszych krakowskich maszyn parowych), oraz Oskara Schindlera, słynnego fabrykanta menażek, łusek, zapalników do pocisków i emaliowanych garnków. Rzucimy okiem na strażnicę straży pożarnej, wyposażoną niegdyś w telegraf alarmowy i suszarnię węży, zanurkujemy w mroczny przepust pod wałem kolejowym u wylotu ulicy Miodowej... Główną atrakcją szlaku jest stara zajezdnia tramwajowa przy ulicy św. Wawrzyńca, mieszcząca dziś centralny punkt trasy: Muzeum Inżynierii Miejskiej.

Z okazji XV Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego otworem stają przed nami trzy wielkie przemysłowe inwestycje Krakowa przełomu wieków: **zespół gazowni miejskiej przy ul. Gazowej 12-16**, dawna zajezdnia przy ul. św. Wawrzyńca 15 i **zespół elektrowni miejskiej przy ul. Dajwór 27**.

GAZOWY ROMANS MARJI S.

23 GRUDNIA 1957 ROKU W GAZOWNI KRAKOWSKIEJ
WĘGIEL ROZGRZEWA SIĘ DO PONAD TYSIĄCĄ STOPNI
CELSJUSA I – PO RAZ PIERWSZY – WYDZIELONY GAZ
ŚWIETLNY ANGIELSKIMI RURAMI PŁYNIE DO CZTERYSTU
CZTERDZIESTU DWÓCH LATARŃ. W KRAKOWIE ROZPO-
CZYNA SIĘ ERA GAZU.

Zygmunt Polek ma do uwodzenia kobiet niezwykle dar. Nabył go w Karlsruhe i Dessau i teraz, w Krakowie, niewiele jest pań, które nie uległyby jego urokowi.

Zygmunt Polek kusi kobiety gazem.

Marję Stanisławską uwodzi późnym latem 1926 roku. Być może dzieje się to w sklepie, gdzie Zygmunt pokazuje nowinki z dziedziny gotowania i ogrzewania i gdzie można nauczyć się robić sałatki, wina owocowe, gotować dla skautek oraz racjonalnie żywić dzieci, a wszystko za pomocą gazu. Na zdjęciu z takiego kursu (może jest na nim Marja) kilkanaście młodych pań piecze babeczki pod dyskretną kuratelą szatyna z pięknym wąsem...

Marja ulega więc. A potem, kiedy popularyzatorki gazu proszą ją o wpisanie kilku słów do ankiety, nie dbając o nic (a najmniej o dane osobowe), chwyta za pióro i 13 września 1926 roku pisze pełen zwierzeń list.

Otóż Marja Stanisławska jest swoją kuchnią gazową zachwycona! Odkąd wielmożni panowie dostarczyli jej kuchenkę, prawdziwym koszmarem wydaje jej się dawne dmuchanie w piec godzinę przed śniadaniem, zasmolone garnki i perjodyczne dymienie z pieca. Zamiast tych męczarni ma przyjemność: zbliża do palnika zapałkę i ma ogień taki, jakiego potrzebuje! Z całą szczerością Marja powtarza – jest zachwycona, tak zachwycona, że bez oporów podaje swój adres: ul. Madalińskiego 9, trzecie piętro.

Całkiem jakby oczekiwała, że ktoś ją pod tym adresem odwiedzi.

Pokaz gotowania na gazie
zorganizowany przez
Związek Pań Domu, 1939;
autor nieznan, NAC



CIEMNOŚĆ. I DYMIEŃ

Zanim gazowy romans Marji S. (z kuchenką i, pośrednio, z Zygmuntem) dojdzie do skutku, krakowska rzeczywistość kuchenna wygląda źle. Nie tylko Marja dmucha w piec przed śniadaniem, ma zasmolone garnki i perjo-dyczne dymienia. Mają je wszyscy.

Na dodatek po zmroku Kraków kryją ciemności. Prasa z lubością określa je egipskimi. Latarnie na olej rzepakowy łypią mdławo i smętnie.

Kraków pilnie potrzebuje gazu.

Pierwsze próby podejmuje prof. Karol Mohr. W 1830 roku zapala przy ulicy Gołębiej kilka latarni gazowych. To pierwsze znane zastosowanie gazu na ziemiach polskich, dla mieszkańców wciąż jedynie eksperyment. Dwadzieścia sześć lat później miasto podpisze kontrakt z Niemieckim Kontynentalnym Towarzystwem Gazowym z Dessau. Gazownia, którą postawią dessauczycy, będzie jedną z pierwszych na ziemiach polskich i postawi Kraków w jednym rzędzie ze znacznie większymi miastami: Lwowem i Warszawą. Zgodnie z umową czterysta czterdzieści dwie latarnie gazowe przez dwadzieścia pięć lat mają oświetlać ulice i place w obrębie Plant, główne ulice na Stradomiu i Kazimierzu, plac Wolnica oraz Szeroką, Wesołą i Lubicz do dworca kolejowego.

Gazownia staje na działce rodziny Riedmüllerów. W 1824 roku popełnili błąd: wzięli kredyt pod budowę domu. Nigdy nie uda im się spłacić pięciu tysięcy złotych w srebrze, które są winni miastu. Za dług władze przejmą i dom, i ogród.

Już wkrótce na miejscu części ogrodu stanie sześć pieców z czterdziestoma jeden retortami. Węgiel będzie się tam podgrzewać do temperatury tysiąca stopni Celsjusza. Wydzielony gaz świetlny (głównie metan i odrobina trującego czadu) będzie się składować początkowo w jednym, a później w dwóch gazometrach. To potężne, koliste zbiorniki, gdzie gaz magazynuje się pod pływającym w wodzie wielkim dzwonem. Krakowskie będą miały pojemność tysiąc siedemset trzydzieści i dwa tysiące metrów sześciennych.

Co roku gazownia wyprodukuje milion metrów sześciennych gazu i rurami – w tym angielskimi – dostarczy go do miasta.

W tle: Zakład Gazowniczy w Krakowie, widok z Podgórza; autor nieznany, z arch. KSG w Tarnowie sp. z o.o. Oddział Zakład Gazowniczy w Krakowie

Wnętrze kotłowni, 1931; autor nieznany, KSG w Tarnowie sp. z o.o. Oddział Zakład Gazowniczy w Krakowie



ŚWIATŁOŚĆ. O KSZTAŁCIE NIETOPERZA

Wielka premiera gazowego światła ma nastąpić 1 listopada 1857 roku.

Nie następuje. Koło kościoła Mariackiego robotnicy kładący angielskie rury wykopują ludzkie kości. Prace trzeba wstrzymać. Miasto pogrąża się w coraz większych ciemnościach. Gazownia, która zobowiązała się dbać o oświetlenie olejne, zaniedbuje je. Dziennikarze „Czasu” ironizują: „mamy w tej ciemności egipskiej przysposabiać ducha naszego do godnego przyjęcia przyobiecanego nam światła”. Kolejny termin znów nie zostaje dotrzymany: 21 grudnia wypada w poniedziałek, więc w niedzielę nie udaje się wprowadzić poprawek. Ulicznicy sztydzą z lampiarzy, którzy po staremu zapalają latarnie na rzepak. Jedynie przekupki spod Sukiennic uważają, że zaczynać coś w poniedziałek to i tak byłaby zła wróżba.

Ostatecznie światło staje się w środę. 23 grudnia pogoda jest parszywa, ale na ulice wylegają tłumy – każdy chce zobaczyć „płomień gazowy kształt nietoperza mający, który w jednej godzinie pięć stóp sześciennych dobrze oczyszczonego gazu konsumować powinien”.

Od początku Kraków jest jednak światłem rozczarowany. Po pierwsze – jest drogie. Po drugie – jest liche. Zgodnie z umową płomień pierwszej klasy powinny świecić z mocą dwunastu świec woskowych, drugiej – dziewięciu–dziesięciu świec. Tymczasem żaden płomień w mieście nie osiąga drugiej klasy jasności. To, co widać, kolorem przypomina brunatne światło świec łojowych. Gazownia tłumaczy się mętnie: coś musiało poprzerywać rury, mróz albo trzęsienie ziemi... Ale prawdziwy cios przychodzi wiosną 1858 roku. Na Plantach przy klasztorze Reformatów usychają cztery kasztanowce! Nieopodal biegną rury – winny może być uchodzący gaz. Miasto powołuje komisję w składzie: radca, burmistrz, dwóch botaników, chemik, ogrodnik. Kasztanowce zostają przebadane. Okazuje się, że rosły w rumowisku, uschły z braku wody. Podejrzany gaz zostaje uniewinniony, ale gazownia już nigdy nie odzyska zaufania.

Wkrótce Krakowem wstrząśnie strajk. Wielki strajk konsumentów gazu.



CIEMNOŚĆ. I CIEMNOTA

Zaczyna się od pertraktacji. Dwudziestopięcioletni kontrakt z dessauczykami właśnie zbliża się ku końcowi. Miasto nie chce go przedłużać i proponuje dessauczykom odkupienie gazowni. Towarzystwo ustala cenę. Zaporową. Osiemset osiemdziesiąt tysięcy złotych to cztery razy więcej niż wart jest zakład. Miasto przez chwilę myśli o budowie komunalnej gazowni, ale ocenia, że nie będzie go stać. Dessauczycy triumfują. Gazety piszą o tyranii: „przy zaprowadzeniu gazu wyobrażaliśmy sobie, że zniknie z miasta naszego jedna z plag, jaką Mojżesz rzucił na Egipt – to jest ciemność. Tymczasem nie tylko plaga ta nie zniknęła, ale obok fizycznej swej własności, nabyła i moralnej, obok ciemności dotknęła nas i ciemnota, że płacimy za złą obsługę”. Negocjacje zostają zerwane. Kraków decyduje się na radykalne, nieujęte w warunkach kontraktu, wyjście. W 1884 roku podejmuje strajk.

Miasto rezygnuje z gazu. Zupełnie. Latarnie gazowe znikają z ulic. Na ich miejsce wstawia się drewniane słupy z lampami naftowymi. O dziwo, dają tyle samo światła. Zużycie gazu spada o jedną czwartą. Kiedy do strajku przyłączają się duzi prywatni konsumenci, straty gazowni rosną. Przedsiębiorcy z Dessau rwą włosy z głowy. Teraz to oni próbują ustępstw, ale miasto jest nieugięte. Zaciągnęło pożyczkę na budowę nowej gazowni i nie zamierza składać bronii. W sądzie toczy się proces o wyrwanie z ziemi angielskich rur. To już nie strajk – to wojna.

Ale – jak na wojnie – równolegle prowadzi się negocjacje.

To dzięki nim udaje się podpisać porozumienie. Bezstronni konsultanci wyceniają dessauską gazownię i miasto za czterysta sześćdziesiąt tysięcy złotych przejmuje zakład z rurami, latarniami, wyposażeniem biur, kołmi i zawartością magazynów, a nawet buchalterem, inkasentem i gazmistrzem.

1 marca 1886 roku niemiecki dyrektor Voss wita swojego następcę Mieczysława Dąbrowskiego: „A zatem stoimy już na polskiej ziemi...”.

Kierownictwo Krakowskiej Gazowni Miejskiej na tle piecowni (trzeci od lewej dyr. Mieczysław Seifert), l. 30. XX w., autor nieznany, z arch. KSG w Tarnowie sp. z o.o. Oddział Zakład Gazowniczy w Krakowie



ŚWIATŁOŚĆ. POŻEGNANIE MOTYLKA

Na polskiej ziemi gaz jest tańszy i lepszy. Zużycie rośnie co roku o piętnaście procent. Na ulice wracają latarnie gazowe. Miejski gazociąg sięga coraz dalej – rury są już pod Zwierzyniecką, Karmelicką, Długą, Krowoderską i Warszawską. Gazownia modernizuje się. Firma Zieleniewski stawia w niej prawdziwego giganta – gazometr o pojemności pięciu tysięcy metrów sześciennych, „największe dzieło z dziedziny żelaznego przemysłu galicyjskiego”.

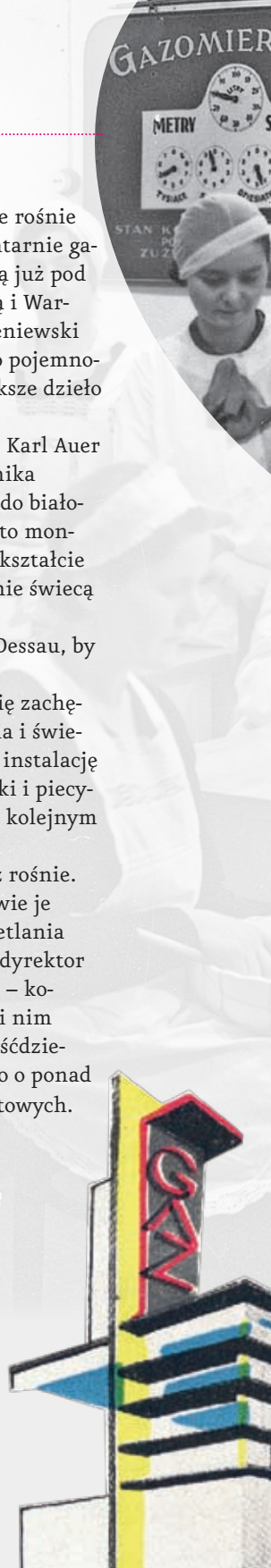
Na ulicach także zachodzi rewolucja. Austriak Karl Auer von Welsbach wynalazł niedawno nowy typ palnika – w jego lampach gaz nie świeci, lecz rozgrzewa do białości ceramiczną siatkę żarową. W 1894 roku zaczęto montować tę nowinkę. Ostatecznie z płomykiem o kształcie motylka pożegnano się w 1902 roku. Nowe latarnie świecą dwadzieścia razy jaśniej.

W maju 1895 roku miasto wysłało delegację do Dessau, by obejrzała tramwaj na gaz...

Gazowy tramwaj nie wypala, ale postanawia się zachęcić krakowian do gotowania, grzania, prasowania i świecenia gazem w mieszkaniach. Ochotnicy dostają instalacje gratis, a gazownia wypożycza im lampy, kuchenki i piecyki. W pierwszym roku chętnych jest czterech. W kolejnym – już sto dwadzieścia.

Czas jednak biegnie, a zapotrzebowanie na gaz rośnie. Gazownia – mimo kolejnych modernizacji – ledwie je zaspokaja. Na szczęście już niedługo ciężar oświetlania miasta przejmie elektrownia, a po wojnie nowy dyrektor Mieczysław Seifert wprowadzi światową nowość – komorowe piece pionowe systemu Koppersa. Dzięki nim ze stu kilogramów węgla można produkować sześćdziesiąt-osiemdziesiąt metrów sześciennych gazu. To o ponad jedną trzecią więcej niż w starych piecach retortowych.

Żarniki Auera do lamp gazowych; autor nieznany, z arch. KSG w Tarnowie sp. z o.o. Oddział Zakład Gazowniczy w Krakowie





Członkinie Związku Pań Domu podczas pokazu gotowania w miejskiej gazowni, 1935; autor nieznany, NAC

ŚWIATŁOŚĆ. BABECZKI

Miedzy pierwszą a drugą wojną światową gazownia łapie drugi oddech. Jej rury sięgają coraz dalej, piece produkują coraz więcej, mnożą się gazomierze. W 1937 roku gaz ma już także Jerzy Kossak. Maluje obraz *Bitwa pod Laskami* i przekazuje go zakładowi w ramach zapłaty za zużyty gaz.

W latach dwudziestych ruszają akcje promujące gaz. Zajmie się nimi specjalnie utworzony dział propagandy.

I właśnie wtedy Zygmunt Polek uwodzi Marję Stanisławską.

Kim jest Zygmunt? W 1907 roku, jako osiemnastolatek, zatrudnił się w gazowni jako pomocnik biurowy. Sumieniny, punktualny i chętny, zrobił karierę od praktykanta rachunkowego, przez adiunkta, do rachmistrza. Teraz na misję specjalną do Karlsruhe i Dessau wysyła go sam dyrektor Seifert. Wzywa Poleka do siebie i zapowiada mu (a przynajmniej mógłby tak powiedzieć): – Ma się pan tam dowiedzieć wszystkiego, co kobiety chciałyby wiedzieć o gazie.

Polek jedzie. Kiedy wraca, wie już wszystko. Będzie skutecznie namawiał krakowskie Marję, Heleny, Stanisławy, by skusiły się na gaz.

Projekt kiosku reklamowego gazowni; autor nieznany, z arch. KSG w Tarnowie sp. z o.o. Oddział Zakład Gazowniczy w Krakowie

Odtąd w sklepie, który gazownia prowadzi przy ulicy Szczepańskiej, odbywają się pokazy używania gazowej kuchenki, szabaśnika i prodiżu. Na przełomie listopada i grudnia 1925 roku Polek zorganizuje kurs wzorowego gotowania na gazie. Dwa razy w tygodniu osiemnaście kobiet przebiera się w białe fartuszki, by przez dwie godziny słuchać o wytwarzaniu gazu, budowie i regulowaniu palnika oraz odczycie gazomierza. Potem odbywają ćwiczenia w gotowaniu w naczyniach piętrowych, pieczeniu mięsa oraz ciast. Na piątej lekcji panie pieką już w sześciu naczyniach typu prodiże na raz, czyszczą kuchenkę oraz prasują na gazie. Zapoznają się z aparatem Wecka do konserw. Ostatnia lekcja obejmuje aparat do gorącej wody i piec kąpielowe. Absolwentki mamy na fotografii – wszystkie są młode i śliczne (no, może jedna ma nadwagę) i piekają właśnie babeczki. Mężczyzna w tle – poważny, ciemny i z wąsem – nie może być nikim innym tylko Zygmuntem Polekiem, oddanym propagandzistą gazu.

Który nie spoczywa na laurach. Zamawia firmowe ołówki i rozdaje je w szkołach. Nalepki ze znakiem firmowym wkleja w książkach z bibliotek. Przygotowuje specjalne broszurki z mapką i informacjami na temat procesu technologicznego dla wycieczek, które z otwartymi ramionami wita na terenie zakładu. Natomiast na rok 1929 wydaje kalendarz Przy kominku. Zbiera w nim ciekawostki, ilustracje i porady. Oraz listy. „Z całą szczerością powtarzam, że jestem swoją kuchnią gazową zachwycona” – zwierza się na stronach stycznia Marja Stanisławska, śmiało podając adres: Madalińskiego 9, trzecie piętro, jakby wierzyła, że ktoś – może sam pan Zygmunt – złoży jej i jej kuchence miłą wizytę.

(To jednak na pewno nigdy się nie stanie; zwłaszcza że pan Polek w 1928 roku bierze za żonę Halinę z Kowalskich, pracowitą i dodatnich zalet charakteru pomocnicę kancelaryjną, a ona, z tego powodu, na własne żądanie odchodzi z pracy w gazowni).

Założa sklepu należącego do gazowni, mężczyzna z wąsem to prawdopodobnie Zygmunt Polek, 1924; autor nieznan, z arch. KSG w Tarnowie sp. z o.o. Oddział Zakład Gazowniczy w Krakowie



CIEMNOŚĆ. NAPISY KOŃCOWE

Ostatnie uliczne latarnie gazowe w Krakowie gaszą podczas wojny okupanci. Odtąd mrok rozprasza elektryczność (na pamiątkę zostają tylko relikty – latarnie w Sukiennicach i w zakładzie przy Gazowej), gazem grzeje się i zasila kuchenki. Ale gaz nie pochodzi już tylko z pieców gazowni. W 1944 roku do Krakowa doprowadza się gaz ziemny z Jasła. Już niedługo powstanie koksownia Huty im. Lenina i w 1958 roku do sieci popłynie gaz koksowniczy. W 1967 roku zapadnie decyzja o zaprzestaniu produkcji gazu węglowego. Rok później zgasną ostatnie piece. Odtąd stara gazownia będzie zajmować się już tylko dystrybucją gazu ziemnego i koksowniczego.

W 1982 roku Kraków przejdzie na gaz ziemny.

A gazownia? Rurami o długości ponad jedenastu i pół tysiąca kilometrów dostarcza dziś rocznie ponad czteryście trzydzieści milionów metrów sześciennych gazu do ponad trzystu osiemdziesięciu sześciu tysięcy odbiorców z dwudziestu miast, sześćdziesięciu dwóch gmin i czterystu sześćdziesięciu czterech wsi. Być może są wśród nich nawet potomkowie Marji S.

Plakat reklamowy, projekt Franciszka Seiferta – brata dyr. M. Seiferta, 1928; z arch. KSG w Tarnowie sp. z o.o. Oddział Zakład Gazowniczy w Krakowie

Stacja obwodowego regulatora gazu, widok zewnętrzny, 1935; autor nieznan, z arch. KSG w Tarnowie sp. z o.o. Oddział Zakład Gazowniczy w Krakowie



Autobus miejski napędzany gazem drzewnym, fot. E. Theuergarten, 1943; NAC

SZAFIOWE CACKO WYKWINTU

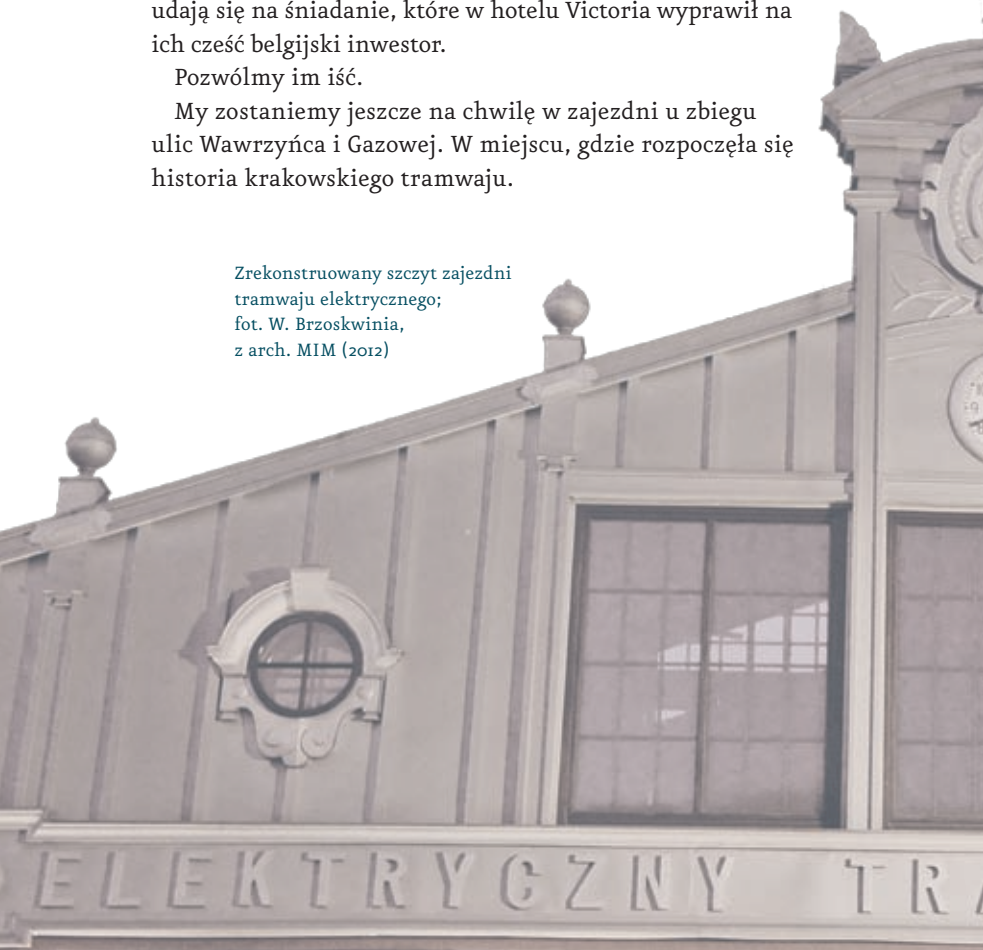
31 PAŹDZIERNIKA 1882 ROKU Z ZAJEZDNI PRZY ULICY
ŚW. WAWRZYŃCA NA POWAŻNE, ZDZIWIONE I NIECO
OBRAŻONE ULICE KRAKOWA WYJEŹDŹA PIERWSZY KONNY
TRAMWAJ.

To musi być piękny widok: 31 października 1882 roku najważniejsi obywatele miasta zbierają się pod ratuszem i wspólnie czekają na tramwaj. Jest tu prezydent miasta, są radni, przybył także naczelnik straży ogniowej. O dziesiątej rano „dwoma pięknymi wagonami” ruszają w Kraków. Z sumiennością pierwszych pasażerów przemierzają całą, liczącą dwa kilometry i osiemset metrów trasę, zjeżdżają do zajezdni, zwiedzają wozownię oraz stajnię dla zdrowych i chorych koni. Nie wahają się zajrzeć nawet do kuźni. Potem, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, udają się na śniadanie, które w hotelu Victoria wyprawił na ich cześć belgijski inwestor.

Pozwólmy im iść.

My zostaniemy jeszcze na chwilę w zajezdni u zbiegu ulic Wawrzyńca i Gazowej. W miejscu, gdzie rozpoczęła się historia krakowskiego tramwaju.

Zrekonstruowany szczyt zajezdni
tramwaju elektrycznego;
fot. W. Brzoskwina,
z arch. MIM (2012)



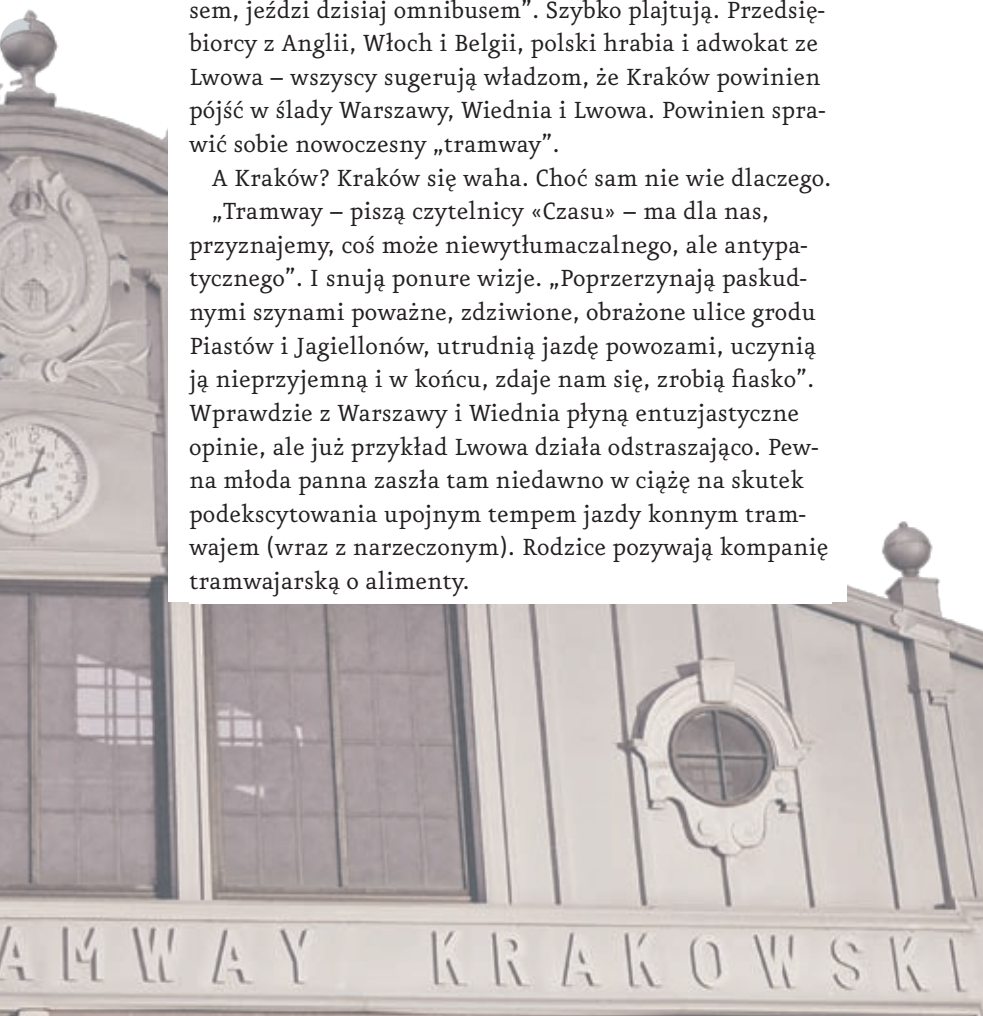
PRZYSTANEK PIERWSZY. COŚ ANTYPATYCZNEGO

Jeszcze do niedawna nie było tu nic. W połowie XIX wieku Kraków miał około czterdzieści tysięcy mieszkańców i nie sięgał tak daleko. Peryferie, ogrody, zalewane wiosennymi powodziami zagony marchwi – tak wyglądała działka, którą zadłużona rodzina Riedmüllerów straciła na rzecz miasta. Miasto włączyło ją do puli gruntów, na których z biegiem lat powstaną trzy inwestycje: elektrownia, gazownia i zajezdnia tramwaju konnego. Budynki, które rysują się przed nami we mgle, to właśnie zajezdnia.

Kraków od dawna jej potrzebował. Właśnie zaczął rosnąć. W ciągu pięćdziesięciu lat podwoi liczbę mieszkańców i stanie się dużym, a po 1902 roku nawet wielkim miastem. Tymczasem komunikacja miejska właściwie tu nie istnieje. Przez jakiś czas jeżdżą omnibusy, ale są tak roztrzęsione, że mawia się: „Tylko ten, kto pod przymusem, jeździ dzisiaj omnibusem”. Szybko plajtują. Przedsiębiorcy z Anglii, Włoch i Belgii, polski hrabia i adwokat ze Lwowa – wszyscy sugerują władzom, że Kraków powinien pójść w ślady Warszawy, Wiednia i Lwowa. Powinien sprawić sobie nowoczesny „tramway”.

A Kraków? Kraków się waha. Choć sam nie wie dlaczego.

„Tramway – piszą czytelnicy «Czasu» – ma dla nas, przynajmniej, coś może niewytłumaczalnego, ale antypatycznego”. I snują ponure wizje. „Poprzerzynają paskudnymi szynami poważne, zdziwione, obrażone ulice grodu Piastów i Jagiellonów, utrudniają jazdę powozami, uczynią ją nieprzyjemną i w końcu, zdaje nam się, zrobią fiasko”. Wprawdzie z Warszawy i Wiednia płyną entuzjastyczne opinie, ale już przykład Lwowa działa odstraszaюще. Pewna młoda panna zaszła tam niedawno w ciążę na skutek podeksycytowania upojnym tempem jazdy konnym tramwajem (wraz z narzeczonym). Rodzice pozywają kompanię tramwajarską o alimenty.



Nic dziwnego, że debaty nad wprowadzeniem w Krakowie konnego tramwaju trwają dziesięć lat.

Decyzja zapada latem 1881 roku. Koncesję na poprzeryzanie ulic torami na czterdzieści pięć lat dostaje Bank Belgijski, który do budowy i obsługi tramwaju powołuje spółkę. To właśnie ona stawia przy ulicy Wawrzyńca pierwszą zajezdnię.

Projektuje ją Géron. Wozownię z kuźnią każe wznieść w technice muru pruskiego: drewniany szkielet wypełnia się cegłą. Dwie osobne stajnie (dla koni zdrowych i chorych) będą murowane. Wozownia mieści kilkanaście wykwintnych, szafirowych, szesnastoosobowych wagonów. Do każdego zaprzęga się jednego z sześćdziesięciu ośmiu koni (tylko przy kościele św. Idziego, gdzie robi się pod górkę, doprzęga się drugie zwierzę).

31 października 1882 roku dwa piękne wagony wyjeżdżają stąd, by zabrać prezydenta, radnych i naczelnika straży ogniowej na pierwszy, uroczysty objazd.

W tle: wozownia tramwaju konnego; fot. I. Wachowicz, z arch. MIM (2012)

Rozkład jazdy tramwaju, 1893; Józefa Czecha Kalendarz Krakowski na rok 1894, z arch. MIM

TRAMWAY KRAKOWSKI.

Linia: Most podgórski — Dworzec kolei żelaznej, podzielona na 3 sekeye:
 Sekcya I. Most-Wawel. Sekcya II. Wawel-Rynek. Sekcya III. Rynek-dworzec.

Odległość od mostu Podgórskiego do dworca 2.800 metrów.
 Pociąg przychodzący: tarcza i światło czerwone; — odchodzący: tarcza biała, światło zielone.
 Wagony kursują w odstępach 10-minutowych w kierunku tam, to znaczy od mostu ku dworcowi, jakoteż w kierunku napowrót, to znaczy od dworca ku mostowi.

CENY JAZDY:

W I klasie:

Przejazd jednej sekeyi	4 cent.
" za dwie sekeye	8 "
" za całą przestrzeń	12 "

W II klasie:

Przejazd jednej sekeyi	3 cent.
" za dwie sekeye	6 "
" za całą przestrzeń	8 "

Dzieci do wysokości 1 metra 30 centim.
 płacą w II klasie za:

Przejazd jednej sekeyi	2 cent.
" za dwie sekeye	3 "
" za całą przestrzeń	4 "

Goście, używający Tramwaju, płacą zaraz po wsiadaniu. Bilet jazdy ma być zachowany aż do

końca jazdy i na żądanie kontrolora okazany.
 Wysiadając z wagonów, uprasza się o zniszczenie biletów.

„Uprasza się w wagonie tytoniu nie palić.“
 Pociągi Tramwaju łączą się ze wszystkimi odchodzącymi i przychodzącymi pociąg. kolei żel.

PRZYSTANKI:

1. Most podgórski.
2. Kazimierz, Ratusz.
3. Kazimierz, ul. Józefa.
4. Stradom, ul. Dietlow.
5. Stradom, Kościół XX. Misyonarzy.
6. Wawel.
7. Ul. Grodzka, Kościół św. Piotra.
8. Ulica Grodzka, Magistrat.
9. Rynek, ul. Sienna, Sukiennice.
10. Ulica Floryańska, Hotel pod Różą.
11. Ronda Floryański, Kleparz.
12. Dworzec kolejowy.

PRZYSTANEK DRUGI. SZAFIROWE PRZEZNACZENIE RYFKI T.

18 listopada 1882 roku na pewno jest już zwyczajnie. Od uroczystej premiery tramwaju minęło dziewiętnaście dni. Woźnica i konduktor do wielu rzeczy zdążyli się przyzwyczaić. Przetrwali uroczystą premierę oraz, nazajutrz, pierwszy dzień normalnego kursowania, kiedy ponad dwa tysiące czterystu pasażerów na własnej skórze zapragnęło doświadczyć pędu tramwaju, który uwiódł nieszczęsną pannę ze Lwowa. Wówczas to woźnica i konduktor, choć „ludzie nowi i mało jeszcze ze służbą obeznani, pomimo trudności zachowania porządku w takim ścisiku, odznaczali się grzecznością i uprzejmością dla wszystkich, tudzież taktem w postępowaniu ze zbyt natarczywymi ochotnikami jazdy i natrętną w swej ciekawości gawiedzią”. Cały utarg z tego dnia, sto dwadzieścia złotych reńskich, kompania tramwajarska przeznaczyła na budowę pomnika Adama Mickiewicza.

Teraz, o siódmej rano, po szynach o rozstawie dziewięćset milimetrów, wyprowadzają z zajezdni zaprzężony w jednego konika tramwaj. Wagon ma kolor szafirowy, pięć okien z każdego boku i – jak piszą gazety – jest prawdziwym cackiem wykwintu i komfortu. Przed nim prawie trzy kilometry trasy, od ulicy Mostowej, przez plac Wolnica, Krakowską, Stradom, Grodzką, Rynek Główny, Floriańską, Basztową i Lubicz aż do dworca i z powrotem.

Nikt jeszcze nie przypuszcza, że za kilka godzin przeznaczenie każe mu zetknąć się z niejaką Ryfką T.

O Ryfke wiemy znacznie mniej niż o tramwaju. Właściwie nie wiemy nic. Te same gazety piszą tylko: Ryfka Torbe, młoda Żydówka z Kazimierza. Ani słowa o tym, czy jest panną czy mężatką, dziewczyną na posyłki czy córką bogatego kupca. Tego dnia spieszy się gdzieś? Ma sprawę do załatwienia? Zakupy? Spotkanie? A może jest tylko zamyślona? Albo zakochana? Nie słyszy ostrzeżeń czy też po prostu uznaje, że żaden tramwajarz nie będzie na nią gwizdał swoją świstawką? Nie wiemy. Wiemy tylko jedno.

Normalnotorowy wagon tramwajowy typu SNr; fot. W. Brzoskwinia, z arch. MIM (2012)



Nie pomaga świstawka. Nie pomaga uruchamiany za pomocą cięgieł i łańcucha hamulec. Choć woźnica z całych sił kręci korbą, koła konnego tramwaju przecinają obie nogi i jedną rękę Ryfki, przenosząc ją do historii jako pierwszą śmiertelną ofiarę krakowskiej komunikacji miejskiej.

PRZYSTANEK TRZECI. KU NAJODLEGLEJSZYM PRZEDMIĘCIOM

Dziewiętnaście lat później Kraków żegna się z tramwajami konnymi. Szesnastoosobowe wozy są zbyt małe i powolne dla rosnącego miasta. Potrzeba czegoś więcej.

Debaty nad tym, co ma być „czymś więcej”, trwają pięć lat. Miasto waha się. Wybrać tramwaj gazowy czy parowy? Może elektryczny? A jeśli na prąd, to czy dostarczany z ziemi, z powietrza czy z akumulatora? Rada miejska śle ludzi na przeszpiegi do Wiednia, Drezna i Dessau, ale nie potrafi podjąć decyzji. Zostawia ją tramwajarzom. A ci ogłaszają: nowy tramwaj w Krakowie będzie elektryczny! Druty zaś pociągnie się nad ziemią.

Oczywiście nikt nie jest zadowolony. Pomalowane na czerwono słupy trakcyjne przeżywa się czerwonymi szubienicami.

Tramwaj przejeżdżający przez Bramę Floriańską, 1928; autor nieznan, z arch. MIM



Tam, gdzie zamiast słupów montuje się rozety na domach, protestują mieszkańcy: druty będą ściągać pioruny! Wszyscy boją się porażenia... Mówi się, że „odrutowany” Rynek stracił cały swój urok. Przez moment zagrożona jest Brama Floriańska – tramwaj nie zmieści się w prześwicie, trzeba wkopać się pod bruk. Pismo „Naprzód” ostrzega: „Gmina będzie musiała najrychlej wybudować nowy szpital i nowy zakład dla umysłowo chorych. Szpital dla uszkodzonych i poranionych przez tramwaj, drugi zaś zakład dla mieszkańców ulic, którymi tramwaj jeździ, i dla tych, co tramwajem jeżdżą, bo ci niechybnie skutkiem dzwonek tramwajowych zwariować muszą”.

Perspektywy są dość ponure. Tymczasem w zajezdni przy ulicy św. Wawrzyńca wre budowa. To, co starczało dla koni i wagonów, nie nadaje się dla skomplikowanej maszynierii, jaką jest tramwaj elektryczny. Potrzeba wyższej hali postojowej, warsztatów naprawczych oraz – a może przede wszystkim – elektrowni z maszynownią. Aż do 1917 roku krakowski tramwaj będzie miał własne, niezależne zasilanie. Elektrownia w zajezdni składa się z dwóch kotłów i dwóch generatorów mocy, każdy o sile dwustu pięćdziesięciu koni mechanicznych. To zbyt wiele na sam tramwaj, ale firma ma nadzieję zająć się w przyszłości oświetleniem ulic i elektryfikowaniem mieszkań.

To wszystko projektuje architekt Karol Knaus. Wznośi także sześciotorową halę, która pomieści trzydzieści wagonów elektrycznego tramwaju. Kryje ją wspartym na stalowych filarach drewnianym dachem ze świetlikiem.

Pierwszy elektryczny tramwaj opuszcza halę 16 marca 1901 roku. O godzinie 9 rano ma już godnego pasażera – prezydenta miasta Józefa Friedleina. Nazajutrz krakowianie tłumnie rzucają się testować nowoczesny pojazd. Wiele osób nie jedzie z potrzeby, lecz dla przyjemności; dziennikarz „Czasu” zauważa, że szczególnie celuje w tym młodzież szkolna.

Kilka miesięcy po uruchomieniu tramwaj podwaja liczbę przewożonych pasażerów. Ruszają też prace przy budowie nowych linii i jesienią 1902 roku elektryczny tramwaj dociera do „najodleglejszych przedmieść”: na Zwierzyniec, do Parku Jordana i na planty Dietlowskie.

PRZYSTANEK CZWARTY. PRZESIADKI

20 stycznia 1913 roku przy trzaskającym mrozie zajezdnię przy ulicy Wawrzyńca opuszcza kolos. Kolos ma osiem metrów długości, dzwonki „dyskretne a donośne” i sięga pierwszego piętra kamienic, ale ważniejszy jest rozstaw jego kół. Wynosi nie dziewięćset, a tysiąc czterysta trzydzieści pięć milimetrów. Kraków przedstawia się z wąskotorowego na tramwaj normalnotorowy.

Oficjalnie dla dwunastu kolosów wznosi się kolejną halę przy ulicy Wawrzyńca. Dziwny budynek. Wygląda jak ze stalowych kratownic, ale tak naprawdę powstaje z drewna. To dlatego, że jest planowany jako tymczasowy. Wciśnięty między stajnię, kamienicę a ulicę ledwie mieści się w starej zajezdni.

Już 8 marca pod kołami pędzącego kolosa (o numerze 35) ginie młoda kobieta. Ale to nie hamuje rozwoju tramwaju. Wkrótce spółka tramwajowa musi wydzierżawić od kanoników laterańskich działkę naprzeciw zajezdni. Stawia tam dużą halę na trzydzieści wagonów. Inwestuje także w nowinki. Od 1914 roku na przystankach pojawiają się żelazne, przeszklone skrzynki ze wskazówkami i cyframi. To elektrycznie sterowane tablice, które pokazują czas do odjazdu następnego tramwaju. W planach jest także, aby o zbliżającym się przystanku informowała płyta gramofonowa.

A potem wybucha wojna.

Konduktorzy i maszyniści zamiast do zajezdni idą do wojska. Na ich miejsce przychodzą żony. W męskich mundurach, z torbami na ramieniu doskonale sprawdzają się przy sprzedaży biletów. Jako motorniczy budzą lekkie opory.

Nie ma ich jednak najwidoczniej porucznik Antoni Stawarz, który 31 października 1918 roku, po zajęciu podgórszych koszar, niebieskim tramwajem jedzie opanować odwach na Ryńku...

W latach dwudziestych przy ulicy Wawrzyńca pojawiają się autobusy.

Pierwsze autobusy miejskie jeździły po Krakowie już w 1911 roku (bardzo wcześnie – ta forma komunikacji publicznej w Europie dopiero raczkowała).

W tle: dziedziniec zajezdni z pierwszymi wozami do obsługi stałych linii autobusowych, 1929; autor nieznany, z arch. MIM

Słup przystanku kolei elektrycznej w Krakowie, 1936; autor nieznany, NAC

Wówczas nie miały jeszcze nic wspólnego z zajezdnią przy ulicy Wawrzyńca. Kursowały na Salwator, aż zniknęły, zastąpione przez doprowadzony tam tramwaj. Wróciły około 1920 roku. To tajemniczy, niezbadany okres ich dziejów: wiadomo tylko, że coś gdzieś jeździło – coś prywatnego, zamiejskiego, lecz lokalnego. Na pewno kursowała linia na lotnisko, ale prawdopodobnie były także inne miejskie, dziś zapomniane.

Teraz autobusy dostają przy ulicy Wawrzyńca własną halę, myjnię i warsztat. Z Austrii sprowadza się zbiornik na dziesięć tysięcy litrów benzyny i wkopuje go w ziemię. Tak powstaje jedna z pierwszych w Krakowie stacji benzynowych. Z początku działa na nadciśnienie (to szczyt techniki!), ale szybko się psuje i odtąd paliwo czerpie się normalną ręczną pompą.

A tramwaje powoli szykują się do wyprowadzki z Wawrzyńca. Od 1939 roku mają już piękną, żelbetonową halę u zbiegu dzisiejszych ulic Rzemieślniczej i Skrzyneckiego.

W 1965 roku ostatni tramwaj opuszcza starą zajezdnię. Odtąd sto pięćdziesiąt krakowskich wagonów tramwajowych nocuje w Nowej Hucie. Budynki na dawnej działce Riedmüllerów biorą we władanie autobusy. Trakcja zostaje rozmontowana, szyny rozebrane. W halach torowiska zalega się warstwa betonu, by nie grzęzły w nich koła.

A potem – potem, kiedy w Krakowie po osiemdziesięciu czterech kilometrach torów tramwajowych jeżdżą już dwieście dwa tramwaje, stare hale wpisuje się do rejestru zabytków i urządza w nich muzeum.

Stoi w nim także szafirowe cacko wykwintu: dziewiętnastowieczny wagon krakowskiego tramwaju konnego.



Układanie krzyżownic torów do Bronowic, ul. Wiślna/Zwierzyniecka, l. 30. XX w.; autor nieznany, z arch. MIM



Krakowskie konduktorki przed tramwajem, 1942; autor nieznany, NAC

ILUMINACJE NAJJAŚNIEJSZEGO PANA

18 LUTEGO 1905 ROKU RUSZA POŚWIĘCONA PRZEZ KSIĘDZA GŁOWACKIEGO DYNAMOMASZYNA KRAKOWSKIEJ ELEKTROWNI MIEJSKIEJ. ROK PÓŹNIEJ ZASIŁA JUŻ PRAWIE DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ TYSIĘCY ŻARÓWEK.

Huk! Łomot i trzask. Ułamek sekundy potem – fala uderzeniowa. Podmucha wyrywa okna, wybija szyby, burzy ścianki działowe, zrywa telefony i lampy, łamie krzesła. Zdmuchuje dach z kotłowni i hali maszyn. Wszędzie leżą papiery i odłamki szkła. Z pozrywanych kaloryferów cieknie woda.

Potem opada kurz i gruz. Robi się cicho.

Tak cicho, jak nigdy. Nie słychać skrzypienia dźwigu węglowego. Nie widać dymu, który zawsze snuł się z kominów. Do rozgrzanej kotłowni wpęła trzaskająca, śmiertelnie zimno.

Tej zimy mróz jest zabójczy. Trzeba się spieszyć. Trzeba za wszelką cenę reanimować elektrownię. Zaraz wszystko zamarznie.

Rzucają się do gorączkowej pracy. Otwierają zawory, żeby jak najszybciej spuścić wodę z kotłów i rur. Jeśli zastrygnie, rozsadzi je. Zawory już są zamrożone, puszczają z trudem. Tężeje smar w łożyskach i przekładniach. Jest coraz trudniej. Jest coraz ciemniej. To elektrownia, ale nie ma prądu! Nie świeci ani jedna żarówka. Nigdzie nie można się dodzwonić po pomoc. Są głodni, przemarznięci i zmęczeni, ale muszą ratować elektrownię. Zaraz wszystko zamarznie.

Zaczynają rozpalać kocioł nr VII. Ładują węgiel łopatami, wodę pompują ręcznie. Wreszcie udaje się ogrzać pomieszczenie. Lód, który pokrył już rury, taje. Z sufitu na głowy, karki i za koszule zaczyna padać lodowaty deszcz.

20 stycznia o północy rusza wreszcie turbina nr IV. Nagle – cud. Błyska żarówka, ruszają silniki, dźwigi, wentylatory. Do krakowskiej elektrowni wraca życie.

W tle: rozbudowa elektrowni, po 1927 r.; autor nieznany, z arch. Tauron Dystrybucja SA Oddział Kraków

Dopiero teraz jest czas, żeby zobaczyć, co zostało z wysadzonych przez wycofujących się hitlerowców mostów na Wiśle: połamane przęsła, wymieszane z taflami czterdziestocentymetrowego lodu...

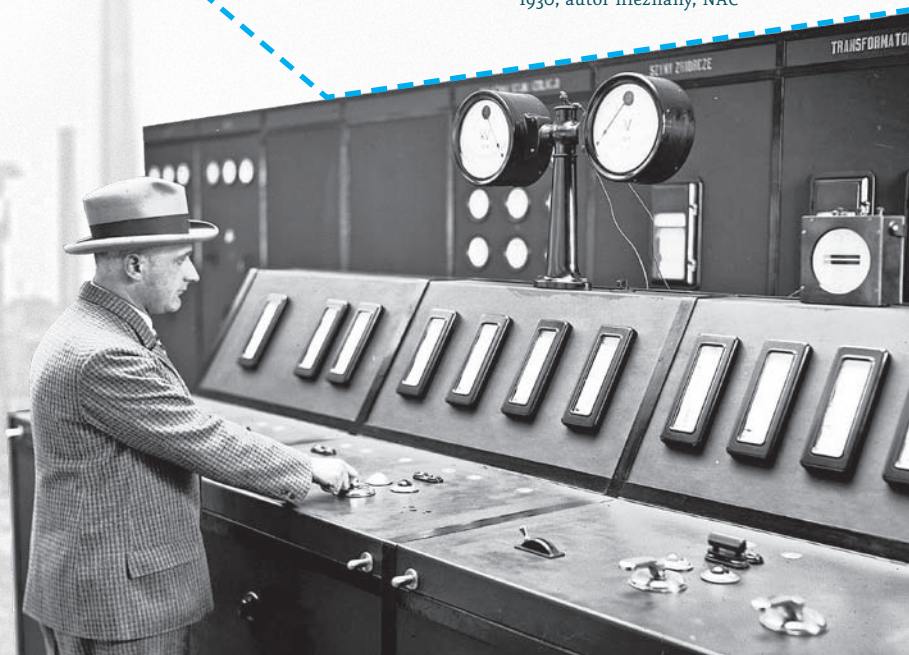
Ale dla pracowników elektrowni to nie koniec. Szpitale, lotnisko, cywile i wojsko – natychmiast potrzebują prądu. Kable są pozrywane, stacje transformatorowe uszkodzone. Nie ma materiałów, brakuje węgla, ziemia jest zamrznięta na kamień, wszyscy są wyczerpani i głodni – ale rzucają się do pracy. Urzędnicy, inkasenci i odczytywacze liczników ładują węgiel do kotłów. Panie zza zniszczonych biurów sprzątają gruz i szkło. Mróz wciąż ścina smary i przez jakiś czas wydaje się, że jednak przegrają, że elektrownia stanie. Nie staje. Uruchamiają zerwaną linię, którą do Krakowa płynie prąd z Jaworzna. Sytuacja jest uratowana.

Kraków znów ma prąd.

BLASK NAJJAŚNIEJSZEGO PANA

Jak bardzo efektowną nowinką jest prąd, krakowianie przekonują się 2 września 1880 roku. Tego dnia miasto przypomina wielką choinkę. Lamy i lampiony zwisają z murów kamienic wśród flag i sztandarów. Pierwsze blaski iluminacji rozbłyskają kwadrans po ósmej.

Elektrownia w Jaworznie
– urządzenia wewnętrzne,
1930; autor nieznany, NAC



Kraków jaśnieje na cześć najjaśniejszego pana. Franciszek Józef, z Bożej łaski cesarz Austrii, apostołski król Węgier, król Czech, Dalmacji, Chorwacji i Jerozolimy, Sławonii, Galicji, Lodomerii i Ilirii etc., etc., wielki książę Toskanii i Krakowa etc., etc., wizytuje swoją Galicję. W dworskim powozie jedzie Grodzką ku Plantom, dworcowi i z powrotem na Rynek. Jedzie w blasku.

Dziennikarz „Czasu” notuje: Sukiennice błyszczą światłem elektrycznym, dom bankowy Resursy jaśnieje gazem, na balkonie gmachu Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń świeci się herb cesarstwa, a poblask z balustrady i wazonów zalewa Planty światłem białym, czerwonym i niebieskim. Z Bramy Floriańskiej elektryczne lampy rzucają łunę na kolumnę z popiersiem najjaśniejszego pana przed Akademią Sztuk Pięknych. Płoną koszary straży ogniowej i elektryczne światła domu pana Goetza na rogu Karmelickiej...

Ale iluminacje z 1880 roku to tylko ewenement. Kraków ma prąd od końca XIX wieku, ale trudno ściśle określić od kiedy. Najpierw energia, służąca głównie do oświetlania, pochodzi z pochowanych po piwnicach generatorów zasilanych gazem: firma Rajal i Syn na rogu ulicy św. Anny, masarz Satalecki przy Floriańskiej, Grand Hotel przy Sławowskiej, Bank Hipoteczny, Collegium Medicum i Browar Goetza... Prąd elektryczny wciąż jest nowością. Powstają pierwsze miejskie elektrownie – w Nowym Jorku, Londynie, Mediolanie, Berlinie i Paryżu. Elektryczność nadal jest czymś w rodzaju cudu. Prądy aplikuje się chorym jako lek na wszystko. Warszawa od kilku lat „elektryzuje się” na potęgę. „Kurier Warszawski” donosi ze zgrozą, że jakiś

Dom Machin; fot.
J. Nowostawska-
Gyalókey, z arch.
MIK (2013)



panicz kazał tam niedawno „naelektryzować” swojego sparaliżowanego konia.

Pierwsza stała elektrownia rusza w Krakowie prawdopodobnie w 1893 roku. Należy do Teatru im. J. Słowackiego. Mieści się w zaprojektowanym przez Jana Zawiejskiego budynku, o którym szybko zaczniesz mówić „Dom Machin”. Budynek ma kształt willi i sprytnie ukrywa silniki i prądnice, które dla teatru sprowadził do Polski z Frankfurtu Czech František Křižík. Ze szczytu wieżyczki wystaje dyskretnie sam czubek komina.

Maszyny, które montuje Křižík, sprawdzają się w teatrze, a on sam dostaje kolejne zlecenia. W 1898 roku wyposaża elektrownię na stacji kolejowej w leżącym wciąż poza granicami miasta Płaszowie, a już rok później uruchamia w Podgórzu pierwszą dużą elektrownię miejską.

Kraków poczeka na własną elektrownię miejską aż do 1905 roku.

PSTRYK I ŚWIATŁO

Wieczorem 18 lutego 1905 roku w ceglanej hali, której okna wychodzą na ulicę św. Wawrzyńca, panuje półmrok. Goście, radni i urzędnicy z magistratu rozmawiają półgłosem z miejskim architektem Janem Rzymkowskim, który zaprojektował wielki gmach. Już poprzedniego dnia w magistracie zapalono na próbę sześć lampek brązowego świecznika przed gabinetem prezydenta miasta. Światło, które rozbłysło, dziennikarze ocenili jako silne i miłe.

Szmerzy milkną, bo ksiądz Głowacki od kanoników latekańskich podnosi kropidło i ostrożnie święci wielką dynamoszynę. Głos zabiera prezydent Krakowa Juliusz Leo. – Elektrownia jako źródło najprzedszymszego i najwytworniejszego światła, jako miejsce produkcji najdoskonalszej i najtańszej z wielu względów siły popędowej stworzyć ma mieszkańcom warunki bytu i rozwoju gospodarczego – zapowiada. Ma nadzieję, że zakład, kierowany przez inżyniera Kazimierza Gayczaka, odda doniosłe usługi rzemieślnikom, którzy dotąd w swych warsztatach dogodnej siły popędowej nie mieli.

Cesarz Franciszek Józef, ok. 1885; fot. C. Pilzner, domena publiczna

W tle: współczesna latarnia w sąsiedztwie Domu Machin; fot. J. Nowostawska-Gyalóky, z arch. MIK (2013)

Inżynier Gayczak jest tuż obok i podaje prezydentowi nożyczki na ozdobnej poduszce. Prezydent przecina wstążkę wiążącą koło rozpędowe maszyny. Uwolnione dynamo rusza i nagle wszystkie lampy w elektrowni rozbłyskają światłem.

Kraków wreszcie ma miejską elektrownię.

Nie doszłoby do tego tak prędko, gdyby nie naciski. W 1899 roku dyrekcja kolei Wiedeń – Lwów postanawia zrezygnować z gazu na rzecz elektryczności. Myśli o budowie własnej elektrowni. Krakowska gazownia, która dotąd ją zasilala, nie chce stracić klienta. Sugeruje władzom, że najwyższy czas na budowę miejskiej wytwórni prądu: podległej gazowni i wyposażonej w silniki zasilane gazem służące do napędu prądnic. Tym razem Kraków reaguje szybko. Nie ma czasu na dziesięcioletni namysł. W październiku 1900 roku inżynier Schleyen ma już gotowy projekt elektrowni na trzy kotły parowe, trzy prądnice i baterię akumulatorów. Szacuje koszty na dziewięćset tysięcy koron. Elektrownia ma powstać u zbiegu ulic Blich i Wielopole. Komisja elektryczna, której przewodniczy prezydent Leo, spotyka się jedyne dwadzieścia cztery razy i akceptuje wszystko. Poza lokalizacją. Lepiej – orzekają radni – będzie umieścić elektrownię na peryferiach. Obok gazowni.

NAPIĘCIE SPADA I ROŚNIE

Budowa rozpocznie się jednak dopiero w 1904 roku, według nowego projektu inżyniera Gayczaka. Jan Rzymkowski wznosi ceglany gmach, w którym znajdują się dwa agregaty prądu stałego o mocy trzystu koni mechanicznych, napędzane silnikami gazowymi. 18 lutego 1905 roku w zwojach prądnic zaczyna płynąć prąd.

Z elektrowni przy ulicy Dajwór prąd płynie do dziesięciu żeliwnych skrzyń zakopanych pod chodnikami Starego Miasta. W skrzyniach znajdują się kable rozdzielcze, które niczym pajęczyna rozchodzą się ku domom i firmom. Elektrownia prosperuje. Już rok po uruchomieniu zasilala

Widok z Podgórza na elektrownię, l. 30. XX w.; autor nieznanym, z arch. MIM



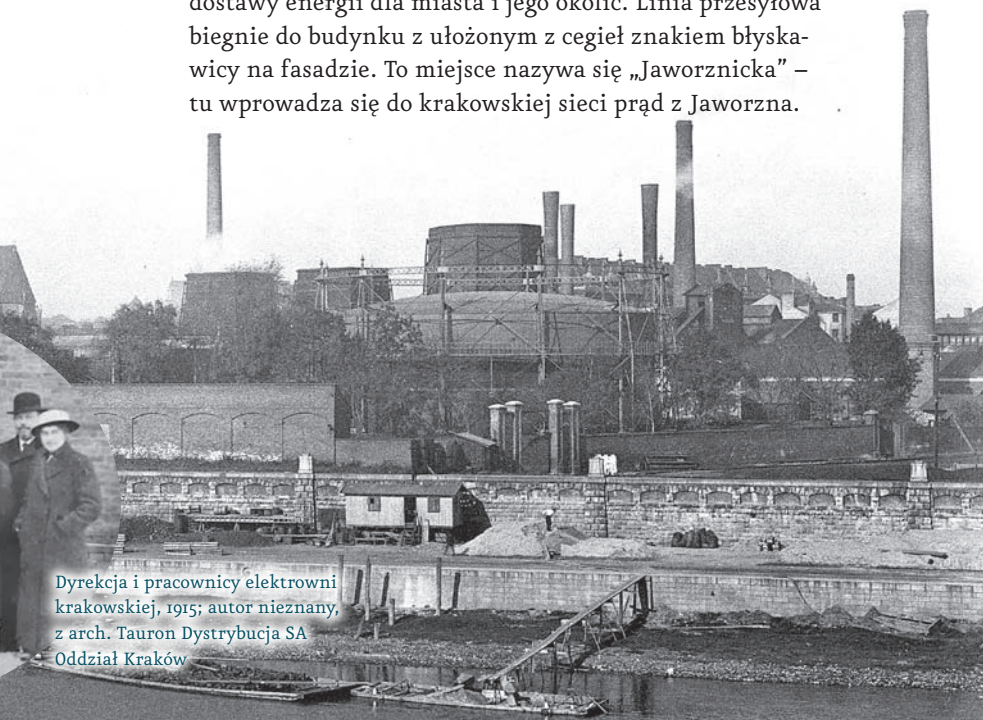
dwadzieścia osiem tysięcy siedemset pięćdziesiąt osiem żarówek i zarabia dla miasta dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć koron na czysto.

Wkrótce przejmuje oświetlenie stacji kolejowej w Płaszowie. Płaszów od elektrowni przy ulicy Dajwór dzieli jednak ponad sześć kilometrów. To duża odległość. Nie da się bez strat przesłać tak daleko prądu stałego. Elektrownia inwestuje więc w przetwornicę, która przetwarza prąd stały w zmienny, stację transformatorową i pierwszy kabel wysokiego napięcia.

Liczba odbiorców rośnie. Już wkrótce krańce sieci sięgają tak daleko, że trudno utrzymać odpowiednie napięcie. Trzeba postawić pierwszą podstację. Przy ulicy Łobzowskiej 9 wznosi ją Jan Rzymkowski. Przetwornice podstacji szumią, jęczą i syczą tak, że okoliczni mieszkańcy nie mogą spać. Domagają się usunięcia potwora.

Potwór zostaje jednak i syczy dalej. Prądu potrzeba coraz więcej. W 1908 roku elektrownia uniezależnia się od gazowni. W 1912 roku staje się jednym ze źródeł zasilania dla tramwaju.

W latach dwudziestych Kraków znajduje potężnego elektrycznego sprzymierzeńca. Przy kopalni węgla w Jaworznie powstaje wielka elektrownia. Władze gminy Kraków wykupują udziały w przedsięwzięciu, zapewniając dostawę energii dla miasta i jego okolic. Linia przesyłowa biegnie do budynku z ułożonym z cegieł znakiem błyskawicy na fasadzie. To miejsce nazywa się „Jaworznicka” – tu wprowadza się do krakowskiej sieci prąd z Jaworzna.



Dyrekcja i pracownicy elektrowni krakowskiej, 1915; autor nieznaný, z arch. Tauron Dystrybucja SA Oddział Kraków

A prąd chcą mieć wszyscy. W 1927 roku rusza wielka elektryfikacja ulic. Kable elektrowni docierają już niemal wszędzie. Są na boisku Cracovii i w kryptach pod Wawelem, a w latach trzydziestych śmiało przekraczają granice Krakowa. Docierają do trzydziestu podmiejskich gmin. Żarówki rozbłyskują w Bronowicach, Skawinie, Olszy, Wieliczce, nocami reflektory wyłuskują z mroku wieże kościoła Mariackiego, Sukiennice, fontannę na Plantach i witraże Wyspiańskiego. Mieszkańcy z zapałem kupują elektryczne żelazka i poduszki, kuchenki i wentylatory. Przedwojenny Kraków jest jednym z najlepiej oświetlonych miast Europy.

POD BŁYSKAWICĄ Z CEGŁY

Najpierw jest huk, łomot i trzask. Ułamek sekundy potem nadchodzi fala uderzeniowa. Wybuch ładunków, którymi hitlerowcy zaminowali mosty na Wiśle, zrywa dach kotłowni i hali maszyn, wybija wszystkie szyby w elektrowni i gazowni, zwija w rulon blachy na szczycie wielkiego gazometru. Pracownicy zakładów rzucają się do pracy. Trzeba uruchomić elektrownię i gazownię, zanim wszystko zamarznie...

Udaje się. Już wkrótce elektrownia bierze na siebie także ogrzewanie miasta. Za przystosowanie maszyn do produkcji ciepła jej pracownicy dostaną nagrodę państwową drugiego stopnia.

Prąd będzie się przy ulicy Dajwór produkować do 1976 roku; ciepło – do 1984. Potem najcięższe prace weźmie na siebie ukończona w 1986 roku Elektrociepłownia Łęg. W starej elektrowni zostaną biura dyrekcji, księgowość oraz niektóre wydziały techniczne. W budynku „Jaworznicka”, tym z ceglana błyskawicą, urządzi się dyspozytornię. O każdej porze dnia i nocy specjaliści będą tu czuwać nad prawidłowym funkcjonowaniem sieci od Sierszy przez Kraków, Podhale po Muszynę, Krynicę i Stary Sącz. Będą patrzeć na małe kolorowe żarówki połączone pajęczyną delikatnych linii (ciągłej tam, gdzie przewody idą powietrzem, przerywanej – gdzie schodzą pod ziemię) oraz na ekrany komputerów i rejestrować wszystkie zdarzenia z dokładnością do milisekund.

Sprawdzać, czy wszędzie płynie prąd.

Budynek dawnej podstacji przetwornic przy ul. Łobzowskiej, proj. J. Rzymkowski; autor nieznany, z arch. Tauron Dystrybucja SA Oddział Kraków





Montaż sieci elektrycznej, l. 60 XX w.; autor nieznany, z arch. Tauron Dystrybucja SA Oddział Kraków

BIBLIOGRAFIA

„Czas”: 30 października 1857; 22 grudnia 1857; 23 grudnia 1857; 3 marca 1858; 18 czerwca 1858; 7 września 1858; 3 września 1880; 25 sierpnia 1881; 1 listopada 1882; 3 listopada 1882; 18 listopada 1882; 17 marca 1901; 20 lutego 1905.

Energetyka krakowska, red. W. Kania, Kraków 2005.

Kołodziej J., *Krakowskie tramwaje*, Rybnik 2010.

Kucharski J., *Zarys komunikacji autobusowej w Krakowie w latach 1927–39*, [w:] *Materiały i studia sekcji historycznej MPK*, Kraków 1988, nr 2.

Mleczek G., *150 lat Gazowni Krakowskiej*, Kraków 2006.

Strzetelska-Ciechan J., Baster Z., *Latarnie gazowe XIX-wiecznego Krakowa*, „Rocznik Krakowski” 1989, t. LV.

Jeśli chciałbyś rozwikłać zagadkę tego, kto pragnął być podeptany, by sięgnąć gwiazd, jeśli masz ochotę na towarzystwo pewnego badacza starożytności lub konserwatora, któremu przyśniło się wielkie odkrycie, jeśli intrygują cię tajemnice starych kościołów i przedpiastowskiej Wiślicy...

...WEJDŹ Z NAMI NA SZLAK
MAŁOPOLSKA ROMAŃSKA

Kościół w Kościelcu, fragm. portalu
wejściowego; fot. K. Fidyk, z arch.
MIK (2012)



Szlak Małopolska romańska prezentuje osiemnaście najcenniejszych, choć nie zawsze najbardziej znanych, zabytków sztuki i architektury romańskiej. Biegnie przez jedenaście miejscowości. To trasa dla odkrywców. Niewiele zabytków wczesnośredniowiecznej sztuki przetrwało do naszych czasów w formie niezmienionej. Często zachowały się jedynie części budowli, fragmenty dekoracji, pojedyncze rzeźby, samotne kolumny, urwane plecionki. Czasem wkomponowane w późniejsze budynki, czasem ukryte w podziemiach czekają na wprawne oko poszukiwacza skarbów przeszłości. A jest czego szukać! Pochodząca z dawnego kościoła rzeźba lwa na rynku w Czchowie. Dwadzieścia osiem znaków kamieniarskich pozostawionych na murach świątyni w Dziekanowicach. Ukryty w klimacie ulic i w budowlach urok wczesnośredniowiecznego Krakowa. Zaklęte w kamieniach skarby klasztorów w Tyńcu, Mogile i Miechowie. Głowa lwa, w którego paszczy tkwi grzesznik, na wykonanej z brązu antabie, czyli uchwycie do otwierania drzwi kościoła w Luborzycy, dwunastowieczna polichromia z postacią króla w kościele w Tropiu. Kamienna rzeźba Madonny na tronie w Wysocicach...

W ramach XV Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego zapraszamy szczególnie do trzech miejsc: **kościoła pw. św. Wojciecha w Kościelcu, kościoła pw. św. Jana Chrzciciela w Prandocinie oraz bazyliki kolegiackiej Narodzenia Najświętszej Marii Panny i Muzeum Regionalnego w Wiślicy.**

SZCZEGÓŁ KOLUMBA

**BURZLIWE DZIEJE ŚWIĄTYNI UFUNDOWANEJ W DRUGIEJ
ĆWIERCI XIII WIEKU PRZEZ KRAKOWSKIEGO BISKUPA
WISŁAWA SPRAWIŁY, ŻE KOŚCIÓŁ ŚW. WOJCIECHA W KO-
ŚCIELCU STANOWI NIEZWYKŁE POŁĄCZENIE STYLU ROMAŃ-
SKIEGO Z BAROKIEM.**

Dziwna postać przemierza proszowickie pagórki tego pogodnego, sierpniowego dnia. Ciepły wiatr rozwiewa bujne, choć posiwiałe włosy, polny kurz osiada na miejskim surducie i wąsach, ciemniejszych nad górną wargą. Mężczyzna ma pięćdziesiąt lat, idzie żwawo i nie znać na nim zmęczenia. Studenci i inni profesorowie mówią o nim, że jest niezmordowanie ruchliwy. To Władysław Łuszczkiewicz, wykładowca ASP, znany badacz starożytności. Jest 1875 rok, a on właśnie zmierza do Kościelca.

To jedna z pierwszych wędrówek naszego starożytnika. Profesor, z zamiłowania historyk, właśnie postanowił na dobre zająć się najdawniejszą architekturą polską. Nikt do końca nie rozumie dlaczego. Sztuka romańska wciąż nie jest ceniona. Wszystko, co starsze niż gotyk, określa się mianem „bizanckie” i nie poświęca temu większej uwagi. Ale Łuszczkiewicz – według kolegów – ma „umysł samodzielny, myślący, kombinujący, szukający nowych dróg i nowych zdobyczy, nie wystarcza mu przeżuwanie, on potrzebuje i musi produkować”. Z całym uporem będzie „Kolumbem stylu romańskiego” w Polsce. To on zaszczerpił u nas tę nazwę.

Kościeliec Proszowicki będzie jednym z pierwszych jego odkryć.

Kościół w Kościelcu;
fot. J. Nowostawska-
Gyalókey, z arch. MIK
(2012)



Władysław Łuszczkiewicz przed 1900 r.;
Z dziejów polskiej historii sztuki. Studia i szkice,
„Ars vetus et nova”, t. 18, Kraków 2005,
fot. w domenie publicznej



ZAKŁAD O MNICHA Z FRANCJI?

Do Kościelca kieruje Łuszczkiewicz Paweł Popiel, konserwator zabytków z ramienia władz austriackich. Profesor wyrusza z zapalem. Idzie wąskimi drogami, które wiją się w głębokich parowach o gliniastych brzegach. Trafia do wsi; rozrzucone bez ładu chaty mają słomiane strzechy, na wzgórzu nad nimi błyszczą w słońcu kamienne ściany kościoła. „Kościelców jest wiele w dawniej Polsce; ile wsi tych, tyle starych kościołów, bo nazwę przybrały osady te od przybytków Bożych tu wcześniej postawionych” – notuje. I rzeczywiście, Kościelec jest stary. Prawdopodobnie już około 1200 roku stał tu zamek, po łacinie *castellum*. Mówi się, że od tego słowa wzięła się polska nazwa „kościół”. Ewentualnie od kości. Cmentarze są wokół wszystkich średniowiecznych świątyń.

Skądkolwiek pochodzi jego nazwa, kościół w Kościelcu też jest stary. Z daleka może nie budzić ciekawości („jest tak zwyczajnem w tej okolicy” – wie już badacz starożytności). W dodatku próżno szukać w nim cennych grobowców czy skarbcza, „liche ma obrazy i liche sprzęty, przeszedł przez niego chłód protestantyzmu”. To, co w sierpniowy dzień 1875 roku budzi emocje naszego starożytnika, jest innej natury. Sam gmach – wykrzykuje profesor – sam gmach jest tu dziełem sztuki!

Rysunek W. Łuszczkiewicza przedstawiający fasadę kościoła w Kościelcu włączony do *Sprawozdania Komisji do Badania Historii Sztuki w Polsce*, t. 4, Kraków 1889

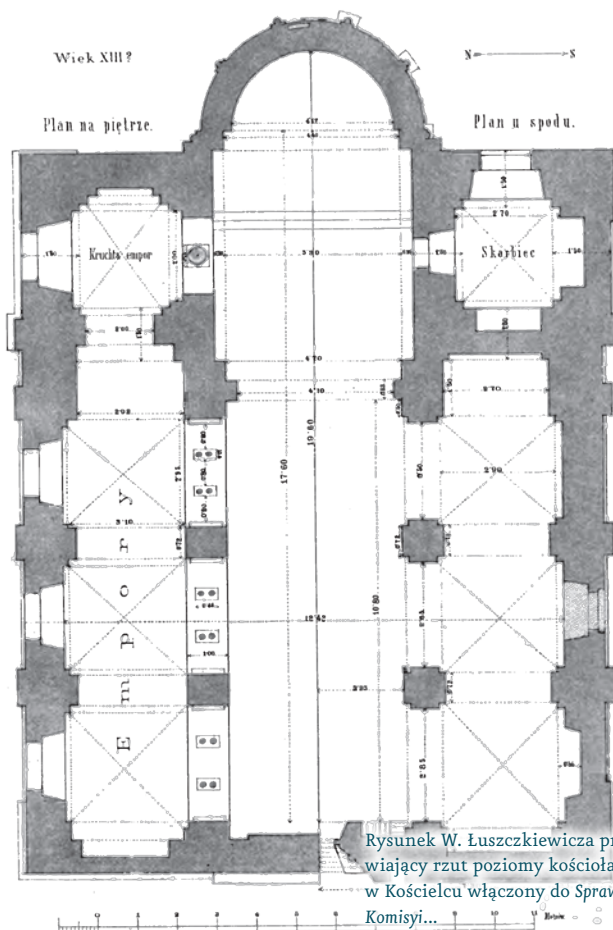


Budowlę ufundował biskup krakowski Wiśław. Kościelec był siedzibą rodu Zabawów, z którego się wywodził. W 1229 roku Wiśław zastąpił na stanowisku zmarłego biskupa Iwona Odrowąża – tego samego, który ściągnął cystersów do Prandocina.

Łuszczkiewicz zna dobrze ich obu. Zna także doskonale stare kościoły w okolicy. Patrzy na kamienne ściany świątyni w Kościelcu i w jego kombinującym (jak określi to później Stanisław Tomkowicz) umyśle rodzi się podejrzenie: Wisław musiał podnająć doświadczonych budowniczych, którzy pracowali dla Iwona w Wawrzeńcyczach, Mogile i na Wawelu. Potrafiłby nawet obstarwić, kim był architekt kościeleckiego kościoła. Mnich cysters z Francji – mógłby się założyć!

KOŚCIÓŁ SW. WOJCIECHA W KOŚCIELCU.

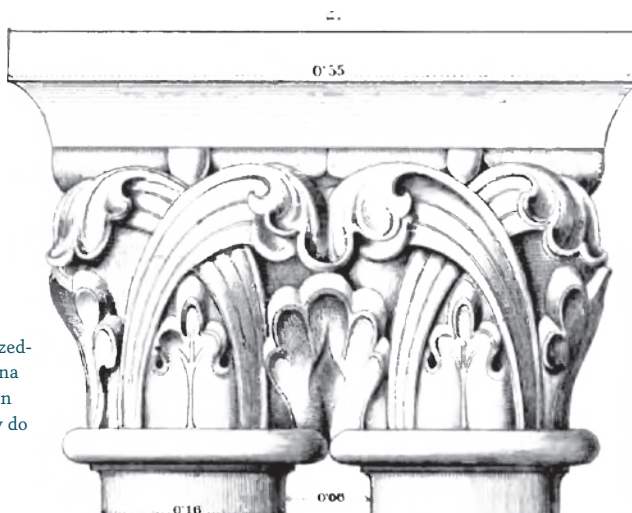
Rzut poziomy.



OSOBLIWY NA NASZ KRAJ SZCZEGÓŁ

Gmach, który tego sierpniowego dnia zachwyca Łuszczkiewicza, jest rzeczywiście niezwykły. Doświadczone oko starożytnika natychmiast to dostrzega. Przede wszystkim rozmach! Jak na wiejski kościół z XIII wieku budowla jest wręcz monumentalna. Profesor ma z sobą narzędzia do pomiarów (nie wiadomo, skąd umie się nimi posługiwać, być może nauczył się tego sam – jest zdolnym samoukiem). Mierzy budynek z niezwykłą starannością. Gmach, notuje, jest niemal kwadratowy, ale wewnątrz dwa rzędy filarów dzielą go na trzy nawy niczym katedrę lub kościół kolegiacki. Środkowa nawa jest szersza. Ściany mają ponad metr grubości, ciągną się na długość nieco mniejszą niż dwadzieścia metrów. Przy prezbiterium mury są jeszcze grubsze. Profesor ma pewność: częściowo dźwigały na sobie bliźniacze wieże. Wyciąga notatnik i spisuje wniosek: „Kościół w Kościelcu miał być budowlą monumentalną o nawach kilku wewnątrz, a świecić miał zdala dwiema wieżami swými, kamiennymi ścianami, a ołowianym dachem”.

Ale prawdziwa gratka czeka na starożytnika wewnątrz. „Znachodzimy bowiem w kościele naszym osobliwy na nasz kraj szczegół, być może jedyny” – emocjonuje się Łuszczkiewicz. Ten szczegół to mieszczące się nad nawami bocznymi, otwarte na główną nawę empory – coś w rodzaju pięterka, z którego do wnętrza spoglądać można przez obszerne otwory, ozdobione podwójnymi kolumnienkami. Każda kolumnienka ma inny ozdobny kapitel: pną się po nich pędy i wici, stylizowane lilie, motywy podobne do liści babki i różne warianty palmety, a rzeźbienia – stwierdza doświadczone oko profesora – są jak dziś zrobione, cięte ostro, dobitnie, z wielkim kunsztem i bez wahania.



Rysunek W. Łuszczkiewicza przedstawiający roślinną dekorację na bliźniaczych kapitelach kolumn kościoła w Kościelcu, włączony do Sprawozdania Komisji...

Cała w ogóle empora zachwyca i zadziwia starożytnika. Znów myśli o odległym od niego o sześćset lat Wisławie. Nie wyjaśni, czemu biskup chciał mieć owo udogodnienie. To zagadka, której nawet on nie będzie w stanie rozwiązać. W jego kombinującym umyśle zrodzi się jednak pewne wyobrażenie. Oczyma duszy zobaczy, jak prosty średnio-wieczny lud ciśnie się do kościoła głównym wejściem, a miejscowi bogaci spokojnie wchodzi na emporę wejściem przez przyziemie wież...

Po powrocie do Krakowa profesor znów zagrzebuje się w archiwach. Szuka śladów historii świątyni. Znajduje kronikę Marcina Bielskiego. Szesnastowieczny dziejopis odwiedził Kościelec. O kościele zapisał: „dziś widzę pustką stoi”. Sprofanował go i spustoszył arianin Bogusz herbu Półkoza.

Z prośbą o dane o diabelskim Półkozie badacz starożytności pisze list do proboszcza z Kościelca.

Proboszcz odpisuje: wszystkiemu winien heretyk Mikołaj Bogusz, który „zarażony herezyą, parocha wyrzucił, kościół sprofanował i arianom oddał, kosztowności srebrne i złote zabrał zapewne na rzecz arian, a pole, ogród i sadzawki do swego majątku przyłączył”.

Profesor nie ma wyjścia, musi wierzyć proboszczowi. Nie wie, że tak naprawdę było trochę inaczej.

Kościół w Kościelcu, fragm. portalu
wejściowego; fot. J. Nowostawska-
Gyalókay, z arch. MIK (2012)



NADCHODZI CHŁÓD

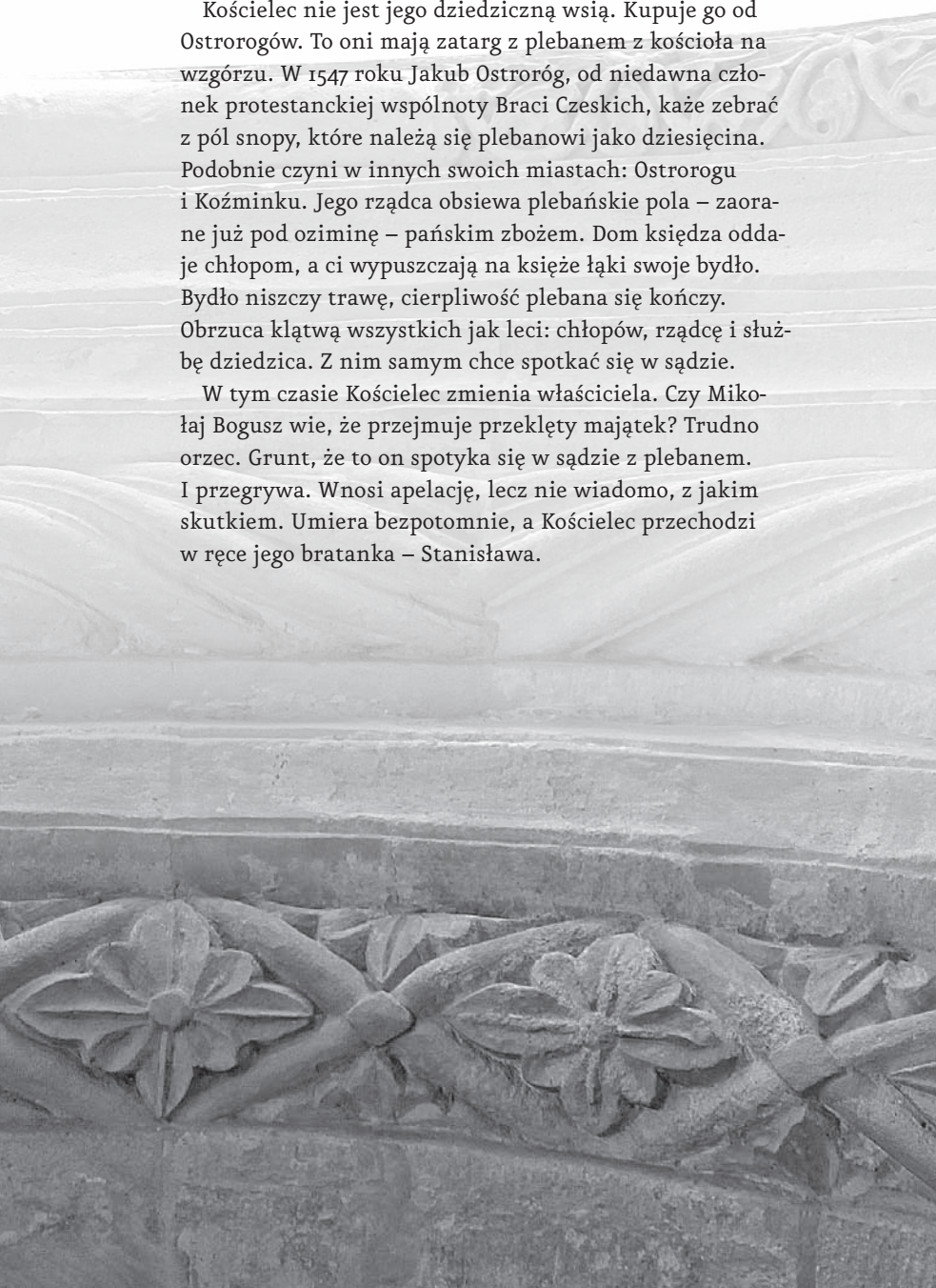
Kim był Mikołaj Bogusz? Dworzaninem biskupa Tomickiego. Pobożnym i hojnym dworzaninem. Ufundował kaplicę w kościele dominikańskim (spoczął w niej po śmierci).

Nie sprawia wrażenia heretyka.

I chyba rzeczywiście nim nie jest.

Kościelec nie jest jego dziedziczną wsią. Kupuje go od Ostrorogów. To oni mają zatarg z plebanem z kościoła na wzgórzu. W 1547 roku Jakub Ostroróg, od niedawna członek protestanckiej wspólnoty Braci Czeskich, każe zebrać z pól snopy, które należą się plebanowi jako dziesięcina. Podobnie czyni w innych swoich miastach: Ostrorogu i Koźminku. Jego rządca obsiewa plebańskie pola – zaorane już pod oziminę – pańskim zbożem. Dom księdza oddaje chłopom, a ci wypuszczają na księżę łąki swoje bydło. Bydło niszczy trawę, cierpliwość plebana się kończy. Obrzuca klątwą wszystkich jak leci: chłopów, rządcę i służbę dziedzica. Z nim samym chce spotkać się w sądzie.

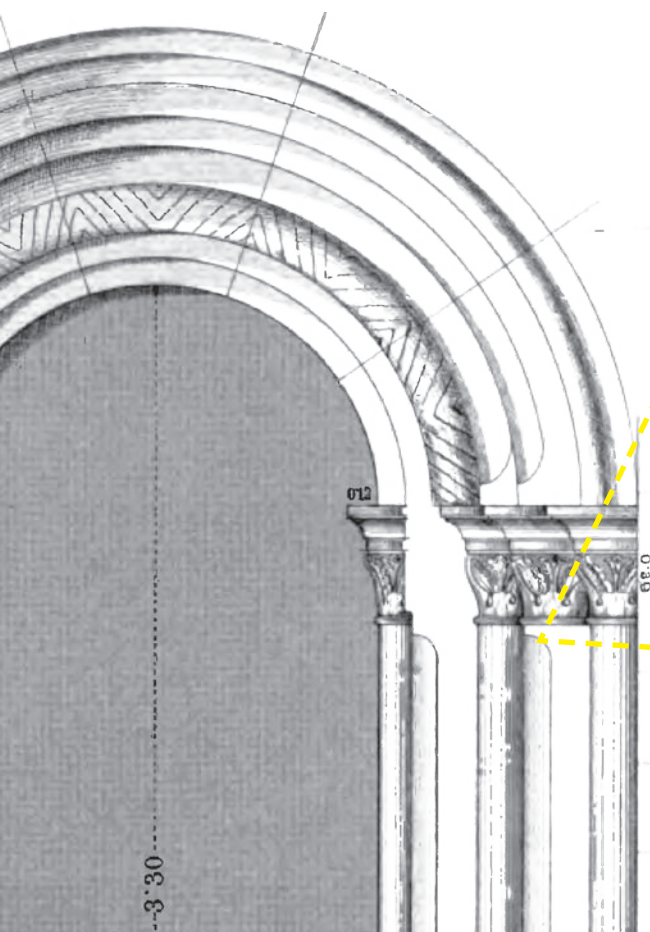
W tym czasie Kościelec zmienia właściciela. Czy Mikołaj Bogusz wie, że przejmuje przeklęty majątek? Trudno orzec. Grunt, że to on spotyka się w sądzie z plebanem. I przegrywa. Wnosi apelację, lecz nie wiadomo, z jakim skutkiem. Umiera bezpotomnie, a Kościelec przechodzi w ręce jego bratanka – Stanisława.



Stanisław jest zagorzałym arianinem.

Jeśli ktoś mógł spustoszyć i sprofanować kościół w Kościelcu, to pewnie on.

Jakkolwiek było, w XVI wieku wieś odwiedza kronikarz Marcin Bielski i widzi, że świątynia „pustką stoi”. A w kościelnej kronice do dziś znaleźć można legendę o dziedzicu Boguszu, co z diabłem był za pan brat, o czym świadczy jego szatański herb Półkoza. O dziedzicu, co dobrze pijał, w karty grywał, a u ciotki w Piekarach, gdzie były gładkie białogłówki, przesiadywał po całych nocach z Samuelem Zborowskim, by o polityce gadać i wiarę Socyna w siebie wprowadzać... Będzie też można tam przeczytać napisaną ozdobnym, okrągłym pismem nieznanego proboszcza klechdę o tym, jak Bogusz grał z plebanem i przegrał do niego sakiewkę, karetę z czwórką koni, a wreszcie i sam kościół, i jak wściekły pognął w ciemną burzową noc, aż koła pożyczonej karocy nie wyrobiły na zakręcie i wyrzuciły go w bagno, gdzie utonął na wieki wieków amen.



Rysunek W. Łuszczkiewicza przedstawiający romański portal świątyni w Kościelcu, włączony do Sprawozdania Komisji...

CZEKAJĄC NA KOLUMBA

W XVII wieku do kościoła w Kościelcu wraca katolicki proboszcz. Po kilkudziesięciu latach opuszczenia gmach musi być w ruinie, bo przebudowa, którą zleca ksiądz Maciej Molenda, jest znaczna. Kościół traci wieże, którymi miał „świecić” z dala. Ściany naw bocznych trzeba wymurować na nowo, a drewniane stropy zastąpić barokowym sklepieniem. Ksiądz ściąga też do sprofanowanej świątyni relikwie: są wśród nich kości ręki św. Barbary oraz szczątki św. Pauliny i św. Jana Kantego.

Tego rodzaju historie nie wzruszają jednak poważnego badacza starożytności, który jest tu sierpniowego dnia 1875 roku. Profesor Władysław Łuszczkiewicz ma z sobą narzędzia miernicze i woli pewnie poświęcić czas na pomiary, wynotować grubości murów, promienie absyd, średnice kolumnienek. Woli drobiazgowo naszkicować niezwykle kapitele kolumnienek empory i podumać nad doskonałymi łukami romańskiego portalu. Woli spojrzeć na kościół swym analitycznym okiem i oddzielić w myślach to, co romańskie i starożytne, od tego, co „oszpeciła” tu barokowa przebudowa.

Piękno i wspaniale zrealizowany zamiar estetyczny nieznanego architekta budzą w nim prawdziwy podziw. Czuje, że wycieczka nie poszła na marne.

Nie wie jeszcze, że w całym kraju, wśród pagórów i gliniastych parowów, na łagodnych wzgórzach czeka na niego cały zapomniany romański świat. Nie wie, że to pora dla Kolumba.

PERŁA NA PAGÓRZE

KOMES PRANDOTA STARY BYŁ JEDNYM Z NAJLEPSZYCH RYCERZY BOLESŁAWA KRZYWOUSTEGO. W KOŚCIELE PW. ŚW. JANA CHRZCICIELA W PRANDOCINIE, KTÓRY ROZKAZAŁ WZNIEŚĆ W SWYM RODOWYM GNIEZDZIE, DO DZIŚ ZACHOWAŁY SIĘ NIEZWYKŁE DETALE ROMAŃSKIEJ ARCHITEKTURY.

Dzień, w którym badacz starożytności Władysław Łuszczkiewicz dokonuje tego odkrycia, musi być szczególnie ładny. Coś z jego pogody przetrwało w profesorskim opisie: okolica jest płaska, z lekka pagórkowata, żyzna. Trakt biegnie na północ wązami przerzynającymi pagóry i niemal na pewno (choć badacz o tym nie pisze) w wędrownie towarzyszą mu ptaki.

Osada, ku której skręca, leży niedaleko od gościńca. Nad nią, wśród kępy drzew na szczycie pagóra, dostrzega wieżę – w słońcu błyszczą żelazna blacha w formie wywróconego kielicha. Z dala nie wygląda na starożytną, ale Łuszczkiewicz jest doświadczonym badaczem przeszłości. Zna na wylot kraj i wszystkie pamiątki jego zamierzczej cywilizacji. Jest niestrudżonym wędrownie. Nie ma chyba takiej zapadłej wsi, takiej chylącej się ku ruinie świątyni, której nie odwiedziłby i nie zbadał. Tego letniego dnia drugiej połowy XIX wieku ma przecucie (albo po prostu wie, dokąd zmierza). I nie myli się. Z bliska widać, że białe ciosy świątyni przybrały „barwę rdzawą, mech jasny pokrył ściany, gdzie słońce nieświeci, inne wybielały od słońca”. – Wszystko świadczy o starożytności budowy – mruć profesor. Z szacunkiem nachyla się ku starannie obrobionym kamieniom. Wciąż znać na nich regularne ślady szerokiego dłuta. Patrzy na emporę, na której przysiadła ośmiokątna wieża, spogląda na „ornamentacje” i fryz arkadowy – i ma pewność.

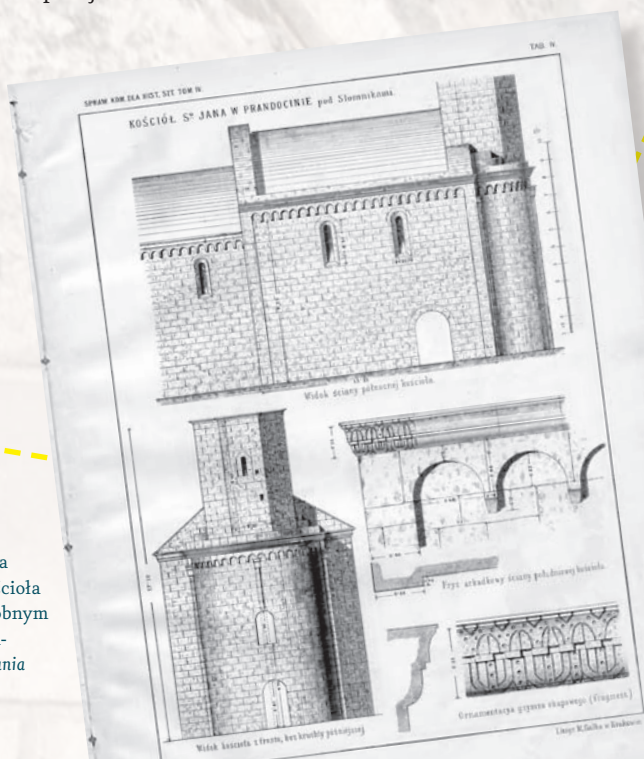
Choć wiele tu „oszepecono”, ma przed sobą niezwykły zabytek. Małą perłę sztuki średniowiecza: kościół św. Jana Chrzciciela we wsi Prandocin, ćwierć mili od miasteczka Słomniki.

PRZYBYWA PRANDOTA I KAMIENIARZE

Prandota także był tu przybyszem. Jego ojciec pochodził z czeskiego rodu Baworowiców, do Polski przybył wraz z dworem księżniczki Judyty, przyszłej żony Władysława Hermana. W czasach, o których mówimy, w połowie XII wieku, Prandota nosi już przydomek Stary. Inni zwą go Wielkim. Jest jednym z najznakomitszych rycerzy Krzywoustego. Za śmiałość w walce z Pomorzanami dostaje żyzne, pagórkowate ziemie na północ od Krakowa. Zakłada na nich gród lub dworzyszczce, które sąsiedzi ochrzczają Prandocinem. Jest tam komesem i sprawuje sądy. Najtrudniejsze sprawy oddaje najwyższej instancji: o prawdzie decyduje sąd Boży – walka na kije lub próba wody.

Prandocin stanie się gniazdem rodowym Odrowążów, potomków Prandoty. „[...] komes grodowy lubi mieć obok zamku kościół lub kaplicę – spotykamy się z tym często” – notuje kilka stuleci później badacz starożytności Władysław Łuszczkiewicz. W czasach, kiedy to pisze, na pagórze nad wsią po zamku nie ma śladu (może tak naprawdę nigdy go nie było). Kościół stoi samotnie, a jego stan zdumiewa brodatego profesora-odkrywcę. „Doborowi materyału i tej dokładności roboty kamieniarskiej przypisywać należy dziwnie dobre zachowanie tej części kościoła” – zapisuje.

Rysunek W. Łuszczkiewicza przedstawiający widok kościoła w Prandocinie wraz z ozdobnym fryzem arkadowym i gzymsem włączony do Sprawozdania Komisji...



Siedemset lat wcześniej, w połowie XII wieku, komes Prandota (który jest już wtedy rzeczywiście stary) lub jego syn Saul Odrowąż ściąga do Prandocina wybitnych mistrzów kamieniarki. Możliwe, że to ci sami budownicy, którzy wznosili nadreńskie katedry. Długimi dłutami obrabiają bloki piaskowca w duże ciosy. Na świętej osi wschód–zachód układają z nich nieduży kościół: ma jedną nawę o długości około siedemnastu metrów, małe romańskie okienka i apsydy na planie półkola na obu końcach. Nad zachodnią apsydą wybudują emporę – lożę, gdzie mszy będą słuchali sam Prandota lub Saul i ich potomkowie. Empora wesprze się na pięknej kolumnie. Nad nią będzie wznosiła się niezbyt wysoka ośmioboczna wieża – z wąskiego okienka wieży można będzie bezpiecznie ostrzeliwać Mongołów, którzy niedługo zaczną zagrażać mieszkańcom żywnych pagórów w okolicach Krakowa. Ścianę kościoła od zewnątrz wybitni kamieniarze ozdobią fryzem arkadkowym. Jeden z nich wespnie się po rusztowaniach, by w kamiennym gzymsie nad arkadkami rzeźbić delikatnie gzygzaki, kuć linie i wiercić kółka jak w drewnie. „Nic prostszego nad ten rysunek rylcem i zębowanie środkowej listewki – zachwyca się Łuszczkiewicz – a jednak całość jest nie tylko piękną, ale i oryginalną, powiedzmy tym razem – swojską”.



Kolumna – dziś stojąca nieopodal kościoła w Prandocinie, niegdyś podtrzymująca emporę wewnątrz kościoła; fot. J. Nowostawska-Gyalókey, z arch. MIK (2012)

CYSTERSI NADCHODZĄ I ODCHODZĄ

W 1222 roku do Prandocina docierają kolejni przybysze. Jest ich kilku, mają białe habity z szarymi szkaplerzami i nogi pokryte kurzem trzystupięćdziesięciokilometrowej drogi. To cystersi, zwani wtedy także szarymi mnichami, z klasztoru w Lubiążu. Ściągnął ich tu potomek Prandoty, krakowski biskup Iwo Odrowąż. Przekonał swojego stryjecznego brata Wisława, komesa Prandocina, by oddał mnichom rodową siedzibę wraz z trzema innymi wsiami.

Cystersi osiadają w Kacicach. Budują murowaną kaplicę, meliorują podmokłe łąki, stawiają cztery młyny i kilka ogromnych stodół, zakładają stawy rybne, a na górze Truszczyń sadzą winorośl.

Ale nie zabawią tu długo. Komes Wisław żałuje chyba hojności, a i jego spadkobiercy nie są zadowoleni. Biskup Iwo postanawia przenieść braci do swojej wsi Mogiła pod Krakowem. W 1225 roku dwunastu mnichów i opat opuszczają Kacice i Prandocin. Bez żalu. Wierzą, że czynią Bożą wolę.

Idą śladem pewnego krucyfiksu.

To niezwykle krzyż. Ponoć pamięta czasy Starego Prandoty. Wisi w kościele w Prandocinie, dopóki pewnego dnia nie porywają go wody powodzi. Niedługo potem we wsi Mogiła miejscowy kowal dostrzega w wodzie ciało. Rzuca się na ratunek, ale zamiast topielca wyławia ukrzyżowanego Chrystusa. Znosi go do drewnianego kościółka św. Bartłomieja. Już wkrótce przybyli z Kacic cystersi przeniosą go do kościoła, który zbudują, a krzyż zacznie czynić cuda. Wskrzesi utopionego chłopca, komuś przywróci wzrok, komuś słuch...

A porzucony kościół w Prandocinie ma już nowych gości. Niechcianych.

Kościół w Prandocinie;
fot. K. Fidyk, z arch.
MIK (2012)



PRZEKŁĘTY KSIĄŻĘ NAJEŻDŻA PAGÓR

Nowi przyjezdni przybywają konno, zakuci w zbroje, w szczęku oręża. Piękno kościoła nie robi na nich wrażenia. Podobają im się tylko wąskie okna, ośmioboczna wieża (być może to oni ją budują), grube mury. Nie przyjechali się tu modlić. Przyjechali walczyć. Jest rok 1235. Książę Konrad Mazowiecki wyruszył przeciw krakowskiemu księciu Bolesławowi Wstydliwemu oraz jego opiekunowi Henrykowi Brodatemu i potrzebuje warowni, których mógłby użyć. Wykorzysta do tego kolegiatę w Skalbmierzu, klasztor w Jędrzejowie i kościoły: św. Andrzeja pod Wawelem oraz św. Jana w Prandocinie. „Pierwszy to z pośród książąt, który poważwszy się sprofanować święte budowle i oddać je na cele wojenne, przekazał ten haniebny zwyczaj jako gorszący przykład dla następców” – napisze o nim Jan Długosz.

Ale Konrad Mazowiecki nie boi się świętokradztwa. To groźny i bezwzględny mąż. Przeciwnikom wydiera oczy, więzi, torturuje i wiesza. Ma już na koncie kłutwę za zamordowanie kanonika płockiego. Kolejna najwyraźniej nie jest mu straszna. Rycerska banda, którą napuszcza na Prandocin, bezczęści kościół, fortyfikuje go, okopuje suchą fosą, otacza nasypami, po czym zamyka się w nim z zapasem żywności i broni.

Choć Konrad poniesie porażkę, kościół będzie warownią aż do 1273 roku.

Jej ślady odnajdzie jeszcze badacz starożytności Łuszczkiewicz. Weźmie je za pozostałości zamku komesa Prandoty. „Do niedawna były tu jeszcze ślady wałów, zniósł je dzisiejszy proboszcz” – zanotuje.

W tle: fragment romańskiej polichromii na zewnętrznej ścianie kościoła w Prandocinie; fot. K. Kobylarczyk (2012)

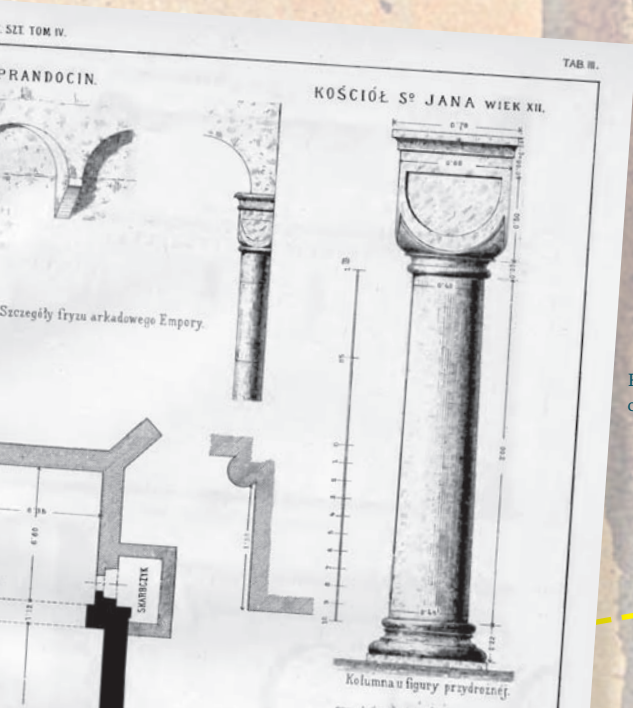


BADACZ POWRACA, A KOLUMNA WYCHODZI

Tego pięknego dnia, kiedy na pagór z kościołem wspina się profesor, kościół nie wygląda jak w czasach Prandoty. Z dala widać tylko wieżę i szczyt dachu, i widok ten nie jest zbyt interesujący dla badacza starożytności. Ale Łuszczkiewicz nie daje się zmylić. Na pierwszy rzut doświadczonego oka odróżnia zmiany i „zeszpecenia”. W XV lub XVI wieku zburzono romańskie prezbiterium. Muraarze, którzy wznosili nowe i większe, wykorzystali stare kamienne ciosy. Tam, gdzie ich zabrakło, dołożyli cegły. Zamknęli kościół prostą ścianą i podparli ją szkarpami. Profesor nie wie o tym, lecz pod dziewięciocentymetrową warstwą tynku wewnątrz kościoła kryją się przed nim późnogotyckie malowidła...

Przy otaczającym kościół cmentarzu dostrzega jeszcze dwumetrową kolumnę. Rozpoznaje w niej styl, którego u nas jeszcze wówczas nie określa się mianem „romański” (dopiero on zaszczepli tę nazwę w polskiej nauce).

– Szlachetność proporcji – w emocjach mamrocze. – A i kostkowemu kapitelowi nie brak cech wybitnych... „Pewną jest rzeczą, że musiała przynależeć do wielkiego budynku” – zanotuje, nie przypuszczając, że kolumna wywędrowała z wnętrza kościoła, gdzie niegdyś wspierała emporę, którą opisał.



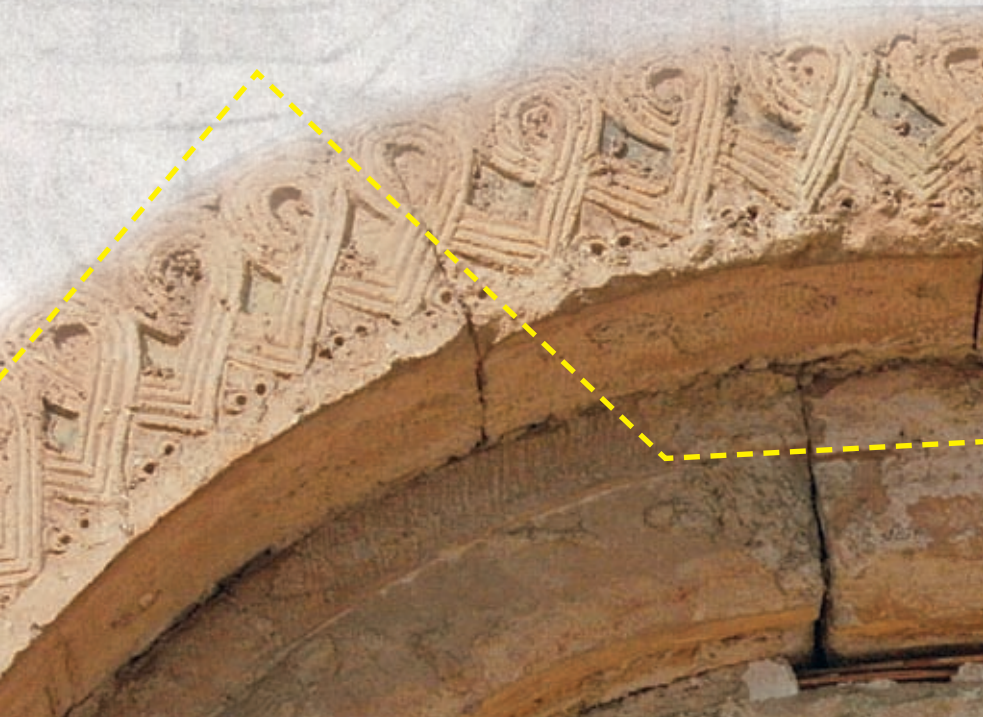
Rysunki W. Łuszczkiewicza, włączone do Sprawozdania Komisji...

Widzi wielkie barokowe okna oraz dobudowany po bokach skarbczyk i „zakrystyją”. Przechodzi przez kruchą niezgrabnie (jego zdaniem) przeprutą przez ponadmetrowej grubości mur apsydy zachodniej. Nie daje się jej zmylić. Wie, że wiejskie kościoły romańskie nie miały portali od zachodu. I rzeczywiście, kiedy profesor obchodzi kościół od południa, widzi tam niepozorne boczne wejście.

To, czego nie widzi, kryje się pod tynkiem, gruzem, ceglami.

Ponad pół wieku potem odnajdzie to inny badacz starożytności.

W tle: fragment gotyckiej polichromii w prezbiterium kościoła w Prandocinie;
fot. J. Nowostawska-Gyalókey,
z arch. MIK (2012)

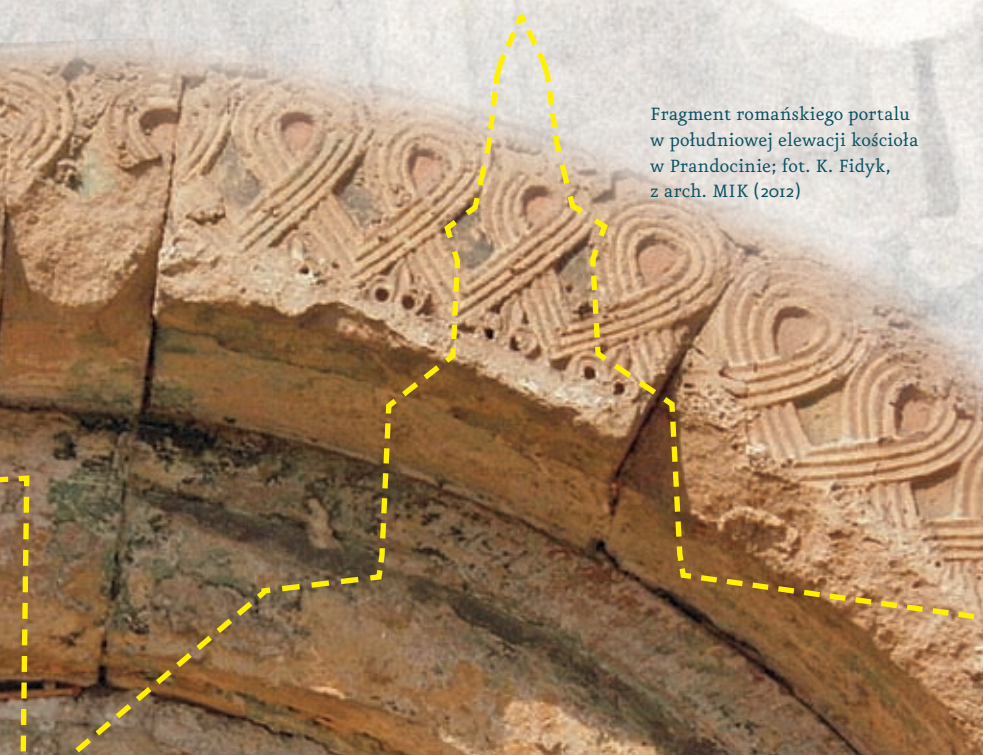


PRZYJEŹDŹA DOKTOR, PRZYBYWA SKARB

Doktor Zygmunt Świechowski przyjedzie do Prandocina w maju 1954 roku. Jest wysłannikiem Instytutu Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk. PAN przygotowuje katalog zabytków romańskich i jest kościołem prandocińskim żywo zainteresowany.

Doktor Świechowski pracuje przy południowej ścianie kościoła. Bada wejście, kiedy w rękach zostaje mu kawał tynku. Przeziiera spod niego kształt plecionki, mającą delikatne barwy polichromii... Świechowski nie ma zamiaru nic tu kuć, ale cegła i gruz same odpadają. Trzy dni później, kiedy pisze o odkryciu list do ministerstwa, jest już spokojny i rzeczowy, ale w tamtym momencie musi czuć dreszcz podniecenia. Patrzy na wspaniałą plecionkę z liśćmi palmy i rzędem stylizowanych lilii, na której przez kilkaset lat przetrwały ślady czerwonej, niebieskiej i zielonej farby. Odkrył cudnej urody romański portal.

Jeśli jest człowiekiem refleksyjnym, może w tej wspaniałej chwili robi mu się czegoś żal. Może szkoda mu, że tej plecionki i tych lilii nie mógł zobaczyć inny gość Prandocina. Niestrudzony wędrowiec, badacz starożytności i wielki miłośnik sztuki romańskiej – profesor Władysław Łuszczkiewicz.



Fragment romańskiego portalu
w południowej elewacji kościoła
w Prandocinie; fot. K. Fidyk,
z arch. MIK (2012)

TRZYDZIEŚCI CENTYMETRÓW DALEJ OSIEMSET LAT TEMU ŚREDNIOWIECZNY RYTOWNIK W TWARDNIEJĄCYM GIPSIE WYCIĄŁ NOŻEM KONTURY MODLĄCYCH SIĘ POSTACI. ROMAŃSKA PŁYTA ORANTÓW, ZABYTEK KLASY ŚWIATOWEJ, TO JEDNAK ZALEDWIE JEDEN Z WIELU SKARBÓW WIŚLICY...

To musi być paskudna podróż. Jesień 1915 roku jest dżdży-
sta. Fura, na którą Tadeusz Szydłowski wsiadł rankiem
w Krakowie, trzęsie i grzęźnie w błocie. Wieczorem, kiedy
na horyzoncie majaczy sylweta kolegiaty w Wiślicy, młody
konserwator zabytków jest przemoczony, głodny i połamany.
Ale dopiero ten widok pognębia go zupełnie. Patrzy na
ruinę.

Ostrzał austriackiej artylerii strzaskał fasadę pięknego
gotyckiego kościoła. Dachy są pogruchotane. Sklepienia
runęły. W ścianach zieją wyłomy i pęknięcia. Szydłowski
zaczyna wątpić, czy misja, z którą przyjechał do Wiślicy,
ma sens. „Czy należy rekonstruować tę straszliwie zniszczoną
świątynię?”

Miejscowi są sceptyczni. – To trzeba będzie co chwilę
łatać, parafia nie podoła – przekonują. – Taniej i lepiej
postawić nowy kościół.

Ale Szydłowski ma dopiero trzydzieści dwa lata i dużo
 optymizmu. Razem z Kazimierzem Wyczyńskim stwierdza-
ją, że ściany utrzymają sklepienie. W pękniętej fasa-
dzie dostrzegają romańskie wieże, pozostałość starszego
kościół. Są dobrej myśli. – Księżę proboszczu – buńczucz-
nie oświadcza Szydłowski. – Odbudujemy kościół w jego



Widok ogólny zachodniej fasady
kolegiaty w Wiślicy i dzwonnicy
po zbombardowaniu w 1914 r. przez
wojska austriackie, 1914–1932; autor
nieznany, NAC

dawnym wyglądzie, a polska twórczość współczesna uświetni wnętrze nowym urządzeniem!

Proboszcz bez entuzjazmu kiwa głową. Jest o wiele starszy i ma o wiele gorsze przeczucia.

Czternaście lat później, kiedy Szydłowski usiadzie, by spisać wspomnienia z odbudowy wiślickiej kolegiaty, najdzie go refleksja, że ksiądz miał rację. „Wiara w twórczość dzisiejszą doznała we mnie tam właśnie w Wiślicy dotkliwego ciosu” – zanotuje.

ZAPALEŃCY

Ale na razie Szydłowski wciąż wierzy w odbudowę. „Kto poznał piękno architektury dawnych wieków [...], temu nie trzeba tłumaczyć, że są przejawy ducha ludzkiego, które już się nie powtórzą. A Wiślica jest takim miejscem” – przekonuje.

Wiślica rzeczywiście jest miejscem niezwykłym. Już w X wieku na wysepce sterczącej z rozlewisk Nidy powstał obronny gród. Niedaleko, na gipsowej skałce otoczonej dwiema odnogami rzeki, zbudowano dwa kamienne paladia z kościółkami-rotundami. Za otaczającym je murem i fosą od IX wieku rozwijała się osada. Od wieku XI miała już jednonawowy kościół pod wezwaniem św. Mikołaja. Północny mur tego kościoła przeciął dziwny okrągły obiekt – niektórzy wierzą, że była to misa, w której św. Metody sto lat przed Mieszkiem ochrzcił lud silnego wielce pogańskiego księcia, inni – że zwykła niecka do mieszania zaprawy. Na miejscu gotyckiej kolegiaty, którą roztrząsały austriackie pociski, stały wcześniej dwa romańskie kościoły. Po drugim zostały nawet dwie smukłe wieże...

Szydłowski zakasuje zatem rękawy. Austriackie władze dają mu czterysta siedemdziesiąt metrów sześciennych drewna i czterdzieści tysięcy koron. Pieniądze szybko znikają, ale udaje się połatać ściany i zadaszyć kościół. Kończy się wojna. Polska odzyskuje niepodległość. Szydłowski z nadzieją patrzy na błotnistą drogę do Krakowa.

Wie, że stamtąd nadejdą zmiany. I nie myli się.

Zmiany mają imię i nazwisko. Nazywają się Adolf Szyszko-Bohusz.

Kolegiata w Wiślicy, 1881; z arch.
Muzeum Regionalnego w Wiślicy

WIZJONERZY

Adolf Szyszko-Bohusz to sława. Jest rówieśnikiem Szydłowskiego i jak on historykiem sztuki oraz konserwatorem zabytków. Profesurę uzyskał w wieku dwudziestu dziewięciu lat. Robi w Krakowie oszałamiającą karierę. Jest kierownikiem odbudowy Wawelu. Niedawno przysnił mu się kościółek w kształcie liścia czterolistnej koniczyny i już kilka dni później – z kilofem w ręce – odnalazł go tam, gdzie inni widzieli tylko zarys kuchennego pieca. Nazwał go rotundą św. św. Feliksa i Adaukta.

Adolf Szyszko-Bohusz zostaje zwierzchnikiem odbudowy kolegiaty w Wiślicy. Wspólnie z Szydłowskim łatają pogruchotane ściany kolegiaty. Odkrywają arkadę łączącą romańskie wieże. Odtwarzają gotyckie sklepienie nawy. Niektóre fragmenty wychodzą tępo i sztywno, bo współczesnym robotnikom brak tkliwości w pieczeniu kamienia, ale Szydłowski jest zadowolony. Niedługo wezmą się za odtwarzanie fasady kościoła.

Zanim to zrobią, Szyszko-Bohusz wykorzystuje okazję, by pogrzebać w nawie. Przez trzymetrową warstwę gruzu i ziemi dociera do starych bloków piaskowca. Wie, że znaleźli fundamenty starszego, romańskiego kościoła, ale nie kontynuuje prac, robi zdjęcia i zasypuje otwór. Nigdy nie opublikuje nic na temat tych wykopalisk. Dopiero czterdzieści lat później naukowcy z Zespołu Badań nad Polskim Średniowieczem pójdą śladem jego wykopów, badaniami będzie kierował Andrzej Tomaszewski.

Odnajdą mur romańskiej krypty. Będą kopać dalej. Zupełnie niespodzianie inżynier Tomasz Mrówka, który tego dnia będzie pracował w wykopie, dostrzeże skraj plecionki, a zaraz później – postać kobiety.

To fragment wykonanej z gipsu słynnej płyty orantów. Romański zabytek na skalę światową.

Szyszko-Bohusz minął się z nią o trzydzieści centymetrów.

Fragment rytowanej posadzki orantów po konserwacji dokonanej w 1987 r.; fot. J. Jachimski, z arch. prof. W. Zalewskiego

PODEPTANI

Wiślicka kolegiata jest trzecią świątynią wzniesioną na tym samym miejscu.

Pierwszą ufundował Henryk Sandomierski, krzyżowiec, jeden z pięciu synów Krzywoustego. Przywiózł z krucjat cenne relikwie i potrzebował godnego miejsca, aby je złożyć. Kościół w Wiślicy powstał około 1154 roku. Był nieduży, prostokątny, z emporą. Pod prezbiterium Henryk kazał wymurować kryptę na relikwie. Strzegły jej dwa lwy wyrte na gipsowej posadzce.

Kilka lat później sandomierski książę wyruszył przeciwko Prusom i zginął w zasadzce na bagnach.

Jego następca Kazimierz Sprawiedliwy ustawił w krypcie samotny grobowiec (nigdy nie znaleziono w nim ciała) i zamówił piękną gipsową posadzkę, w którą włączył płytę z lwami. Posadzka składała się z dwóch części otoczonych bordiurą. W górnej połowie rytownik w twardejącym gipsie wyciął nożem postaci Henryka, syna Kazimierza, oraz krakowskiego biskupa Gedki; potem wypełnił rysy szarym gipsem, zabarwionym węglem drzewnym. To samo zrobił z postaciami z dolnej części płyty – Kazimierzem Sprawiedliwym, jego żoną Heleną i drugim synem. Wszyscy zastygli w pozycji modlitwy. Na całą posadzkę zużył ponad pięćset pięćdziesiąt kilogramów gipsu. Potem pozwolił jej schnąć przez piętnaście dni.

Na koniec wyrzył w niej napis. Całość nie zachowała się do naszych czasów. Został tylko początek: „Ci chcą być podeptani, aby mogli być wzniesieni do gwiazd i zarówno...”.

POGRZEBANI

Przez kilkadziesiąt lat po posadzce i postaciach rzeczywiście deptano. Zachował się ślad tego deptania, niewidoczna ścieżka od wejścia do krypty ku ołtarzowi. Z czasem ryte w gipsie postaci pokryła warstwa błota – tak gruba, że ktoś zgubił w niej monetę, śląski brakteat. Możliwe, że w ogóle o nich zapomniano.

Po osiemdziesięciu latach od budowy, w połowie XII wieku, romański kościół rozebrano. Kryptę zasypano i zrównano. Na miejscu dawnej świątyni postawiono większą

– z dwiema wieżami i trzema nawami. Płyta orantów znalazła się pod ziemią, lecz na tyle płytko, że zimą sięgał jej mróz. I nie spoczywała w spokoju. Wokół kościoła rozłożył się cmentarz. Kogoś pochowano nawet wprost na ozdobnej posadzce. Być może grabarze opowiadali sobie o dziwnej podziemnej płaszczyźnie, o twarzach pod ziemią i fantastycznych stworach. A może nie. Może nikt już nie pamiętał o orantach. Przespali smacznie kolejny wiek, z lekka tylko niepokojeni cmentarnymi mikroorganizmami. Kwasy, które wydzyślały, zostawiły na płycie delikatne esowate ślady.

W połowie XIV wieku znów zakłócono jej spokój. Gwałtownie. Na miejscu dawnego kościółka Kazimierz Wielki stawiał właśnie wielką gotycką halową kolegiatę. Łopaty robotników kopiących fundament pod łuk tęczy wbiły się w południowy skraj posadzki. Zniszczyły bordiurę, odłupały Henrykowi Sandomierskiemu nogę i biodro.

Potem na pięćset lat zaległa cisza i mrok. Posadzka znalazła się trzy i pół metra pod ziemią, pod główną nawą kolegiaty. Nie sięgał tu mróz ani woda. Bakterie i grzyby zapadły w letarg. Wszystko było dobrze aż do ostrzału Austriaków w 1915 roku, kiedy na zagrzebaną pod ziemią płytę z łoskotem runęło całe sklepienie nawy. Adolf Szysko-Bohusz, który przekopał ruiny, minął się z nią o trzydzieści centymetrów.

Wyrytą w gipsie delikatną twarz Heleny zobaczył dopiero inżynier Mrówka.

I zaczęły się kłopoty.

Odsłoniętą posadzkę natychmiast zaatakowała wilgoć. Otulono ją ligniną i kołdrami, na kołdrach położono deski, na deskach papę. Nie pomogło – lignina mokła, tak że trzeba było zmieniać ją co kilka dni. Na zimę płytę schowano pod sterylnymi workami z prażonym piaskiem – ale i tak odnalazły ją grzyby. W 1960 roku odsłonięto drugą, bardziej zniszczoną część posadzki i postawiono na niej szopę z desek, obitą papą. To nie pomogło. Było mokro, duszno i wilgotno. Płyta miała się coraz gorzej. Naukowcy pobierali z niej próbki, wycieczki brudziły ją woskiem ze świec, a z szopy przeszła na nią pleśń. Grzyby i bakterie pokryły posadzkę delikatnym srebrzystym woalem.

W tle: prace konserwatorskie przy posadzce, 1984; fot. M. Stec, z arch. prof. W. Zalewskiego

Na dodatek zwolniono stróża i przez dwa miesiące na płycie osiemsetletniej posadzki bezdomni pili tanie wino. W 1979 roku stan płyty orantów był tak zły, że rozważano nawet przeniesienie jej do muzeum.

Na szczęście nie doszło do tego. Płyta została. Odnowiona, zabezpieczona przed wilgocią, mrozem, bakteriami i grzybem, leży do dziś w miejscu, gdzie osiemset lat temu z pięciuset pięćdziesięciu kilogramów gipsu uformowali ją nieznani rzemieślnicy.

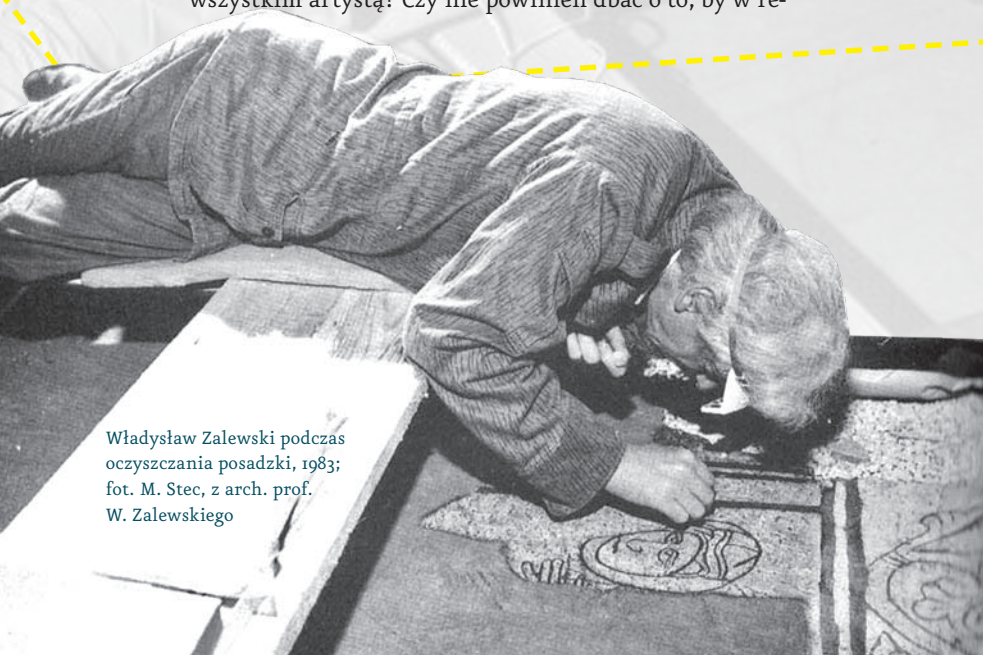
Tam, gdzie nie znalazł jej Szyszko-Bohusz.

SPÓŹNIENI

Ale wróćmy do 1916 roku. Profesor właśnie zasypuje wykop, który o trzydzieści centymetrów mija się z płytą orantów. Zaraz stanie się coś złego.

Po sklepieniu i ścianach pora na rekonstrukcję gotyckiej fasady kolegiaty. Szyszko-Bohusz zaczyna od romańskich wież. Decyduje się usunąć przypory, które je wspierają. Robotnicy rozbierają obie na raz. Ściana nie wytrzymuje i wieże walą się w gruzy, ciągnąc za sobą resztki fasady.

Co teraz? – zastanawia się Szydłowski. Widzi trzy wyjścia. Odbudować to, co runęło. Wymyślić taką ścianę, jaką postawiłby gotycki kamieniarz, gdyby nie musiał wkompnowywać w nią romańskich wież. Dać fasadę współczesną. Szyszko-Bohusz decyduje się na wyjście czwarte. Może znów ma sen. „Czy nasz restaurator nie powinien być przede wszystkim artystą? Czy nie powinien dbać o to, by w re-



Władysław Zalewski podczas
oczyszczania posadzki, 1983;
fot. M. Stec, z arch. prof.
W. Zalewskiego

staurowanym gmachu na wsze czasy złożyć jakąś pamiątkę naszej kultury i sztuki?” – pyta i zamyka nawet prostą ścianą bez okien, podpierając ją kilkoma gotyckimi szkarpami. Szydłowski nie może w to uwierzyć. „Stworzył fasadę taką, jaką widzieć można przy najskromniejszych budowlach średniowiecznych, fasadę prymitywną” – notuje.

Jeszcze w 1930 roku, kiedy Szydłowski spisuje swoje wspomnienia z Wiślicy, w jego słowach czuć zgorznienie i rozzarowanie. Tli się w nim nadzieja, że jest czas, żeby zawrócić, żeby zrezygnować z projektu, marzy mu się odbudowa zwalonych wież, wielkie gotyckie okno...

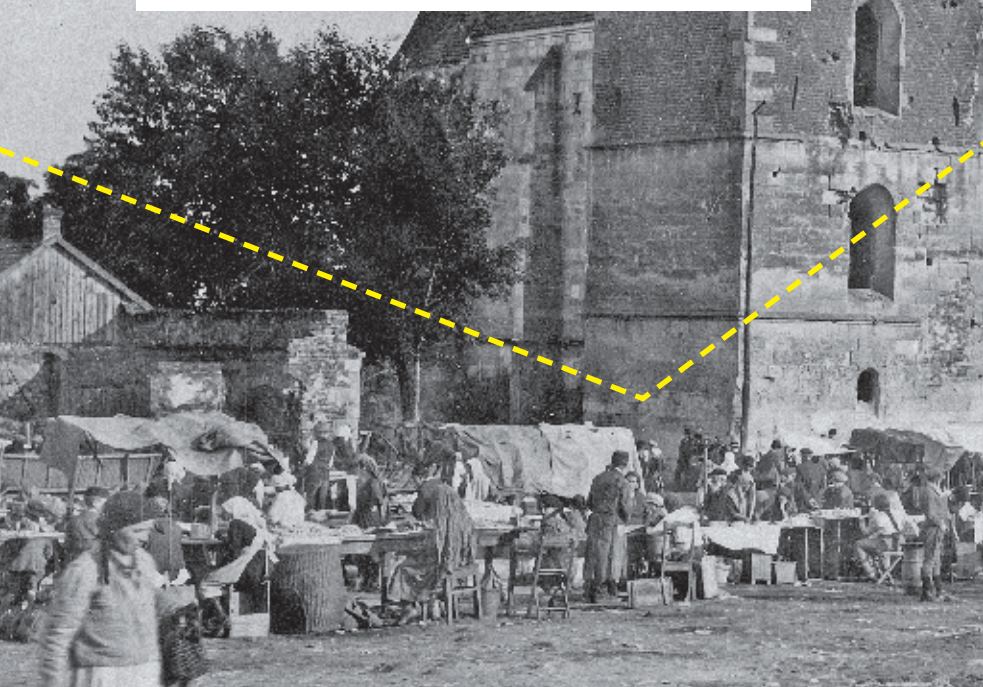
Prawda jest jednak taka, że tego czasu nie ma.

Szysko-Bohusz już wkrótce błotnistą drogą wróci na Wawel. Czeką go wiele sukcesów. Kiedy nadejdzie wojna, ocali arras i zostanie na zamku królewskim, by strzec go przed hitlerowcami.

Szydłowski nie będzie miał tyle szczęścia. W 1939 roku znajdzie się wśród stu osiemdziesięciu trzech naukowców wywiezionych do obozów koncentracyjnych w ramach Sonderaktion Krakau. Umrze w 1942 roku.

A kolegiata w Wiślicy z odbudowanymi sklepieniami i prostą, kamienno-ceglaną fasadą przetrzyma wojnę bez szwanku. Przetrwa też pogrzebana w niej płyta orantów.

Ta sama, z którą o trzydzieści centymetrów minął się Adolf Szysko-Bohusz i która – najwyraźniej – nawet mu się nie przyśniła.



BIBLIAGRAFIA

Biczysko A., *Początki opactwa cystersów Prandocin/Kacice – Mogiła*, praca magisterska pod kierunkiem prof. dra hab. Krzysztofa Ożoga, Instytut Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2009 (niepublikowana).

Kardyś P., *Wiślica w średniowieczu i okresie wczesnonowożytnym*, Kielce 2006.

Kmita M., *Prandocin – mała ojczyzna*, Prandocin 2010 (rkps).

Łuszczkiewicz W., *Kościół romański we wsi Prandocinie pod Słomnikami*, [w:] *Sprawozdania Komisji do Badania Historii Sztuki w Polsce*, t. 4, Kraków 1889.

Łuszczkiewicz W., *Kościół św. Wojciecha w Kościelcu (pod Proszowicami)*, [w:] *Zabytek architektury XIII wieku, Sprawozdania Komisji do Badania Historii Sztuki w Polsce*, z. III, Kraków 1878.

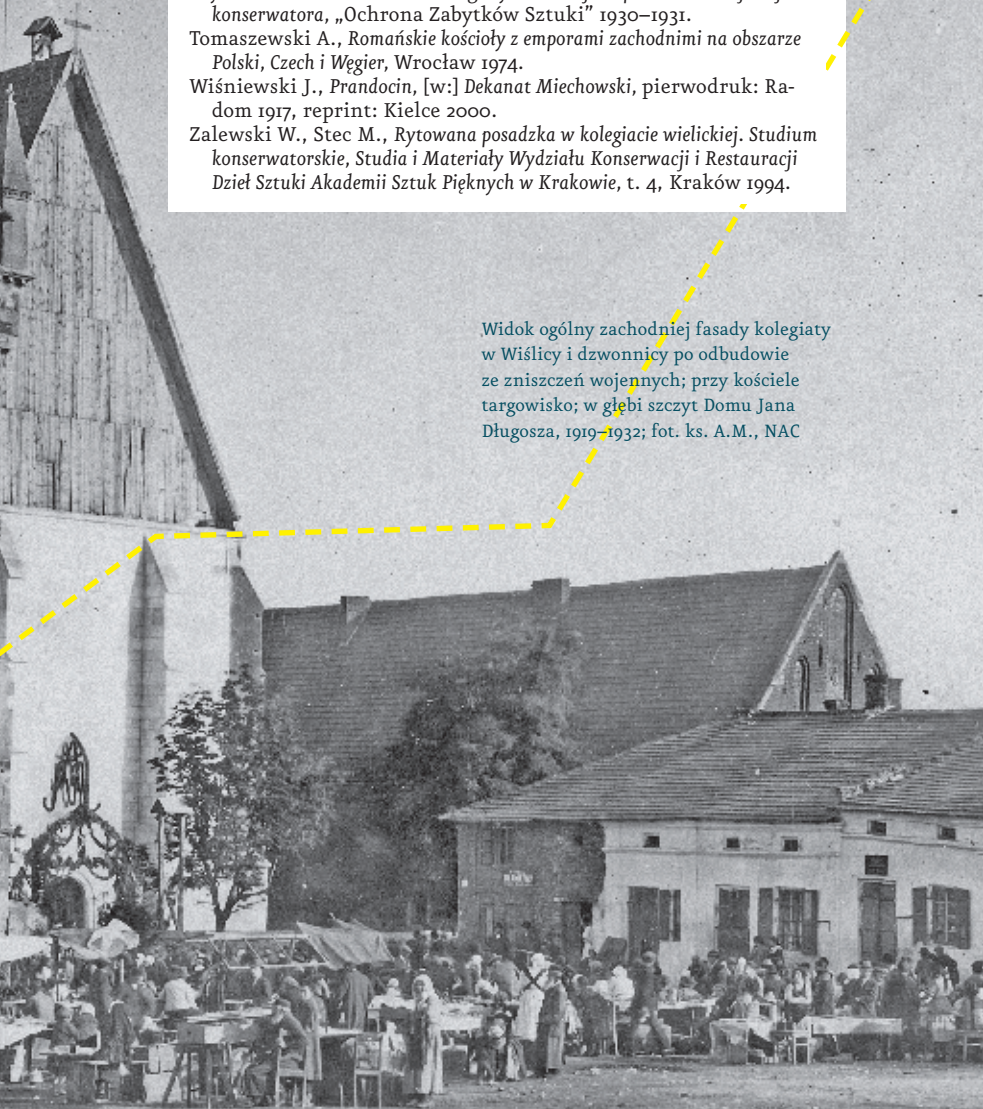
Szydłowski T., *O odbudowie kolegiaty wiślickiej. Wspomnienia i refleksje konserwatora*, „Ochrona Zabytków Sztuki” 1930–1931.

Tomaszewski A., *Romańskie kościoły z emporami zachodnimi na obszarze Polski, Czech i Węgier*, Wrocław 1974.

Wiśniewski J., *Prandocin*, [w:] *Dekanat Miechowski*, pierwodruk: Radom 1917, reprint: Kielce 2000.

Zalewski W., Stec M., *Rytowana posadzka w kolegiacie wielickiej. Studium konserwatorskie, Studia i Materiały Wydziału Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie*, t. 4, Kraków 1994.

Widok ogólny zachodniej fasady kolegiaty w Wiślicy i dzwonnicy po odbudowie ze zniszczeń wojennych; przy kościele targowisko; w głębi szczyt Domu Jana Długosza, 1919–1932; fot. ks. A.M., NAC

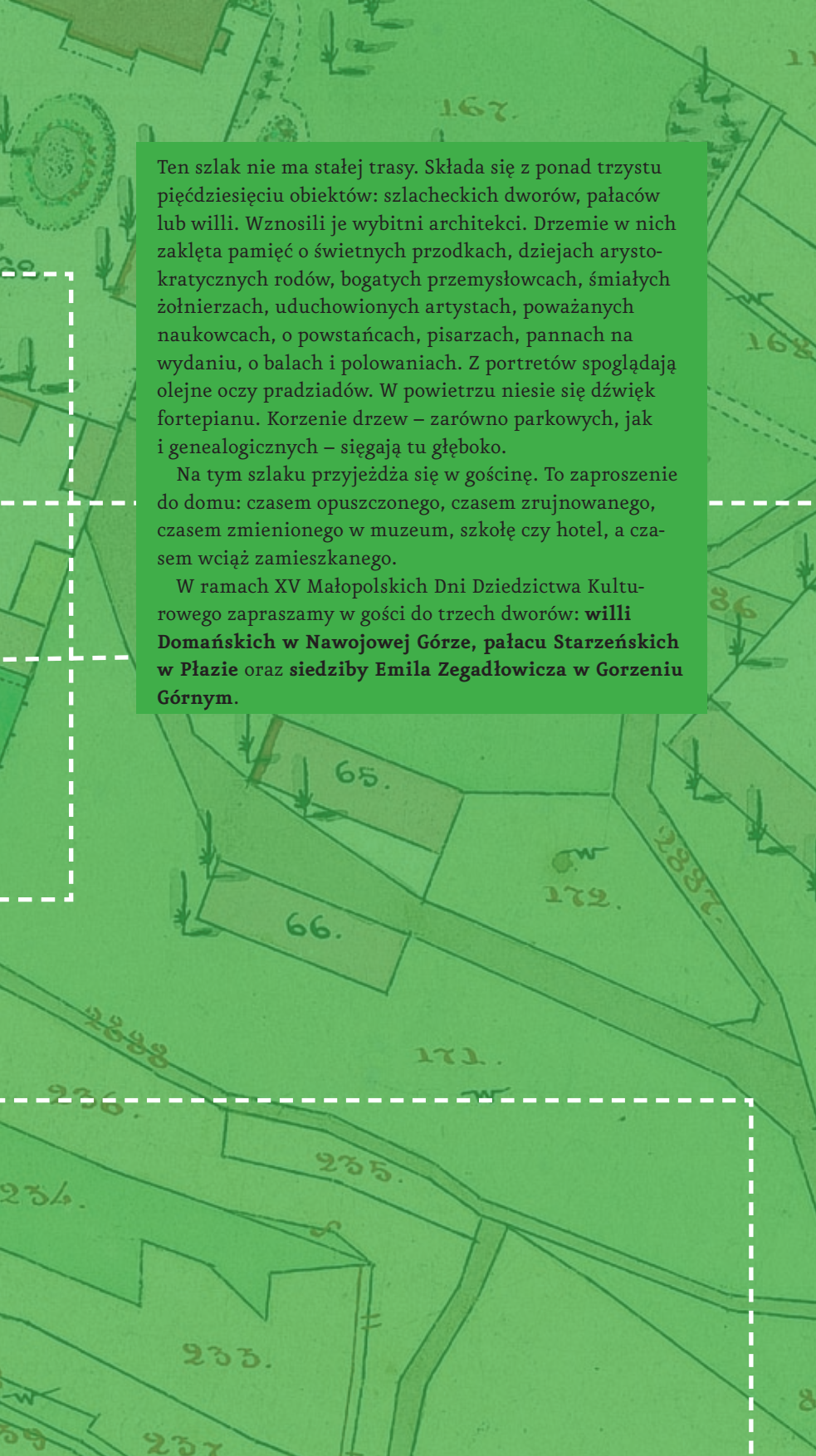




Jeśli zmęczyła Cię długa wędrówka, tym razem
zapraszamy w gościnę! Odpocznij tam, gdzie
Emil Zegadłowicz schronił się przed pięć tysię-
cy osiemset siedemdziesięcioma dwoma wyzwi-
skami po wydaniu *Zmór*, znajdź wytchnienie
w tajemniczym ogrodzie wokół pałacu
Starzeńskich, zatrzymaj się w egipskiej sypial-
ni willi Domańskich i...

...WEJDŹ Z NAMI NA SZLAK
DWORY MAŁOPOLSKI

Ogród w Płazie, mapa katastralna z 1848 r.;
AN w Krakowie



Ten szlak nie ma stałej trasy. Składa się z ponad trzystu pięćdziesięciu obiektów: szlacheckich dworów, pałaców lub willi. Wznosili je wybitni architekci. Drzemie w nich zaklęta pamięć o świetnych przodkach, dziejach arystokratycznych rodów, bogatych przemysłowcach, śmiałych żołnierzach, uduchowionych artystach, poważanych naukowcach, o powstańcach, pisarzach, pannach na wydaniu, o balach i polowaniach. Z portretów spoglądają olejne oczy pradziadów. W powietrzu niesie się dźwięk fortepianu. Korzenie drzew – zarówno parkowych, jak i genealogicznych – sięgają tu głęboko.

Na tym szlaku przyjeżdża się w gościnę. To zaproszenie do domu: czasem opuszczonego, czasem zrujnowanego, czasem zmienionego w muzeum, szkołę czy hotel, a czasem wciąż zamieszkanego.

W ramach XV Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego zapraszamy w gości do trzech dworów: **willi Domańskich w Nawojowej Górze, pałacu Starzeńskich w Płazie** oraz siedziby Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym.

CO KAROL KUPIŁ KOCHANEJ KAROLINIE WILLA W NAWOJOWEJ GÓRZE POWSTAŁA NA MIEJSCU PROCHOWNI. ZANIM KAROL DOMAŃSKI PRZEBUDOWAŁ JĄ NA PODSTAWIE WŁOSKICH SZKICÓW, MIESZKAŁ TU M.IN. PROFESOR NAPOLEON CYBULSKI, FIZJOLOG I ODKRYWCA HORMONU ADRENALINY.

Na werandzie zostały jej rzeczy. Zresztą nie tylko na werandzie, ale tam najbardziej rzucają się w oczy: para butów, kapelusz od słońca...

Pewnego dnia Danuta z Domańskich Lubelska, córka Karola Gustawa Domańskiego, właścicielka butów, kape-lusza i willi w Nawojowej Górze, spakowała się, zaprosiła prezesa Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Krzeszowickiej, wręczyła mu klucze od domu, po czym zeszła z werandy. Na podjeździe czekała już na nią taksówka.

ZAMIANA. KAROL KUPIŁ KAROLINIE...

To był szczęśliwy dom. Tata wynalazł go dla mamy, kiedy była w drugiej ciąży. Domańscy mieszkali wówczas w Zarzycach Wielkich koło Kalwarii Zebrzydowskiej. Zarzycki dwór był piękny i przestronny, ale miał jedną wadę. Wszędzie było z niego daleko. Tata nie chciał, żeby mama nosiła ciężę na odludziu. Postanowił przeprowadzić się pod Krzeszowice – do Nawojowej Góry.

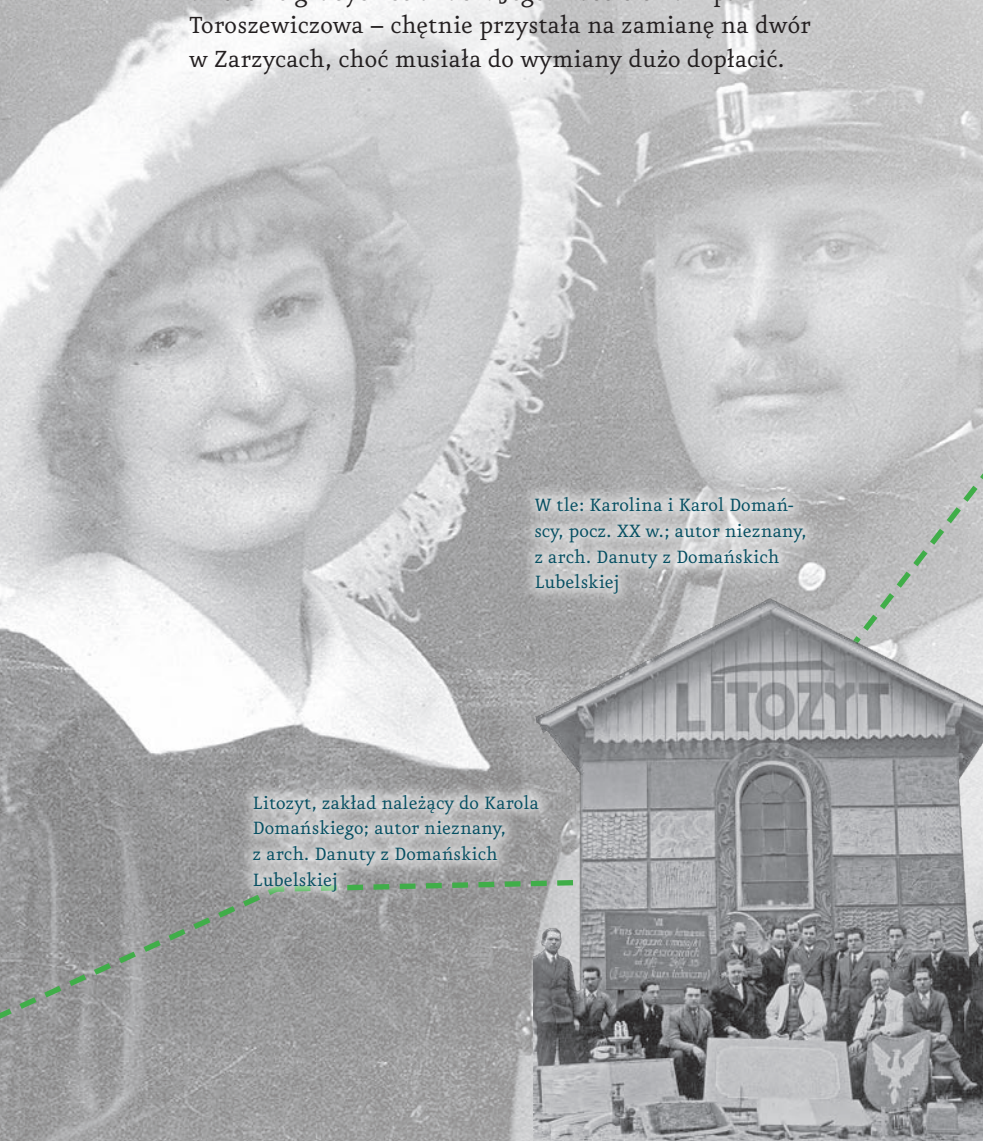
Rodzice poznali się na Morawach. Karol – inżynier z dyplomem Wyższej Szkoły Górniczej w austriackim Leoben – znalazł tam pierwszą pracę w kopalni Hermene-gilda. Karolina była z urodzenia Czeszką (zaś jej matka, Wilhelmina, Austriaczką). Po ślubie przyjechała z mężem do Zarzyc.

Karolowi zależało, żeby szybko nauczyła się polskiego. Znosił jej tomy Sienkiewicza. Poza opanowaniem polsz-czynny miało to jeszcze jeden, niespodziewany skutek. Chłopca, który przyszedł na świat pierwszy, Karolina nazwała Zbyszkiem. Pięć lat młodszej dziewczynce dała na imię Danusia.

Na okolicie Krzeszowic tata zwrócił uwagę sporo przed przeprowadzką. Od połowy lat dwudziestych inwestował tu w budowę przyszłego Litozytu – Wytwórni Wypraw Fasadowych i Sztucznego Kamienia. Litozyt miał stać się jednym z najnowocześniejszych przedsiębiorstw w okolicy. Surowiec czerpał m.in. z kamieniołomu wapienia w Nawojowej Górze. W 1921 roku Karol postanowił przenieść się z Zarzyc do Nawojowej z synem i oczekującą dziecka żoną.

Pracował wówczas w trzebińskiej Fabryce Gazów Przemysłowych. Szybko zrobił karierę – wniósł do spółki wkład, który uczynił go jej akcjonariuszem i dyrektorem.

W tym czasie znalazł w Nawojowej Górze parterowy dworek o grubych ścianach. Jego właścicielka – pani Toroszewiczowa – chętnie przystała na zamianę na dwór w Zarzyczach, choć musiała do wymiany dużo dopłacić.



W tle: Karolina i Karol Domańscy, pocz. XX w.; autor nieznany, z arch. Danuty z Domańskich Lubelskiej

Litozyt, zakład należący do Karola Domańskiego; autor nieznany, z arch. Danuty z Domańskich Lubelskiej



PROCHOWNIA. POŻAR W GRUBYCH MURACH

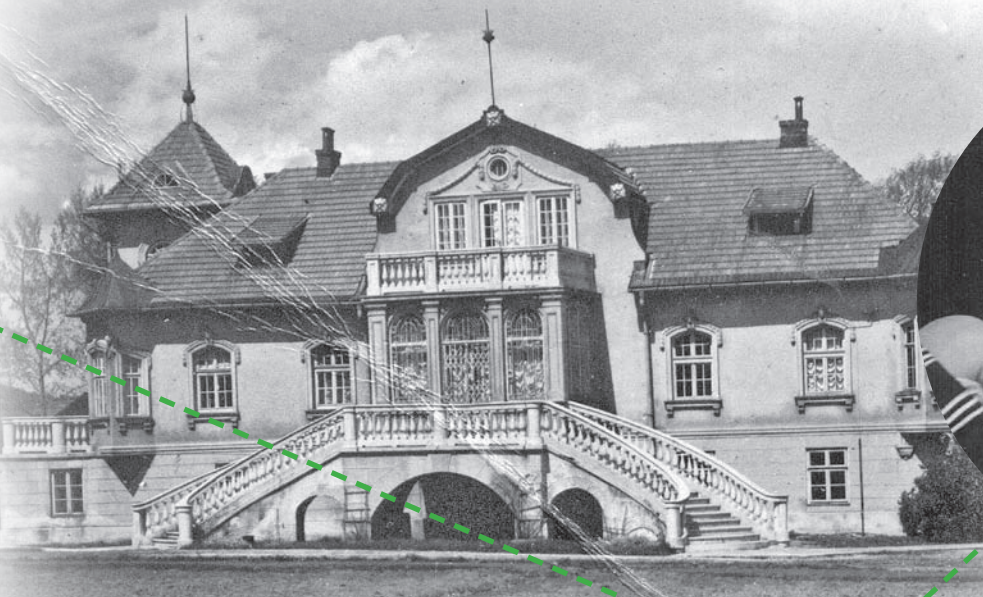
Dworek, na który Karol Domański zamienił zarzycką posiadłość, stał w miejscu zwanym Prochownią. Kiedyś mieszkał tu prawdziwy prochownik. Ambroży Grabowski, księgarz i historyk z Krakowa, pamiętał, jak nawojowska prochownia wyleciała w powietrze. Musiano ją jednak odbudować, bo od 1826 roku czynsz za Nawojową Górę płacił prochownik Rotermund. Później budynek przekształcono w dwór. Niezgrabną budowlę o grubych murach i wielkich piwnicach kupił profesor Napoleon Nikodem Cybulski, fizjolog, wynalazca, odkrywca adrenaliny, a także praktykujący dentysta. Może profesor – skupiony na zagadkach przepływu krwi, zjawisk elektrycznych w nerwach, mięśniach i mózgu oraz hipnotyzmu – nie dostrzegał brzydoty byłej prochowni.

Inżynier Domański, zajęty gazem i kamieniami, także mógł nie zwrócić na nią uwagi.

Ale na pewno zauważyła ją Karolina Domańska.

Karolina była nowym domem lekko przerażona. Ponad siedemdziesięciocentymetrowe mury, stromy gontowy dach i przysadzista, nieproporcjonalnie długa sylweta wprawiały ją w przygnębienie. Ucieszyła się, kiedy dwór przebudowano – zrobiono to w innym stylu po pożarze.

Willa w Nawojowej Górze, l. 30. XX w.;
autor nieznany, z arch. Danuty
z Domańskich Lubelskiej



Szkice renesansowych willi dziadek Karol Domański zrobił we Włoszech. Na ich podstawie architekt Leon Willmann, późniejszy burmistrz Trzebini (miasto będzie mu zawdzięczać tamę, ujęcie wody, kanalizację i ustępy publiczne), zaprojektował uroczy dwupiętrowy pałacyk z wieżyczką i dwubiegowymi schodami na taras. W latach 1923–1925 na miejscu topornej prochowni powstała lekka reprezentacyjna willa ze zgrabnym, czterospadowym dachem.

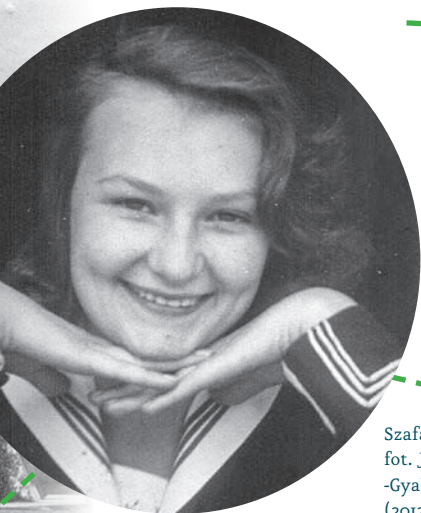
GOŚCIE. PORTRECIK Z FOTOGRAFII

Tak, to był szczęśliwy dom. Rodzice bardzo się kochali. Danuta pamięta, jak przytulają się i obejmują – rzecz niezwykła w czasach, kiedy uczuć się nie manifestowało.

W willi w Nawojowej Górze zawsze była jedna, wspólna małżeńska sypialnia, zamiast oddzielnych pokoi pana i pani domu.

Do tej sypialni Karol zamówił drewniany komplet sypialniany, który powstał, kiedy Europa szalała na punkcie Egiptu. Wynajęty przez państwa Domańskich stolarz wyrzeźbił nogi stołków w kształt słoniowych trąb, karnisz ozdobił sceną z karawaną i piramidami, a na drzwiach szafy (na której usadził drewnianego wielbłąda) umieścił głowę Meduzy, której włosy wiją się jak węże. Szerokiego małżeńskiego łóża kazał strzec sfinksowi z amorkiem na grzbiecie.

Danuta Domańska w marynarskim mundurku, 1938; autor nieznanym, z arch. Danuty z Domańskich Lubelskiej



Szafa w stylu egipskim;
fot. J. Nowostawska-
Gyalókey, z arch. MIK
(2012)



Pozostałe pokoje także urządzone ze smakiem. Pokoik Danuty zdobiły białe neorokokowe mebelki. Zbigniew mieszkał – jak mawiano – altdeutsch. Jadalnia była w stylu zakopiańskim – na prośbę dziadka Domańskiego, nienajlepszego malarza, ale świetnego konserwatora, zaprojektował ją Stanisław Witkiewicz.

Dom żył. Często odwiedzali go dziadkowie ze Lwowa, rozmaici wujkowie i ciotki. Danuta uwielbiała zwłaszcza wujka Staszka, bon vivanta i wiecznego studenta austriackiej politechniki. Przywoził z sobą żarty, śmiech i obietnicę przyjęć i rautów.

Któregoś lata w Nawojowej Górze gościł zakochany w młodszej siostrze mamy młody malarz. Mama poprosiła go, żeby namalował portret małej Danusi. – Idź do ogrodu, stań tam, gdzie ten kamień – polecił malarz, lecz coś w jego tonie musiało nie spodobać się dwulatce, bo Danusia rzuciła mu owym kamieniem prosto w czoło. Ranę opatrzyła ciocia, lecz artysta już nie chciał malować Danusi z natury. Sportretował ją z fotografii. Dziewczynka na obrazie, który wciąż wisi w willi, jest śliczna, ale w jej oczach czai się podejrzany błysk.

WYŚCIG PRACY. CHCIEĆ TO MÓC

Częstym gościem w Nawojowej Górze był też wujek Julian Krupski, wspólnik taty.

Karol Domański był przedsiębiorcą z wizją, wiedzą i rozmachem. Jego inwestycje kwitły. W 1929 roku wykupił osiemdziesiąt cztery procent udziałów w Gwarectwie Rudy Żelaza i Węgla w Czernej. Urobek z kamieniołomu do stacji kolejowej w Krzeszowicach wożono wówczas furmankami. Ojciec zainwestował czterdzieści pięć tysięcy złotych, by zbudować trzy i pół kilometra torów dla kolejki wąskotorowej i dwa mosty.

W 1930 roku z Julianem Krupskim uruchomił Litozyt, najnowocześniejszą w okolicy fabrykę sztucznego kamienia i szlachetnych tynków.

W 1934 roku współfinansował powstanie w Nawojowej Górze pomnika Niepodległości Polski. Zadeedykowano go marszałkowi Piłsudskiemu. Na cokole wyryto słowa, które

Motyw ozdobny z łóżka w stylu egipskim; fot. J. Nowostawska-Gyalólkay, z arch. MIK (2012)

mogły być życiową dewizą Domańskiego: „Po wyścigu krwi i oręża nastąpi wyścig pracy. Chcieć to móc”.

Karol Domański chciał i mógł na pewno wiele.

Na kursy do prosperującego Litozytu zjeżdżali kamieniarze i tynkarze z całego kraju. Pracownicy wytwórni cieszyli się bogatym zapleczem socjalnym. Kto chciał, mógł strzelać z łuku, miotać kulą lub oszczepem albo trenować biegi na firmowym boisku.

Pasją dyrektora Domańskiego były samochody. W latach trzydziestych kupił białego austro-daimlera w sportowej wersji cabrio. Głównie trzymał go w garażu, bo po bitych drogach wokół Krzeszowic nie dało się jeździć. Potem sprawił sobie ogromną, ciemnobrązową pragę oświetlim z firankami w oknach i flakonikami na kwiaty. Często pożyczal ją synowi. Zbigniew nauczył się prowadzić, a kiedy zdał pierwsze studenckie egzaminy, mama kupiła mu beżową sportową hanse. Zbyszek jeździł szybko i brawurowo: droga do Krakowa zabierała mu dwadzieścia minut. Często prowadził jedną ręką – drugą w tym czasie zsuwał pończochy narzeczonej.

ZAWIERUCHY. WĘGIEL, KILIMY, KURY I IRYSY

Sielanka skończyła się w 1936 roku, wraz ze śmiercią taty. Potem przyszła wojna. Do ogrodu trzeba było sprowadzić krowę, posadzić marchew. Ukochane samochody ojca skonfiskowało wojsko.

Po powstaniu warszawskim willa wypełniła się wysiedleńcami ze stolicy. Niemcy przywieźli ich do Krzeszowic, a miejscowy sołtys skierował do Domańskich. Ponad trzydziestu warszawiaków zajęło salon. Do spania rozścielali słomę na podłodze. Stopniowo rozjechali się po Polsce.

Przechodzący front nie wyrządził w willi szkód. Mama, uciekając, nie zamknęła domu i ci, którzy przyszli na szaber, odczytali to jako znak, że nic cennego nie zostało. Ocalały przywiezione ze Lwowa solidne meble z lustrami i konsolami, zakopiańska jadalnia, egipski komplet do sypani i rodzinne pamiątki. Zniknął tylko węgiel z piwnicy.

Po wojnie Nawojową Górę zalali lokatorzy z kwaterunku. Zajęli prawie wszystkie pokoje – pozdzierali tapety,

pobielili ściany, w kątach pomurowali piece. Mama z Danutą musiały zmieścić się w jednym pokoju. Gotowały w łazience.

W nowej rzeczywistości wszyscy radzili sobie jak umieli. Zbigniew przywiózł do Nawojowej Góry kury noski. Usłyszał, że jaja wylęgowe można sprzedać z zyskiem, ale cierpliwości starczyło mu na tydzień. Kurami zajęły się Danuta z mamą: przez jakiś czas noski utrzymywały rodzinę.

Potem od jednego z lokatorów, malarza, Danuta nauczyła się robić ślubne monidła. Sadziła z upodobaniem gladiole. Kwiaty kupował od niej Hotel Francuski – zdobiły pokoje i halle. Brat przywiózł jej dziesięć odmian irysów. Danuta krzyżowała je tak długo, aż wyhodowała kwiat o czarnych płatkach z czerwonymi żyłkami. Nazwała go Mefisto.

Lokatorzy stopniowo zaczęli się wyprowadzać. Pokój po pokoju wracały do Domańskich.



POŻEGNANIE. KLUCZE DO SZCZĘŚLIWEGO DOMU

Czas biegł nieubłaganie, przynosząc to, co zawsze: wiosny i zimy, wesela i pogrzeby. Danuta została z pięknym, dużym, starym domem sama. Postanowiła, że przekaze go Stowarzyszeniu Miłośników Ziemi Krzeszowickiej. Formalności zajęły kilka lat, ale któregoś dnia Danuta Lubelska, córka Karola Gustawa Domańskiego, spakowała ostatnią walizkę, zaprosiła prezesa stowarzyszenia, podpisała, co trzeba, wręczyła mu klucze, po czym po prostu zeszła z werandy i wsiadła do taksówki. Wiedziała, że zostawia swój szczęśliwy dom w dobrych rękach.

A w pięknej willi w Nawojowej Górze, którą Karol Domański zbudował dla swojej ukochanej Karoliny, wszystko zostało tak, jak było. Są tam solidne lwowskie meble, egipska sypialnia i portret dziewczynki z groźnym błyskiem w oku. Na werandzie leżą zapomniane buty i słomkowy kapelusz Danuty. Członkowie Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Krzeszowickiej postanowili ich nie ruszać. Wciąż czują się tu gośćmi.

Willa w Nawojowej Górze, widok współczesny; fot. Ł. Skalny, z arch. Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Krzeszowickiej



W TAJEMNICZYM OGRODZIE

W 1898 ROKU HRABIA ADAM STARZEŃSKI, MIŁOŚNIK PRZYRODY I POLOWAŃ, KUPIŁ W POBLIŻU CHRZANOWA DZIEWIĘCIEŚĆ DWA DZIESIĘĆCIE JEDEN HEKTARÓW ZIEMI I DWÓR. PRZEBUDOWANY PRZEZ ZYGMUNTA HENDLA PAŁAC W PŁAZIE NA WIELE LAT STAŁ SIĘ RODOWĄ SIEDZIBĄ STARZEŃSKICH.

Musiała pamiętać to bardzo dobrze. Jaki był widok z mansardy, kto posadził pierwszy kalikantus i jak jedwabista sierść miała spanielka Daisy. Może nawet z biegiem lat pamiętała to coraz lepiej. Ale nikomu o tym nie opowiadała.

Chyba nie chciała sprawiać wrażenia, że rości sobie jakieś pretensje.

Bo hrabianka Teresa Starzeńska pretensji nie miała żadnych. Chciała tylko na jedną krótką chwilę wrócić do utraconego świata swojego dzieciństwa – do pałacu w Płazie.

I to się jej udało.

STARA SZLACHTA

Pierwszy, barokowy dwór powstaje w Płazie około 1798 roku. Wieś należy wówczas do rodziny Szembeków. Przed 1832 rokiem hrabia Wincenty Szembek przebudowuje go na pałac, ozdobiony dwiema romantycznymi, neogotyckimi wieżyczkami. Nie cieszy się nim długo. Przed końcem wieku posiadłość dwukrotnie zmienia właściciela. W 1898 roku Płazę kupuje hrabia Adam Starzeński.

Starzeńscy to stara szlachta. Ich korzenie sięgają XIV wieku. Wywodzą się ze Starzenic koło Wielunia, a ich nazwisko po raz pierwszy pojawia się w źródłach już w 1395 roku. Od 1780 roku noszą dziedziczny tytuł hrabiów Galicji.

W 1898 roku, po ukończeniu studiów we Lwowie, Adam Starzeński kupuje dziewięćset dwadzieścia jeden hektarów ziemi z dworem w Płazie. Planuje ślub z panną Marią Wodzicką i wie, że przyszła żona wniesie mu w posagu dziewięćset trzydzieści trzy hektary w niedalekim Kościelcu.

Kiedy hrabia Adam nabywa Płazę, pałac znajduje się „w zupełnym prawie stanie opuszczenia”. Ma zły podział pokoi i płaski gontowy dach, który koniecznie trzeba przebudować. Starzeńscy najmują do tego znanego architekta i konserwatora Zygmunta Hendla, wówczas wykładowcę w Szkole Sztuk Pięknych. Hendel burzy kilka ścian parteru i dobudowuje skrzydło, które, choć niesymetryczne, nie razi recenzentów pisma „Architekt”. Zmienia także dachy oraz stawia na środku fasady piętrową loggię. Z dużej ozdobnej sali, która mieści się w mansardzie, ślicznie widać okolice Tenczynka i Lipowca.

W tle: Pałac w Płazie; „Architekt”
1905, z. 9

Starzeńscy, po lewej Antoni, po prawej Maria, l. 30. XX w.; CATL Miejskiej Biblioteki Publicznej w Chrzanowie, z arch. Zespołu Szkół im. Rodziny Starzeńskich w Płazie



WAGABUNDY

Hrabia Adam kocha przyrodę. Opracowuje zasady ochrony zwierzyny łownej. Tworzy rezerваты przyrody. Uważa, że najgroźniejszy dla natury jest człowiek możny, z grubym portfelem lub władzą.

W 1934 roku wydaje rozprawkę o wędrowniej kuropatwie. „Czyżby nowa odmiana lub gatunek nowy...? Może to tylko młodzież gwarna, lekkomyślna, żądna – zwyczajnie jak młodzież – zmiany, żądna nowinek, porzuca prastare swych rodów zwyczaje, zbija się w stada i leci w nieznane? Ot wagabundy!... A może to jakaś histeria zbiorowa albo kwasy w rodzinach wyganiają tak w świat?”

Nie wie, że sześć lat później sam stanie się taką wędrowną kuropatwą. W 1940 roku zostanie wywieziony do Kazachstanu. Będzie pasł wielbłądy, a jego żona, hrabina Maria, zajmie się zbieraniem ich odchodów, suszeniem na słońcu i paleniem nimi w piecu. Hrabia Adam będzie wtedy nosił długą siwą brodę, a ludzie – za jego dobre serce – przezwǳą go św. Mikołajem. Nie będzie to koniec jego tułaczki. Wyruszy w drogę z armią Andersa, by przez Teheran dotrzeć aż do Nairobi. Będzie tam pracował w ogrodzie botanicznym i nadeśle do Polski zielnik z dziesięcioma tysiącami roślin. Umrze w Afryce 6 grudnia 1956 roku – w dzień św. Mikołaja.

Na razie jednak nic o tym nie wie.

Zajmuje się parkiem, który otacza pałac w Płazie. Rosną w nim lipy, jesiony i tulipanowiec. W samym środku parku, przy dworze, stoi wielkie drzewo. Miejscowi wierzą, że hrabia zakopał pod nim skarb.

W 1921 roku Adam Starzeński przekazuje majątek w Płazie synowi Antoniemu, który właśnie się ożenił, a sam przenosi się do Kościelca.

Szkice Adama Starzeńskiego wykonane podczas pobytu w Afryce; CATL Miejskiej Biblioteki Publicznej w Chrzanowie, z arch. Zespołu Szkół im. Rodziny Starzeńskich w Płazie



POMOCNIK OGRODNIKA

W pałacu w Płazie żona Krystyna rodzi hrabiemu Antoniemu trójkę dzieci.

Teresie, Marysi i Maćkowi pałac wydaje się ogromny. Tylko na dole mieści dziewięć pokoi. Dzieci mieszkają w lewym skrzydle. Na co dzień zajmują się nimi francuskie i niemieckie bony, więc dziewczynki i Maciuś częściej niż po polsku mówią językami obcymi. Dlatego trudno im czasem dogadać się z Józkim.

Józek Koryczan jest pomocnikiem ogrodnika.

Ma skończone sześć klas, kiedy staje przed bramą pałacu w poszukiwaniu pracy. Z nim staje jeszcze czterech chłopców, ale ogrodnik Lisewski wybiera właśnie Józka.

Za sześćdziesiąt groszy dziennie (to równowartość bochenka chleba) Józef podlewa rośliny, sadzi drzewka do szkółki i troszczy się o plantację truskawek hrabiego Antoniego. Przycina kalikantusy, południowoamerykańskie krzewy, które kwitną czerwono-różowymi dzwoneczkami o obłędnym zapachu truskawkowego wina (gospodynie z Płazy biorą od hrabiego rozsady i sadzą we własnych obejściach). Latem wynosi do ogrodu cztery spore palmy.



Pracownicy gospodarstwa przy szklarniach, l. 30.–40. XX w.; CATL Miejskiej Biblioteki Publicznej w Chrzanowie, z arch. Zespołu Szkół im. Rodziny Starzeńskich w Płazie

W zimie zajmuje się cieplarnią i oranżerią, gdzie rosną herbaciane róże. Pali też w piecach – ciepło idzie z nich rrami na cały pałac. Pomaga w stajniach i przy trzydziestu krowach hrabiny. Na podmokłych polach sadi pietruszkę, kapustę, buraki.

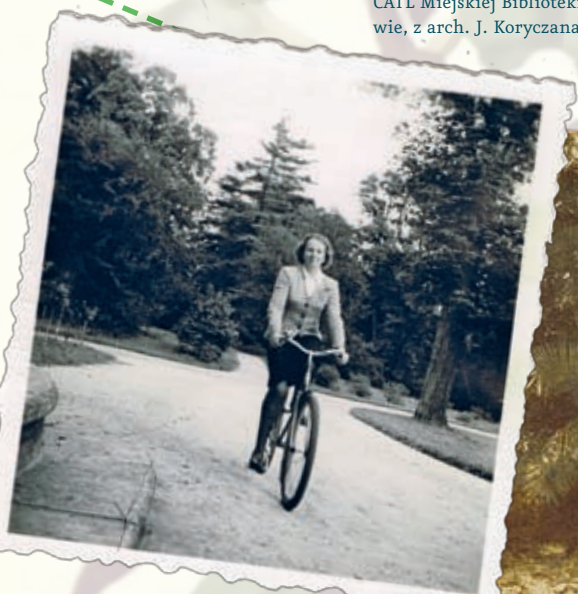
Czasem, kiedy trójka hrabiowskich dzieci ucieka przed guwernantką, pomaga im schować się w ogrodzie.

Hrabina Krystyna lubi tego sumiennego chłopca o delikatnych ustach i gęstych, półkolistych brwiach, który uważa, że uczciwość to największy majątek człowieka. Pewnego dnia spotykają się w sadzie. Józek zrywa wiśnie. Hrabina błądzi wśród leszczyn, niewidoczna dla chłopca, i prosi go, by jej gwizdał i naśladował ptaszki. Józek gwizdże tak długo, że potem boli go buzia.

MILI GOŚCIE

Do Płazy często zjeżdżają goście. Z Kościelca z odwiedzina-
mi przybywają dziadkowie Starzeńscy. Z daleka niesie się
wtedy warkot silnika tatry hrabiego Adama. Hrabia Adam
przychodzi też czasem pieszo. Ma posiwiałe wąsy i głowę,
a towarzyszy mu czarno-biała spanielka o imieniu Daisy.
Na Mikołajki dziadek Adam zawsze przynosi Teresce,
Marysi i Maćkowi czekoladki z cukierni Zalewskiego. Wy-
jeżdża także obdarowany – Józef Koryczan przygotowuje
dla niego zapas pietruszki, marchewki i cebuli. Pewnego
dnia, kiedy przychodzi zameldować, że wszystko gotowe,

Krystyna Starzeńska (?) na rowerze, l. 30. XX w.;
CATL Miejskiej Biblioteki Publicznej w Chrzano-
wie, z arch. J. Koryczana



państwo wołają go do stołu i kładą mu do czapki pysznych placek.

Hrabia Antoni w ogóle jest dobrym człowiekiem. Jeśli komuś spali się chałupa – poratuje drewnem na odbudowę. Hektar ziemi oddaje pod budowę szkoły. Będzie to największa szkoła ziemi chrzanowskiej, a hrabia da drewno na jej dach i każe wypalić trzydzieści tysięcy cegieł w swojej cegielni w pobliskich Oblaszkach.

Drugi hektar ziemi przeznaczony na cmentarz. Nigdy jednak na nim nie spocznie.

NIEMILI GOŚCIE

W 1940 roku do Płazy wkraczają Niemcy. Starzeńscy początkowo zostają w pałacu. Józef przemycza dla nich ziemniaki i jabłka. Któregoś dnia hrabina przychodzi i mówi mu: Przyszłam się z tobą, przyjacielu, pożegnać.

Okupanci wypędzają Starzeńskich z domu. Mogą wziąć brzyckę i parę koni.

Jest to chwila, którą Józef Koryczan zapamięta na całe życie.

Niemiec, który przejmuje pałac Starzeńskich, nazywa się Nawrat (a przynajmniej tak zapamięta go Koryczan). Zajmuje się dworami w Młoszowej, Pogorzycach i Bołęcinie. Kiedy gwizdże, wszyscy, którzy pracują w polu, muszą się pokazać. Ale Nawrat jest mimo wszystko dobrym człowiekiem. Jego córka wychodzi w Płazie za mąż, a Józef, na prośbę jej mamy, obrzuca ją przed kościołem trzema garściami fasoli – na szczęście.

Inni Niemcy są dużo gorsi. Na imieniny koledzy przygotowują dla Koryczana transparent: „Niech żyje Józef! Sto lat!”. Nic dobrego z tego nie wynika. Niemcom imię Józef kojarzy się ze Stalinem. Koryczan zostaje wezwany do pałacu. Trzech gestapowców bije go i kopie. Wywożą go do aresztu. Ma siedzieć tam trzy miesiące, ale Nawrat poręcza za niego. Wyjednuje mu też złagodzenie wyroku. Zamiast trzech lat w Dachau, Józef pojedzie na roboty do Berlina.

Nie wiadomo, co potem dzieje się z Nawratem. Żołnierze, którzy przychodzą na jego miejsce, dewastują pałac. Żeby ogrzać się zimą, rwą i palą parkiety.

Józef Koryczan w ogrodzie, l. 30.
XX w.; CATL Miejskiej Biblioteki
Publicznej w Chrzanowie, z arch.
J. Koryczana



LALKI

Wypędzeni Starzeńscy przyjeżdżają do Krakowa. Hrabia Antoni pomaga organizować Radę Główną Opiekuńczą. Pomaga zagrożonym wywózką do Niemiec. Tymczasem dziadek Adam bierze Daisy i piechotą rusza na Podole, gdzie przebywa babcia Maria. To tam zostanie zaaresztowany i wywieziony na Sybir.

Powojenne władze nie będą dla Starzeńskich łaskawsze. W latach stalinowskich hrabia Adam będzie więziony. Marysi pochodzenie zamknie drogę na medycynę. Pójdzie do szkoły hotelarskiej. Teresa wyprowadzi się do Poznania. Maciej wyjedzie do Belgii.

Józef Koryczan wróci do Płazy w 1947 roku. Wyuczy się fryzjerstwa, będzie wbijał pale w dno Zalewu Chechło i na czternaście lat zostanie sołtysem.

Wielkie drzewo, które rośnie na środku parku dworskiego, zmarnieje. Poszukiwacze skarbu uszkodzą mu korzenie. Nie znajdą złamanego grosza.

W pałacu władze organizują Technikum Rachunkowości Rolniczej, a od 1954 roku – Dom Pomocy Społecznej. Z bogatego wyposażenia wewnątrz zostaje jedynie kilka posadzek, barokowy strop i ozdobna klamka. Salę balową zapełniają łóżka pensjonariuszy, które za dnia, na czas zajęć, odsuwa się pod ściany. W romantycznych, nieogrzewanych wieżyczkach umieszcza się gabinet stomatologiczny, izolatkę i malutką, estetycznie wyłożoną zielonymi kafelkami tryparkę, gdzie przez trzy dni przed pogrzebem przechowuje się ciała zmarłych.

Pałac w Płazie;
„Architekt” 1905, z. 9

Lalki ludowe tworzone podczas warsztatów
zajęciowych prowadzonych przez DPS w Płazie;
fot. K. Kobylarczyk (2012)

Z początku w pałacu mieszkają same kobiety. Dopiero w latach sześćdziesiątych dołączają mężczyźni. Dzień wypełnia praca. Trzeba obrobić trzydzieści dwa hektary pola, oporządzić sto dwadzieścia świnek, okopać ziemniaki. Panie, które mają najrzęczniejsze palce, pod okiem zakonnicy-opiekunek robią lalki: szyją korpusy, wypychają je trocinami, malują, szyją i haftują stroje. To ciężka, okupiona cierpieniem praca, która nie ma wiele wspólnego z przyjemnością. Spod pokłutych igłami palców wychodzą lale baletnice, lale cyganki, lale hrabianki, istne arcydzieła.

Z czasem dom się modernizuje. Nowa dyrekcja likwiduje gospodarstwo rolne, rezygnuje z szycia lał, skupia się na terapii i wzorowo opiekuje mieszkańcami.

HRABIANKA

W 2011 roku do dyrekcji domu w Płazie wpływa niezwykła prośba. Składa ją hrabianka Teresa. Ma już osiemdziesiąt siedem lat i jest bardzo chora. Chciałaby – dosłownie na moment – wrócić do świata swojego dzieciństwa i zamieszkać w pałacu.

Nie ma żadnych wymagań. Nie chce, żeby w jakikolwiek sposób ją wyróżniać. Chce tylko u schyłku życia znów po-
być tam, gdzie się urodziła.

I to się udaje.

Hrabianka zamieszkuje w pokoju ze współlokatorką. Chadza na te same co wszyscy zajęcia. Je to samo co wszyscy. Nikomu nie mówi, że jest hrabianką. Jest cicha, skromna i bardzo szczęśliwa.

Spędza w tej szczęśliwości kilka tygodni.

Tej nocy, kiedy odchodzi, dyżur ma młoda dziewczyna. Nie może uwierzyć, że wszystko przebiega tak spokojnie. Ale to prawda.

Hrabianka Teresa Starzyńska umiera w Płazie, w domu swojego dzieciństwa, a opiekunki i pielęgniarki mogą powiedzieć, że odchodzi z uśmiechem na ustach.



RAJ PIĘCIOKROTNIE UTRACONY KLASYCYSTYCZNY DWÓR W GORZENIU GÓRNYM BYŁ DOMEM, SCHRONNIENIEM I MIEJSCEM INSPIRACJI DLA JEDNEGO Z NAJBARDZIEJ KONTROWERSYJNYCH PISARZY DWUDZIESTOLECIA MIĘDZYWOJENNEGO – EMILA ZEGA- DŁOWICZA. TU POWSTAWAŁY JEGO WERSZE I POWIEŚCI, W TYM SŁYNNE *ZMORY* I *MOTORY*.



Nikt nie spodziewał się skandalu. Nie po nim. Nie po chrześcijańskim poecie, sławiącym mistyczne piękno Beskidu, piszącym „godzinki” i „kantyczki”. Nie po cenionym dramaturgu, honorowym obywatelu Wadowic, skromnym właścicielu dworku w Gorzeniu Górnym.

Nie po Emilu Zegadłowiczu.

Ten skandal wstrząsnął całą Polską.

Gazety kipiały od wyzwisk. Pisano o „diabelskiej mieszaninie ohydy, plugastwa, ordynarnego świństwa z wybuchami najczystszej poezji, niesklamany idealizmem; do białości rozpalonej złości, wściekłości, nienawiści – z głębokim współczuciem”. Płynęły oskarżenia o demoralizację, chorobę psychiczną i bycie „rasowym mieszkańcem”. Oficjalnie potępił go Kościół. Władze oskarżyły o przygotowywanie zamachu stanu, policja inwigilowała. Kuratorium kazało wycofać jego książki z bibliotek szkolnych. Wadowice odebrały mu ulicę i honorowe obywatelstwo.

Wszystko przez jedną powieść.

Przez *Zmory*.

Książka o dojrzewaniu gimnazjalisty Mikołaja była jak demoniczne zwierciadło, w którym przejrzały się Wadowice. Tysiąc pięćset egzemplarzy czytelnicy wykupili z księgarń. Dodruk skonfiskowała policja.

Zegadłowicz obłączenie przetrwał w swoim dworku. Beskidzki samotnik, uduchowiony poeta i były patron ulicy skrupulatnie porządkował sześćset osiemdziesiąt jeden recenzji, pięć tysięcy osiemset siedemdziesiąt dwa wyzwiska, dwieście pięćdziesiąt sześć kazań, dwieście trzydzieści dwie karykatury, szesnaście uchwał miejskich,



Tytus Zegadłowicz przed gorzeńskim dworem; autor nieznan, z arch. rodziny

dwie stustronicowe interpelacje sejmowe i cztery wyroki konfiskaty. Cieszył się z gorączki („powyżej 40 stopni!”), jaką Zmory wywoływały u czytelników, wzruszały go listy z poparciem od zwykłych ludzi i uznanie Tuwima oraz Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Z bławatkiem w butonierce przechadzał się po ogrodzie. Zapraszał gości (był wspa-
niałym gospodarzem), m.in. Władysława Broniewskiego, Stefana Jaracza, Juliana Tuwima, Zbigniewa Pronaszkę, Jerzego i Witolda Hulewiczów. Gorzeński dworek pełnił już wtedy funkcję jednego z trzech najważniejszych centrów literackich tamtego okresu.

Tutaj też wreszcie stworzył kolejną straszną i nieoby-
czajną powieść, w której – jak ironicznie zapowiadał przyjaciółom – nie omieszka szkalować świętości.

Nigdzie nie pisało mu się tak dobrze jak w Gorzeniu.

RAJ

To miejsce było jego rajem na ziemi. Każdy wyjazd stąd uważał za wygnanie. Było tych wygnań pięć.

I tylko cztery powroty.

Posiadłość w Gorzeniu Górnym, cztery kilometry od Wadowic, w 1873 roku kupił Tytus Zegadłowicz, ojciec Emila. Był wówczas pięćdziesięcioletnim profesorem historii, przyrody, języków i śpiewu w gimnazjum. Stary, mieszczący chwilowo karczmę, murowany dworek urzekł go.

Tytus wyremontował Kamienny Dom, wytyczył ścieżki w parku i założył ogród ze wspa-
niałym drzewostanem. Hodował czarne róże, leszczyny o prostopadłych gałęziach, purpurowe brzozy, lilie, hiacynty i tuberozy. Czosnek niedźwiedzi, którym obsadził fragment parku, po latach rozpełzł się daleko. W ogrodzie, na kolumnkach, ustawił dwa wiedeńskie posążki – Sofię i Florę, królową kwiatów.

Elżbietę Kaiszarównę poznał dwa lata po zakupie Gorzenia. Była od niego o trzydzieści lat młodsza, chadzała po Wadowicach w męskim kapeluszu, w listach słała przyjaciółkom pocałunki we wnętrza dłoni i – tak jak Tytus – kochała muzykę. Po raz pierwszy zanocowała w Kamiennym Domu w 1887 roku. Rok później urodziła Emila. W świetle prawa nigdy nie była żoną Tytusa. Nie zamieszkali razem.



Chłopiec, jako niemowlę, przyjechał do Gorzenia z mamką. Wychowywał się wśród hiacyntów i tuberoz, czytał Homera z biblioteki ojca i niecierpliwie wyglądał coniedzielnych odwiedzin matki.

Zanim po raz pierwszy wygnano go z raju, spędził tu najszcześniejsze dzieciństwo świata.

CORAZ DALEJ OD RAJU

Pierwsze wygnanie było niedalekie. To o nim napisał w *Zmorach*. W 1898 roku pojechał do Wadowic do gimnazjum. Uczył się różnie, zawsze nagannie z kaligrafii. Po szkole wyjechał studiować historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Odwiedził Drezno i Wiedeń, na moment (wybuchła pierwsza wojna światowa) został nawet wcielony do austriackiego wojska. Kiedy wrócił, raj nie był już tak beztroski, jakim go zapamiętał.

Nie żył ojciec, zmarła matka. Zarząd nad dworem przejął wujostwo. Gdy zabrakło także wuja, Emil został gospodarzem Gorzenia. W spadku odziedziczył dług. Konieczność utrzymania rodziny i spłaty wierzycieli raz po raz już miała wypędzać Emila z rajszych ogrodów ojca.

Drugie wygnanie zawiodło go trzysta pięćdziesiąt kilometrów od raju.

Posadę w Ministerstwie Sztuki i Kultury załatwili przyjaciele. Dla pogrążonego w długach pisarza biurko referenta, a potem kierownika wydziału literatury było finansowym ratunkiem. W 1919 roku był już w Warszawie. Do Gorzenia słał kilkunastostronicowe, ledwie czytelne listy pełne żalu i tęsknoty.

Pocieszał się zakupami u bukinistów. Do gorzeńskiej biblioteki zdobył pierwsze wydanie Biblii Wujka z 1599 roku, dokumenty z podpisami królów, pierwodruki Krasińskiego... Dobrze inwestycje – usprawiedliwiał się przed żoną.

Marię Kurowską poznał letnią nocą 1914 roku we własnym domu. Wybiegła mu naprzeciw w samej nocnej koszuli, z rozwianymi włosami czarnymi jak skrzydło gawrona. Zegadłowicz wracał z podróży do Drezna. Na dworcu w Kalwarii poznał młodego Seweryna Kurowskiego. Matka i rodzeństwo Seweryna wynajmowali od ciotki

Emila letnisko w Gorzeniu. To właśnie na powitanie bratu wybiegła w koszuli kruczowłosa Maria.

Rok później była już żoną o cztery lata młodszego Emila. Trzydzieści miesięcy później urodziła im się córka Elżbieta. Drugą, która przyszła na świat w 1920 roku, nie bez kłopotów ochrzcili Atessa. Nalegał Emil: „śliczne imię to w poezji Słowackiego tak ważne niezwykły ma dla mnie urok”.

Zegadłowicz nie oswoił się ze stolicą. Miasto niszczyło go: wciągało, wsysało, rozdrabniało. Przyplącił to anemią. Lekarz zapisał na nią żelazo, nacierania i arszenik.

Zegadłowicz miał jednak własne remedium.

W myślach wracał do Gorzenia. Przy urzędniczym biurku, z żalu, tęsknoty i nostalgii, zaczął tworzyć Powsinogi Beskidzkie.

POWSINOGI

Sześć ballad: o druciarzu, szklarzu, sadowniku, świątkarzu, kamieniotłuku i zdunie, ukazało się w 1923 roku. Wzbudziły zachwyt. Za „jęzor po Tatrach rozwałęsany należycie” chwalił je sam Bolesław Leśmian. Doczekają się kilkukrotnych wznowień, a czwarta edycja w 1930 roku trafi nawet na wystawę najpiękniejszych ksiązek świata w British Museum w Londynie.

Zegadłowicz był już wtedy z powrotem w raju. Wytrwał w Warszawie do listopada 1921 roku. Podał się do dymisji i z rozkoszą wrócił do Gorzenia.

Znów mógł wstawać wcześniej, by pójść nad Skawę, wtykać chabry w butonierkę, słuchać szczekania Torusia lub Grzmilasa, karmić kota Smyka surową śledzioną, by oduczyć go polowania na ptaki. Mógł śniadać z żoną w pokoju żółtym i wędrować do Czartaka – kamiennego budynku, który stał przy drodze z Wadowic do Suchej. Imieniem budowli nazwał grupę literacką, którą z Edwardem Kozikowskim założył w 1922 roku.

Mógł w spokoju pisać wiersze i dramaty, tłumaczyć Fausta.

Mógł zachwycić się świątkami, które przyniosła do dworu Marianna Wawro. Owiniętym w szmaty szewskim nożem rzeźbił je jej mąż Jędrzej, górnik i drwal. Zegadłowicz

zrobił wszystko, by rozślawić jego twórczość i namówił do robienia drzeworytów, które – jako „Pieczętki beskidzkie” – zawędrowały do Paryża i Stanów Zjednoczonych, by zachwycać i sławić polską kulturę. Był to – być może – najspokojniejszy okres w życiu Emila Zegadłowicza. Ale dobiegł końca. Wielkimi krokami zbliżało się kolejne wygnanie z raju.

CZTERYSTA CZTERDZIEŚCI KILOMETRÓW OD RAJU

Czternaście godzin po przyjeździe do Poznania Zegadłowicz nie mógł zdecydować się na rozpakowanie walizki. Wiedział jednak, że musi zostać. Powód? „Ludzka rzecz – napisał przyjaciółm – długi”. Gospodarstwo nie przynosiło zysków, a dach Kamiennego Domu wymagał remontu. Kilimiarnia, w którą pisarz zainwestował do spółki z Jerzym Hulewiczem i Bolesławem Leśmianem, sprzedała sto sześćdziesiąt dwa kilimy. Mimo że projektowaniem tkanin zajęli się artyści tej miary co Władysław Gęga, Jerzy Hulewicz, Zbigniew Pronaszko czy Ludwik Misky. Zdobywając nagrody na wystawie w samym Paryżu, finansowo przedsiębiorstwo zrobiło klapę. W 1927 roku Zegadłowicz przyjechał do Poznania na zarobek.

Do wyjazdu od dawna namawiała go Stanisława Wysocka. W 1924 roku Emil wysłał do aktorki Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie pierwszy list. Trzy miesiące potem się spotkali. Wysocka miała zostać miłośniczką i promotorką Zegadłowicza.

Nie cierpiała jednak Gorzenia. Uważała go za miejsce przeklęte – dom, który zniewala Emila. Błagała, żeby go opuścił. Zegadłowicz był jednak głuchy na te prośby. Gorzeń był jego rajem i dopiero zepsuty dach zmusił go do wyjazdu.

W Poznaniu spędził sześć lat. Przez trzy sezony pracował jako kierownik literacki Teatru Polskiego, redagował czasopisma „Tęcza” i „Świat Kulis”, był dyrektorem programowym Poznańskiej Rozgłośni Polskiego Radia. Zarobił dość, by wrócić z książkami, obrazami, meblami i funduszem remontowym dla Kamiennego Domu.

Rzeźba diabła, J. Wawro;
fot. K. Fidyk, z arch. MIK (2012)



HOŁD I DIABŁY

Wiosna 1932 roku uszczęśliwiła go. Znów był w Gorzeniu. Ale już jesienią musiał ubiegać się o zasiłek dla bezrobotnych. Kłopoty ze zdrowiem wygnały go do szpitala. Wrócił z niego niemal wprost na jubileusz dwudziestopięciolecia swojej twórczości.

To było wielkie wydarzenie: ksiądz pobłogosławił Zegadłowiczowi z ambony, miasto nadało mu honorowe obywatelstwo i ochrzciło jego imieniem ulicę Tatrzańską. Pięć-tysięczny tłum przybył do Kamiennego Domu, byłożyć hołd poecie i dramaturgowi. Rzeźbiarz Wincenty Bałys podarował mu dwa diabelskie torsy do ozdobienia sieni. Zegadłowicz kazał wypisać nad nimi motto Kamiennego Domu: „Złe myśli zostaw diabłom, a pełne pogody serce naprzeciw serca nieś na strome schody”. Nie wiedział jeszcze, jak trafne staną się te słowa.

CORAZ BLIŻEJ PIEKŁA

Los miał dla niego jeszcze dwa wygnania. Pierwsze do Katowic. Znów za pracę – przez rok pracował jako doradca literacki w Teatrze Polskim i wykładał historię sztuki w tamtejszym konserwatorium. Nie zarobił wiele. Po powrocie do Gorzenia musiał szukać zajęcia.

Został redaktorem programów literackich stacji radiowych, ale stracił tę pracę w 1936 roku.

Rok wcześniej wydał *Zmory*.

Powieść o dojrzewaniu Mikołaja wywołała skandal, jakiego nie spodziewał się nikt. Śledzony przez policję, obrzucony pięć tysięcy osiemset siedemdziesięcioma dwoma wyzwiskami pisarz trwał w Kamiennym Domu. Tworzył kolejną powieść.

Motory były tak kontrowersyjne, że zecerzy obawiali się je składać. Mieli rację. Władze oskarżyły autorów (Zegadłowicz uważał za pełnoprawnego współtwórcę ilustratora Stefana Żechowskiego) o usiłowanie zmiany ustroju państwa polskiego przemocą. Policja ruszyła konfiskować powieści. Nadaremnie. Pisarz i wydawca zdążyli rozesać egzemplarze do subskrybentów. „Cenzura nie zamawiała, ale się jej z kurtuazji wysłało” – podrwiwał Zegadłowicz.

Ale jego dawny raj coraz bardziej przypominał piekło.

PIEKŁO I ZNÓW RAJ

11 września 1939 roku do Kamiennego Domu wprowadzają się wrogowie. Niemieccy żołnierze kwaterują w dawnym pokoju ojca, deptają ścieżki w parku, bezczeszczą spokój.

Chociaż raj już dawno utracił niewinność. W 1937 roku Zegadłowicza zainteresowała recenzja *Motorów*. Napisał do autorki. Maria Koszyc-Szołajska została jego korespondentką i przyjaciółką. Po wybuchu wojny sprowadził ją i jej bratanka do Gorzenia. Atmosfera w Kamiennym Domu, gdzie mieszkała żona i córki, stała się trudna do zniesienia. Zbliżało się ostatnie wygnanie z raju.

Nie było dalekie. Siedemdziesiąt dziewięć kilometrów. Szpital w Sosnowcu.

Z tego wygnania Zegadłowicz już nie powrócił.

Przeczuwał to. Miał nowotwór gruczołów limfatycznych. Prosił, by spalić jego ciało na pagórku nad Kamiennym Domem, prochy замуrować w skale i napisać: „Ten, który chciał wszystko kochać i nie zawsze potrafił”.

24 lutego 1941 roku w wieku pięćdziesięciu dwóch lat odszedł bez lęku, prawie z radością, „jakby w ciszę Wielkiego Lasu”. Zostawił po sobie czterdzieści tomów poezji, wiele dramatów, kilka powieści, tłumaczenia z niemieckiego i rumuńskiego oraz ogromną kolekcję dzieł sztuki. Po latach krytyka doceniła jego *Zmory*, które weszły na stałe do kanonu literatury polskiej.

Okupacja i sytuacja powojenna nie pozwoliły zrealizować ostatniej woli pisarza. Spoczął w Sosnowcu i już nigdy go nie opuścił.

Niemcy spłądrowali Kamienny Dom i zrównali z ziemią Czartak. Wywieźli świątki, obrazy, kilimy i dziesięć tysięcy książek. Kolekcji nigdy nie udało się odzyskać.

Kamienny Dom w Gorzeniu Górnym wrócił po wojnie do rodziny pisarza. Wszystko jest w nim jak dawniej: „kaplica” ze świątkami powsinogi Wawry, ocalałe obrazy, rysunki, pamiątki, archiwum. Z ram portretów spogląda Maria o włosach czarnych jak skrzydło gawrona, a w pracowni pisarza, na biurku, leży nieczytelny rękopis.

Drogi na piętro broni jeden ocalały diabeł.

Motto, które widnieje nad nim, nie straciło nic z aktualności.

W tle: dwór w Gorzeniu,
zdjęcie współczesne;
fot. K. Kobylarczyk (2012)



Rzeźbiarz ludowy Jędrzej Wawro przy pracy nad świecznikiem przedstawiającym kapelę anielską (podobny znajduje się w gorzeńskim dworze). Na dole z lewej widoczny fragment rzeźby Chrystus Frasobliwy, 1939; fot. W. Miedniak, NAC

BIBLIOGRAFIA

- Bieda B., *Płaza... Wspomnienia Józefa Koryczana*, http://www.plaza.neostrada.pl/n_koryczan_bieda.html (dostęp: 20 grudnia 2012).
- Krasnowolski B., *Chrzanów. Studia z dziejów miasta i regionu do roku 1939*, Chrzanów 1998.
- „Miesięcznik Heraldyczny” 1908, t. 1–3.
- Ornatowski M., *Wspomnienia hrabiny*, „Przełom” 2006, nr 49.
- Polski Słownik Biograficzny, Kraków, t. IV: 1938, t. IX: 1961.
- Restauracja pałacu w Płazie, „Architekt” 1905, z. 9.
- Skalny Ł., *Historia Krzeszowic. Okres międzywojenny*, Kraków 2004.
- Stabro S., *Małe ojczyzny Emila Zegadłowicza. W 110. rocznicę urodzin pisarza*, „Wadoviana. Przegląd Historyczno-Kulturalny” 2000, nr 4.
- Wegenke E., *Muzeum w Gorzeniu*, „Wadoviana. Przegląd Historyczno-Kulturalny” 2000, nr 4.
- Wójcik M., *Pan na Gorzeniu. Życie i twórczość Emila Zegadłowicza*, Kielce 2005.
- Zinkow J., *Krzeszowice i okolice*, Warszawa–Kraków 1988.

Jeśli marzysz, by zobaczyć zastępy wąsatych aniołów i pajęczynę kolorów rozpiętą na starych jodłowych deskach, jeśli ciekawi cię, do jakiej polskiej wsi co roku przyjeżdża trzy tysiące Japończyków, jeśli chcesz poznać kilka małych drewnianych kościółków równie cennych co Chiński Mur, piramidy w Gizie i kanały Wenecji...



...WEJDŹ Z NAMI NA
MAŁOPOLSKĄ TRASĘ UNESCO

Patronowa polichromia w kościele w Lipnicy; fot.
J. Nowostawska-Gyalókay, z arch. MIK (2012)

Małopolska Trasa UNESCO liczy tylko osiem przystanków, ale są to przystanki wyjątkowe. Każdy z nich jest fenomenem na skalę światową. Miejscem niepowtarzalnym. Prawdziwym unikatem.

Lista Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego UNESCO powstała w 1972 roku. Wpisuje się na nią najważniejsze dla ludzkości zabytki oraz cuda przyrody. Obecnie na liście znajdują się dziewięćset sześćdziesiąt dwa obiekty. W Polsce ten zaszczyt przypadł trzynastu miejscom. W Małopolsce to: historyczne centrum Krakowa, kopalnia soli w Wieliczce, zespół pielgrzymkowy w Kalwarii Zebrzydowskiej, obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau oraz cztery drewniane kościoły: w Binarowej, Dębnie Podhalańskim, Sękowej i Lipnicy Murowanej (wpisane wraz z podkarpackimi w Bliznem i Haczowie). Międzynarodowi eksperci uznali je za równie piękne, ważne i wyjątkowe co Chiński Mur, sawanny Serengeti, ruiny Persepolis, katedra w Chartres czy jaskinia Altamira.

W ramach XV Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego zapraszamy szczególnie do odwiedzenia trzech z sześciu drewnianych kościołów o konstrukcji zrębowej. W tym roku wszystkie świątynie obchodzą jubileusz dziesięciolecia wpisu na listę UNESCO. To arcydzieła. Budowali je znakomici cieśle na zlecenie ówczesnych elit: rycerzy, możnowładców, hierarchów Kościoła. Wnętrza kościołów zaskoczą cię bogactwem wystroju. Spotkasz w nich to barwne polichromie, to znów gotyckie Madonny, średnio-wieczne ołtarze, dzwony czy chrzcielnice. Na drewnianych stropach najstarszych z nich odnajdziesz malowidła pamiętające czasy Jagiellonów. Podczas tegorocznych Dni Dziedzictwa otworem staną przed tobą stare, niskie odrzwia **drewnianych kościołów w Lipnicy Murowanej, Binarowej i Sękowej.**

WYCIECZKA Z PRZEWODNIKIEM ZE WSZYSTKICH SZEŚCIU DREWNIANYCH KOŚCIOŁÓW WPISANYCH NA LISTĘ UNESCO TEN Z LIPNICY MUROWA- NEJ NAJMNIEJ ZMIENIŁ SIĘ OD CZASÓW BUDOWY W XV WIEKU. W MODRZEWIOWEJ ŚWIĄTYNI ZNAJDUJĄ SIĘ ORYGINALNE ŚCIENNE MALOWIDŁA.

Są przynajmniej cztery powody, dla których powinniście w tym roku odwiedzić Lipnicę Murowaną.

Po pierwsze – dla drewnianego kościoła św. Leonarda. Właśnie mija dziesiąta rocznica wpisania go na listę UNESCO.

Po drugie – dla murowanego kościoła parafialnego św. Andrzeja. Akurat świętuje sześćsetpięćdziesięciolecie istnienia.

Po trzecie – dla sióstr Ledóchowskich. Sto pięćdziesiąt lat temu urodziła się bł. Maria Teresa, która większość życia spędziła w Lipnicy Murowanej, a dziesięć lat temu papież Jan Paweł II kanonizował jej siostrę Urszulę.

Wreszcie, po czwarte, powinniście przyjechać ze względu na tego pana. Ale on już się zbliża i wszystko wyjaśni wam sam. Jest niewysoki, korpulentny, ma srebrne włosy i miłą, pogodną twarz. Na pewno go rozpoznacie. Pojawi się znikąd – o, tak, znikąd – kiedy będziecie rozglądać się za przewodnikiem. – Witajcie w naszej ukochanej Lipnicy – powie na pewno.

Zawsze, kiedy mówi „Lipnica”, dodaje „ukochana”.



Józef Piotrowski, l. 60. XX w.;
z arch. rodzinnego A. Gromali

1.

Jeśli zaproponuje, że was oprowadzi, nie wahajcie się. Nikt nie wie o Lipnicy Murowanej tyle co on. Poświęcił jej życie i wiele wierszy. – Skąd jesteście? – zapyta. – Teraz przyjeżdżają do nas nawet Arabowie i Hindusi, a Japończyków mamy w kościele trzy tysiące rocznie!

Pójdziecie więc za nim, a on najpierw opowie legendę o założeniu Lipnicy. Może nawet wierszem, jego autorstwa. Zawsze od tego zaczyna: jak Władysław Łokietek polował w tutejszych borach, jak w pościgu za zwierzyzną zgubił orszak, jak zasnął pod lipą i oznaczył drzewo mieczem, obiecując założyć tu miasto. „Dotrzymał więc Łokietek królewskiej obietnicy, już siedemset lat dobiega Murowanej Lipnicy” – wyrecytuje na koniec i wyjaśni, że jest w tej legendzie trochę prawdy, ale nie cała. Lipnica Murowana jest od Łokietka dużo starsza. Początkowo nazywała się Lipnik i istniała przynajmniej od XII wieku. Jeśli Łokietek przypadkowo trafił do niej podczas polowania, na pewno nie musiał odpoczywać na gołej ziemi. Za jego czasów była tu spora osada. W pobliżu biegł szlak handlowy z Krakowa na Węgry. Najstarsze chaty stały w widłach Uszwicy i Potoku Górzańskiego, nowe domy wspinały się na pagórek, który wznosi się nad rzeczkami. Co więcej – niewykluczone, że Lipnica Murowana od kilku lat była już miastem! Wprawdzie 26 marca 1326 roku król Władysław wydał dokument lokujący ją na prawie średzikim, ale wiele wskazuje, że osada wcześniej otrzymała podobny przywilej. Od dawna miała też kościół. Łokietek nie mógł go przegapić. Nad rzeką, wśród dębów, stała drewniana świątynia pod wezwaniem św. Leonarda.

W tle: fragment Sądu Ostatecznego w kościele w Lipnicy;
fot. J. Nowostawska-Gyalólkay, z arch. MIK (2012)

I właśnie wtedy ją zobaczycie. Na skraju cmentarza, wśród omszałych grobów, przytulony do sędziwego dębu objawi się wam piękny drewniany kościół. Strzelisty dach pokrywa gont, ze szczytu wyrasta sygnaturka nakryta delikatnie spłaszczonym, cebulastym hełmem. Niskie drewniane soboty obiegają wkoło cały budynek, obiecują cię i chłód...

– To ten? – zapytacie, a starszy pan, zadowolony z waszego zachwyty, odpowie z dumą: – Nie. Ten jest późniejszy.

2.

Pewnie będziecie chcieli wiedzieć, kto, kiedy, dlaczego. On wszystko wam opowie. Że dawniej, wśród tych dębów stała gontyna i czczono pogańskie bożki, aż pojawił się pustelnik i nawrócił ludzi. Że pierwszy kościół wzniesiono – jak chce tradycja, ale na co nie ma dokumentów – w 1141 roku. Że w 1326 roku proboszcz Andrzej zapłacił cztery denary oraz osiem i pół skojca świętopietrza, co oznacza, iż parafia była ludna i bogata. Że ten najstarszy kościół nie dotrwał do naszych czasów. – Konserwatorzy mówią, że ten, który

Kościół w Lipnicy; fot. K. Fidyk,
z arch. MIK (2012)



widzicie, zbudowano w XV wieku – wyjaśni starszy pan.
– Ale spośród drewnianych kościołów, które wpisano na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego UNESCO, nasz lipnicki przetrwał w najmniej zmienionej formie.

Ruszyście więc z mostku, na którym się zatrzymaliście, a wasz przewodnik wskaże na płytki, kamienisty nurt.
– Strachu nam napędził co niemiara. Mało brakowało, a byłby kościół porwał – powie, a kiedy zapytacie (bo przecież zapytacie), wyjaśni, że podczas powodzi w 1997 roku leniwe lipnickie rzeczki zmieniły się w żywioł, który wymył kamienie spod podwalin. Świątynię trzeba było przywiązać linami do dębu, żeby nie odpłynęła.

To naprawdę wyjątkowy kościół. Wszystkie drewniane kościoły Polski południowej są wyjątkowe – dlatego eksperci zdecydowali w 2003 roku wpisać na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO Binarową, Blizne, Dębno Podhalańskie, Haczów, Lipnicę Murowaną i Sękową.

Niech nie zmyli was budulec. To, że kościółek jest drewniany, nie znaczy, że wzniesli go domorośli cieśle. Te świątynie budowali wyspecjalizowani fachowcy. Fundowały je ówczesne elity. Najstarsze zachowane pochodzą z XIV lub XV wieku. Są sumą doświadczeń budowniczych, formą bezbłędną, skończoną i dopracowaną do perfekcji. Tak jak ten, do którego prowadzi was ów przemily starszy pan. Zniknął już pod niskimi sobotami. Pójdziemy z nim?

W tle: pejzaż zimowy z kościołem w Lipnicy;
fot. J. Nowostawska-Gyalólkay, z arch. MIK
(2012)

3.

– Tylko na głowy uważajcie. U nas trzeba się pokłonić, wchodząc – zażartuje, widząc, jak zbliżacie się ku podcieniom. Chłodno tu i cieniście, pachnie starym drewnem. To modrzew. Ściany lipnickiego kościoła wzniesione są z obrobionych toporem pni modrzewi – każdy jest tak długi jak nawa. Tylko podwalina na fundamencie z polnych kamieni, najbardziej narażona na wilgoć, jest z dębiny. Wypolerowane ręką sprawnego stolarza drewno jest gładkie i miłe w dotyku. – A widzicie te szczeliny między belkami? Dawniej wtykało się tam wyrwane i wypadłe zęby – doda wasz przewodnik i zaśmieje się, kiedy cofniecie dłoń. – Wszystkie moje dzieci bały się tych zębów!

– A dużo ma pan tych dzieci? – zapyta może ten z was, którego najbardziej zaintrygował starszy pan. – Dziewięcioro – odpowie. – Najmłodszego ochrzcziliśmy Jacek Leonard, na pamiątkę patrona kościółka – zaduma się, a potem zmieni temat. – Te ściany czyściliśmy chlebem. Tak zalecił konserwator. Mieszkał u nas, kiedy przyjeżdżał do Lipnicy. Chleb do czyszczenia kościoła musiał być świeży, nie czerstwy. Robiło się z niego kulki i tarło ściany. Potem zbierało się i dawało bydłu, żeby nie marnować. Wejdziemy do środka?

Wyjmie wielki stary klucz i przekręci go w zabytkowym zamku. Pchnie drzwi z oślim grzbietem w nadprożu. Śmiało podążcie za nim – w ciszę i zapach drewna...

Sceny rodzajowe z Lipnicy, od lewej: kobiety przed chatami, kobiety przy studni, wóz konny przed straganami, 1932; autor nieznany, NAC



4.

Najpierw pozwoli wam na zachwyt. Na zadarcie głowy, na zapatrzenie w delikatne malowidła ścian i sufitu. Dopiero potem zacznie opowiadać. – Najstarsze fragmenty polichromii na suficie pochodzą z XV wieku. Robiono je za pomocą szablonów, zwanych patronami – wyjaśni. – Ściany zdobiono w XVII i XVIII wieku. Zobaczcie, tu macie Ukrzyżowanie, tu Sąd Ostateczny, tu Ostatnią Wieczerzę. A tam Szymon modli się do Najświętszej Pani. Świąty Szymon z Lipnicy często był w tym kościele. Przychodził porozmawiać ze świętymi z tryptyków – wskaże trzy gotyckie ołtarze tablicowe. – To kopie – westchnie. – Oryginały są w muzeum w Tarnowie. W 1992 roku było włamanie do kościółka i tryptyki skradziono. Odzyskano je, ale już do nas nie wróciły...

Starszy pan trochę posmutnieje. Westchnie z tęsknoty. Ale zaraz się ożywi. – Popatrzcie jeszcze pod nogi! – upomni. – Pod tą płytą spoczywają rodzice siostr Ledóchowskich. Ich tata zmarł na czarną ospę. Marię Teresę papież Paweł VI beatyfikował w 1975 roku. Ależ tłum był wtedy w Rzymie!

– Mówi pan, jakby pan tam był – zainteresuje się może jedno z was. – Bo byłem – przyzna wasz przewodnik. – Wybrano mnie do delegacji. Przygotowałem strój krakowski. Na pas skroiłem skórzaną torebkę mojej córki. Oj, zła była, ale obiecałem, że przywiozę jej z Rzymu ładniejszą... – uśmiechnie się do wspomnień.



Tak będzie mówił. I opowie wam jeszcze wiele historii. O tym, jak w XIV wieku otoczono Lipnicę murami i jak kościół św. Leonarda został poza nimi. O tym, jak Kazimierz Wielki ufundował murowany kościół św. Andrzeja, który ma już sześćset pięćdziesiąt lat, i jak drewniana świątynia przestała być siedzibą parafii. O tym, jak Lipnica była wielkim, bogatym miastem z rynkiem i dwiema brukowanymi ulicami. O rzemieślnikach zrzeszonych w cechy i o tradycji robienia długich palm wielkanocnych. O tym, jak Szwedzi podczas potopu zrównali Lipnicę z ziemią za to, że przez kilka godzin stawiała im opór, i jak miasto już nigdy się po tym nie podniosło. O lipnickich świętych i błogosławionych, o zbójnikach i tajemniczych głazach...

Na koniec zaprowadzi was za ołtarz, w wąskie przejście, gdzie wiszą dwustuletnie ornaty. Z czułością poklepie długą pionową belkę, która wspiera tryptyk. – Wiecie, co to jest? – zapyta z błyskiem w oku. – Spójrzcie do góry!

Kiedy zadrzecie głowy, by u szczytu pała dostrzec dziwny kształt, ni to kapelusz, ni daszek, a pod nim coś rozmytego, co przypomina cztery twarze Światowida, usłyszycie, jak mówi, że niektórzy twierdzą, iż to drewno ma tysiąc lat i było kiedyś częścią pogańskiej gontyny...

A kiedy opuścicie głowy, żeby o to zapytać, już go nie będzie.



Ambona z polichromią z 1711 r.;
fot. M. Klag, z arch. MİK (2007)

5.

I nigdzie nie będzie widać pogodnego starszego pana o srebrnych włosach. Spojrzycie po sobie zdziwieni. Schował się? Poszedł? Obraził? – Hop, hop! – zawołacie, ale odpowie wam tylko echo. Będziecie sami. Wasz przewodnik zniknął.

Jeśli popytacie o niego w Lipnicy, spojrzą na was dziwnie. Powiedzą, że ten, którego opisujecie, nazywał się Józef Piotrowski. Że mieszkał w Lipnicy i ożenił się z Michaliną Zagatą, córką grabarza, szewca, balwierza oraz kościelnego. Że zamieszkał z nią w domu nieopodal kościoła św. Leonarda. Że kochał to miejsce i bardzo o nie dbał. Że był sołtysem i społecznikiem, który urządził pierwszy konkurs lipnickich palm, pisał wiersze oraz legendy. Że z poświęceniem opiekował się zabytkami. Że w latach sześćdziesiątych wystarał się o bruk z likwidacji torowisk tramwajowych w starym Krakowie, żeby wyłożyć nim lipnicki rynek. I że umarł czternaście lat temu. W szpitalu, po czwartym udarze mózgu, pytał córki, czy zabierze go do ukochanej Lipnicy, bo przecież tyle ma jeszcze do zrobienia.

Powiedzą wam też, że w tym roku mija setna rocznica jego urodzin, więc niewykluczone, iż Pan Bóg pozwolił mu na chwilę wrócić do domu.

W tle: patronowa polichromia w kościele w Lipnicy; fot. J. Nowostawska-Gyalóky, z arch. MIK (2012)

Józef Piotrowski trzymający herb Lipnicy; z arch. rodzinnej A. Gromali



OŁÓWEK I PAJĘCZYNA KOŁORÓW

W KOŚCIELE W BINAROWEJ, WZNIESIONYM NA PRZEŁOMIE XV I XVI WIEKU ZACHOWAŁA SIĘ PÓŻNOGOTYCKA I BAROKOWA DEKORACJA MALARSKA. DREWNIANE ŚCIANY WPISANEJ NA LISTĘ UNESCO ŚWIĄTYNI POKRYWAJĄ SCENY M.IN. MĘKI PAŃSKIEJ, UOSOBNIENIA GRZECHÓW, CNÓT I ŚMIERCI ORAZ TŁUM WĄSATYCH ANIOŁÓW.

Oprawiony w płótno szkicownik ma sto jeden pustych, gładkich stron. Jest chyba najważniejszą rzeczą w bagażu Stanisława. Zdaje się, że przygotował go specjalnie na tę wycieczkę. Stanisław ma dwadzieścia lat i ogromny zapał do rysowania – dopiero od dwóch lat uczy się w Szkole Sztuk Pięknych. Właśnie trwają jego drugie studenckie wakacje. Wrzuca notes na wierzch plecaka lub podróźnej torby i pędzi na pociąg.

Uczestnicy wycieczki zbierają się na peronie: sześciu uczniów pod opieką starego profesora. Profesor (nazywają go Smokiem) jest surowy, lecz lubiany. Słynie z zamiłowania do rzeczy starożytnych i niezwyklej ruchliwości. Uczniowie mają po dwadzieścia lat, wakacje i świetne humory. Józek Mehoffer ściska na powitanie najlepszego przyjaciela – Stanisława.

Jest środek lata, 25 lipca 1889 roku. Pociąg do Nowego Sącza zaraz porwie ich z Krakowa w zieloną ciszę Beskidu.



Wycieczka artystyczno-naukowa z kursem prof. W. Łuszczkiewicza (prof. w tylnym rzędzie pośrodku), 1893; autor nieznany; z arch. Biblioteki Głównej ASP, Gabinet Rycin

Notes Stanisława wypełni się tam kapliczkami, kościołami i ich portalami, ołtarzami oraz rzezbami. Pojawi się w nim także drewniany kościół z Binarowej i sprzęty z jego wyposażenia.

Profesor, który przewodzi wycieczce, nazywa się Władysław Łuszczkiewicz i będzie z młodego ucznia wyjątkowo kontent. Z zadowoleniem włączy jego rysunki do sprawozdania, które złoży Komisji do Badania Historii Sztuki.

Uczeń – i właściciel pustego na razie notesu – to Stanisław Wyspiański.

OLÓWEK STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO

Letnie wycieczki z Władysławem Łuszczkiewiczem są tradycją Szkoły Sztuk Pięknych. Inspiruje je Stanisław Tomkowicz, cesarsko-królewski konserwator zabytków: profesor i uczniowie docierają w najdalsze zakamarki południowej Polski i – często po raz pierwszy w historii – inwentaryzują je. Tegoroczna wyprawa długo jednak wisiała na włosku. Polska Akademia Umiejętności naciskała, by, zamiast wędrować po pagórach, profesor Łuszczkiewicz „przyśpieszył przygotowywanie do druku materiałów zebranych”. W ostatniej chwili okazało się, że jeśli wyprawa nie dojdzie do skutku, przepadną zarezerwowane fundusze. A te są znaczne. W 1889 roku wystarczą na opłacenie podróży nie jednego, a sześciu uczniów.

25 lipca 1889 roku Nowy Sącz nie robi wrażenia na profesorze Łuszczkiewicz. – Oszepeczone reszty dobrze zabudowanego w średniowieczu handlowego miasta – mruczy pod nosem, ale decyduje się założyć tu jedną z baz i robić wypadki do pobliskich miejsc. Przez kolejne dni profesor i jego uczniowie bez wytchnienia zwiedzają i szkicują kościoły, klasztory, domy, chaty i rzeźby. Władysław Łuszczkiewicz najbardziej zadowolony jest z pracy Wyspiańskiego i Mehoffera. Każdy z nich wykona w czasie tej wyprawy masę rysunków.

Profesor, o którym mówi się, że jest niezmordowanie ruchliwy, z dumą patrzy zwłaszcza na niestrudzonego Stanisława.

Stustronicowy szkicownik Wyspiańskiego szybko się zapełnia. Stanisław rysuje wszystko. Detale i wnętrza,

W tle: okucie drzwi oraz kropielnica w kościele w Binarowej, Szkicownik II Stanisława Wyspiańskiego z wycieczki w Sądeckie, 1889; z arch. Muzeum UJ

rzeźby, wieże i okna. Ma świetną, dojrzałą, doskonałą technicznie kreskę. Pod jego ostrym ołówkiem architektura ożywa. Nie jest mu przy tym obca dokładność historyka. Profesor Łuszczkiewicz puchnie z dumy: Stanisław notuje na marginesach liczbę schodów i przepisuje litery z potrzaskanych nagrobków. I nigdy nie ma dość. Po powrocie z wielokilometrowych pieszych wędrówek łapie szkicownik i znów rysuje. Wspina się na wieże i dzwonnice. Sędziwy profesor, któremu zdrowie nie pozwala na takie ekscesy, z zaufaniem polega na oczach i rysunkach młodego ucznia.

Kiedy 4 sierpnia wycieczka wreszcie dociera do Binarowej, szkicownik Wyspiańskiego dosłownie pęka w szwach.

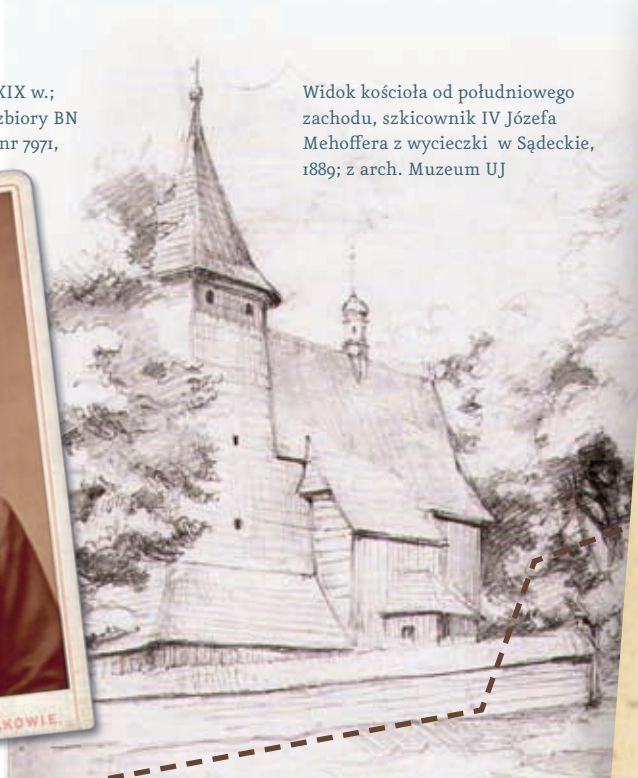
PAJĘCZYNA MIRONA BIAŁOSZEWSKIEGO

Binarowa leży na zachód od Biecza. W 1348 roku lokował ją Kazimierz Wielki. Już wtedy król kazał przeznaczyć jeden łan na utrzymanie kościoła. Pierwsza świątynia nie zachowała się. Ta, przed którą 4 sierpnia 1889 roku stają uczniowie Łuszczkiewicza, pochodzi z około 1500 roku. Profesor i młodzieńcy patrzą na kwadratową nawę i węższe od niej prezbiterium, nakryte wspólnym gontowym dachem. Drewniana wieża z końca XVI wieku

Stanisław Tomkowicz, l. 80. XIX w.;
fot. z pracowni A. Szuberta, zbiory BN
PAU i PAN w Krakowie, teka nr 7971,
domena publiczna



Widok kościoła od południowego
zachodu, szkicownik IV Józefa
Mehoffera z wycieczki w Sądeckie,
1889; z arch. Muzeum UJ



godzi w pogodne sierpniowe niebo szpiczastym szczytem. Do kościoła przylega dobudowana w połowie XVII wieku kaplica Aniołów Stróżów. Gont na dachach musi być w kiepskim stanie, ale w zgrabnej sylwecie świątyni jest coś, co budzi zachwyt.

Uczestnicy tej wyprawy mają szczęście. Widzą kościół może podniszczony, ale wciąż piękny i nietknięty. Dzieci lat później rada parafialna wymieni zniszczony gont na blachę falistą, a do wnętrza nawy wstawi filary, które pomogą utrzymać zwiększony ciężar sklepienia. Tadeusz Szydłowski, konserwator, który będzie tu w 1922 roku, z niesmakiem zauważy, że ściany oszalowano deskami w „przykrym” żółtym kolorze. Zewnętrzny wygląd kościoła nie będzie już wtedy zachęcał do zatrzymywania się i wyjmowania szkicowników. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych XX wieku renowacja przywróci świątyni zapomniane piękno. W 2003 roku, w uznaniu urody i wartości odrestaurowanego kościoła, eksperci wpiszą go na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego UNESCO.

Ale tego sierpniowego dnia 1889 roku nic jeszcze nie zapowiada tych wydarzeń. Stanisław Wyspiański bez wahania wyciąga z chlebaka notes i szuka w nim wolnego miejsca.



Jeszcze nie wie, że to dopiero początek cudów.

Drewniane drzwi jodłowego kościoła otwierają się ze zgrzytem – „cichuskim i lekkuśkim” – a oczom wędrowców ukazuje się to, czego nie zdoła przekazać nawet ołówek Wyspiańskiego i co wiele lat później Miron Białoszewski określi mianem: „pajęczyna kolorów”.

Wnętrze binarowskiej świątyni pokrywa przykurzona, lecz piękna polichromia.

Wzdłuż sufitu – „pułapu kwiecistego” – w czerni, bieli, czerwieni, zieleni, błękicie i brązie wiją się stylizowane owoce granatu, wici roślinne i ornamenty. Te najstarsze, do dziś nienaruszone malowidła pochodzą z XVI wieku.

Na ścianach prezbiterium, niczym w barokowym komiksie, widnieje dwadzieścia jeden scen Męki Pańskiej. W nawie życiodajna krew Chrystusa wypływa z „Tłoczni mistycznej”, człowiek staje na „Rozdrożach żywota ludzkiego”, a św. Paweł jest kamienowany. Kościotrup z kosą czeka na umierającego, Nagła Śmierć przeszywa strzałą bogatego bankiera, Kościół triumfuje, kłaniają się pastere... Chrystus przybywa na Sąd Ostateczny: „po lewej ręce zbawieni, po prawej potępieni, a wszyscy przyprószeni”. A w kaplicy Aniołów Stróżów wąsate chóry anielskie śpiewają *sanctus*.

Uczniowie Łuszczkiewicza błądzą po kościele oszołomieni. Czy w sierpniowym, letnim świetle, które wpada przez okna, dobrze widzą spłowiałe, przyprószone kurzem malowidła? Czy wiedzą, że wykonanie części z nich zlecił najprawdopodobniej siedemnastowieczny proboszcz Binarowej Bartłomiej Zagrodzki, a kolejne – jego następ-



cy? Czy rozumieją, po co? Może stary profesor, który tak kocha historię, tłumaczy im, że w okolicach Biecza roilo się wówczas od arian i że ksiądz Zagrodzki żywo zaangażował się w ruch kontrreformacji. Że wiedział, iż „co pismo czytającym, to prostaczkom patrzącym daje malowanie”, i dlatego postanowił ściany swojego kościółka uczynić narzędziem walki o dusze.

Narzędziem tak pięknym, że nawet zblakłe i zakurzone wiele lat potem zachwyca uczniów profesora oraz (jeszcze wiek później) poetę Mirona Białoszewskiego.

ZASÓB STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO

Kiedy już otrząśnie się z oszołomienia i uwolni spod czaru, Wyspiański bierze się do szkicowania. Rysuje ogólny widok jodłowego kościółka. Nie kopiuje malowideł. Może są zbyt zblakłe? A może Stanisław wie, że nie zdoła w szarościach ołówka oddać „pajęczyny kolorów”? Koncentruje się na detalach. Portretuje drewniany zydeł i część jego zdobień. Rysuje kropielnicę i przypominającą gotycki kielich kamienną chrzcielnicę z 1522 roku. W szkicowniku ma już prawie trzydzieści takich chrzcielnic. Kolekcjonuje je dla profesora, który teraz przechadza się po kościele, kontemplując to, co w nim najstarsze (profesor nie znosi baroku i jego obecność uważa za „zeszpecenie”). Niewykluczone, że profesor zatrzymuje się przed feretronem z figurą Marii z Dzieciątkiem. Dziwna rzeźba nosi ślady przeróbek – ktoś najwyraźniej dorobił jej nakryte płaszczem plecy, ale wprawne oko badacza starożytności dostrzeże w twarzy i postaci Madonny okrucieństwo gotyckiego piękna. Ma rację: w latach dziewięćdziesiątych XX wieku konserwatorzy odejmą Matce Bożej „garb” i odkryją, że w istocie jest czternastowieczną rzeźbą przyścienną. Wraz z równie starymi płaskorzeźbami świętych dziewic Doroty, Małgorzaty, Katarzyny i Barbary wkomponują ją w ołtarz, który stanie przy północnej ścianie nawy.

Na pewno profesor zatrzymuje się też przy głównym ołtarzu. Siedemnastowieczna konstrukcja raczej nie budzi jego uznania, ale doceni piękno kolejnej gotyckiej Madonny...

ŁZY MISTRZA MATEJKI

Nie wiadomo, jak długo profesor i jego uczniowie błądzą po jodłowym kościółku. W ciągu najbliższych dni wybiorą się jeszcze do Libuszy, Grybowa, Wilczysk i Ropy. Potem rozdzielią się. Profesor Łuszczkiewicz zanotuje, że tylko część uczniów pojechała do „Sękowy”. Ta część to niestrudzony Wyspiański i jego przyjaciel Mehoffer. Profesorowi, który także zostaje w sądeckiej bazie, przywożą wiadomości i rysunki.

Dwójka przyjaciół zostaje w Beskidzie dłużej. Bada zabytki Korzennej, Lipnicy, Ptaszkowej i Królowej Ruskiej. W Krużlowej odkrywają słynną Piękną Madonnę. Sam Wyspiański ma wystarczająco wiele zapału, by jechać jeszcze do Tarnowa. „Bogaty ztamtąd przywiózł zasób rysunków” – pisemnie pochwali go profesor.

Ten zasób to kilkaset ołówkowych szkiców kościołów, ołtarzy, domów, rzeźb i chrzcielnic. Stujednostronicowy szkicownik wypełnia teraz bogactwo zabytków Beskidu. Niezwykły, rysowany dziennik podróży.

Któregoś dnia Stanisław Wyspiański pokaże ten szkicownik dyrektorowi Szkoły Sztuk Pięknych – Janowi Matejce. Stary surowy mistrz roztkliwi się na moment. Serdecznie uściska ulubionego ucznia. Wybacz mu buntowniczą naturę. – Ja, Stasiu, taką samą szedłem drogą i przeszłość była mi ukochaniem – powie, ocierając łzy wzruszenia. Na chwilę odzyska wiarę, że doczeka spadkobiercy dla swojej idei i stylu.

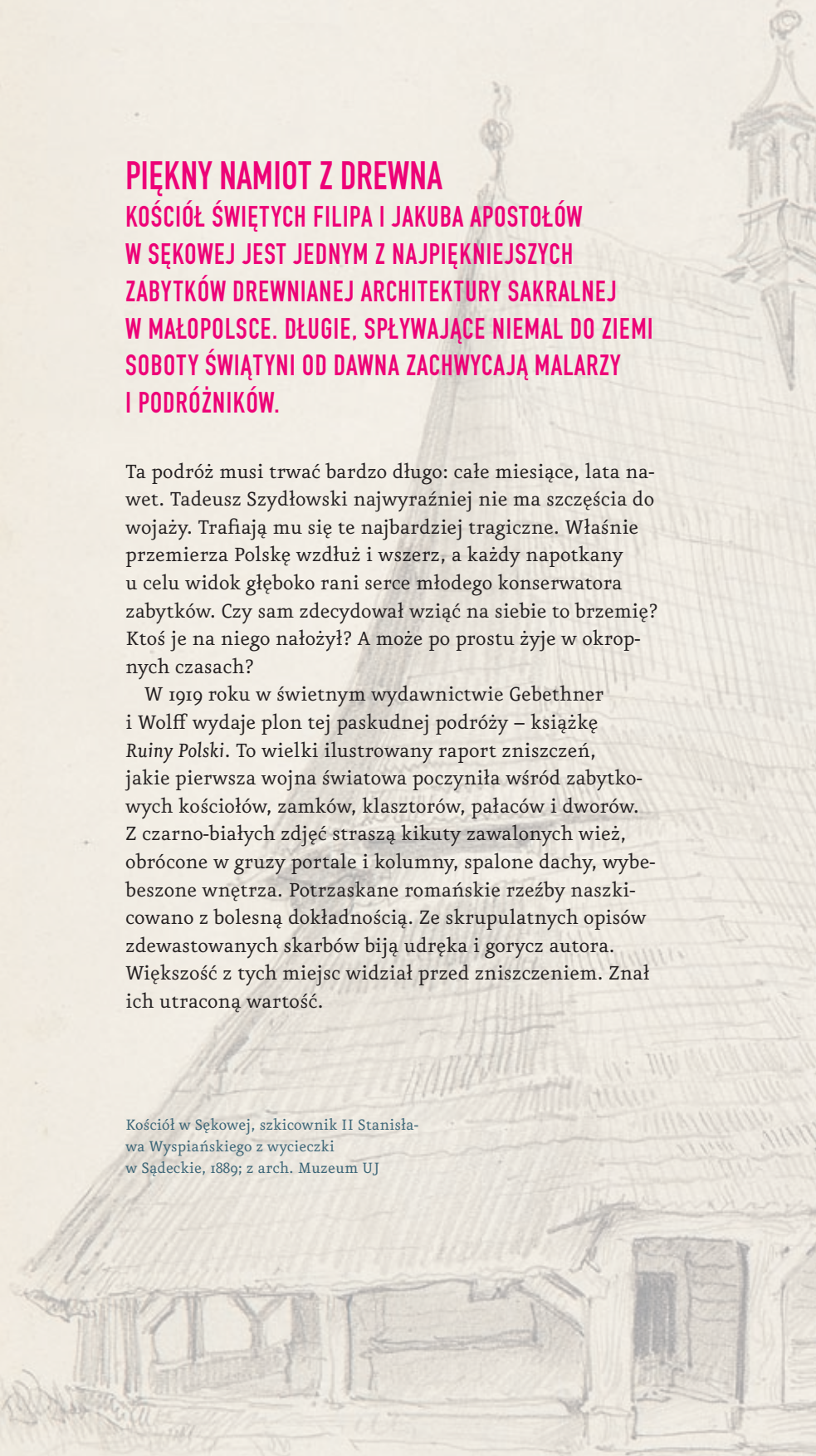
Ale będzie to płonna nadzieja.

Już wkrótce Stanisław wyjedzie do Paryża. Pozna tam inne mody, spotka innych mistrzów. Wróci odmieniony. Kolekcja pastelów, jaką po powrocie wystawi w Sukiennicach, zasmuci sędziwego profesora Łuszczkiewicza. Profesor, który wciąż przebiega wsie i pagóry w poszukiwaniu pereł dawnej sztuki, machnie ręką i orzeknie, że Staszek zmarnował swój talent.

Te same pastele spodobały się za to młodemu lekarzowi Julianowi Nowakowi.

Ale to już zupełnie inna historia.





PIĘKNY NAMIOT Z DREWNA KOŚCIÓŁ ŚWIĘTYCH FILIPA I JAKUBA APOSTOŁÓW W SĘKOWEJ JEST JEDNYM Z NAJPIĘKNIEJSZYCH ZABYTKÓW DREWNIANEJ ARCHITEKTURY SAKRALNEJ W MAŁOPOLSCE. DŁUGIE, SPŁYWAJĄCE NIEMAL DO ZIEMI SOBOTY ŚWIĄTYNI OD DAWNA ZACHWYCAJĄ MALARZY I PODRÓŻNIKÓW.

Ta podróż musi trwać bardzo długo: całe miesiące, lata nawet. Tadeusz Szydlowski najwyraźniej nie ma szczęścia do wojaży. Trafiają mu się te najbardziej tragiczne. Właśnie przemierza Polskę wzdłuż i wszerz, a każdy napotkany u celu widok głęboko rani serce młodego konserwatora zabytków. Czy sam zdecydował wziąć na siebie to brzemień? Ktoś je na niego nałożył? A może po prostu żyje w okropnych czasach?

W 1919 roku w świetnym wydawnictwie Gebethner i Wolff wydaje plon tej paskudnej podróży – książkę *Ruiny Polski*. To wielki ilustrowany raport zniszczeń, jakie pierwsza wojna światowa poczyniła wśród zabytkowych kościołów, zamków, klasztorów, pałaców i dworów. Z czarno-białych zdjęć straszą kikuty zawalonych wież, obrócone w gruzy portale i kolumny, spalone dachy, wybebeszone wnętrza. Potrzaskane romańskie rzeźby naszkicowano z bolesną dokładnością. Ze skrupulatnych opisów zdewastowanych skarbów biją udręka i gorycz autora. Większość z tych miejsc widział przed zniszczeniem. Znał ich utraconą wartość.

Kościół w Sękowej, szkicownik II Stanisława Wyspiańskiego z wycieczki w Sądeckie, 1889; z arch. Muzeum UJ

Wśród tej powodzi ruin i zgliszczy chyba najbardziej zabolął go upadek pewnego niewielkiego budynku, jednej z najpiękniejszych drewnianych świątyni Małopolski – modrzewiowego kościoła pod wezwaniem świętych Filipa i Jakuba Apostołów w Sękowej.

NAMIOT

Tadeusz Szydlowski znał Sękową jeszcze sprzed wojny. Modrzewiowa świątynia słynęła wówczas z urody: malowali ją Teodor Axentowicz, Józef Mehoffer i Włodzimierz Tetmajer, opisywał znany badacz starożytności Władysław Łuszczkiewicz. Smukła sylweta, podkreślona opadającymi niemal do ziemi podcieniami, była uważana za sztandarowy przykład piękna architektury drewnianej Małopolski. „Z pośród majestatycznych topól rosnących nad rzeczką, wyłaniała się tam budowla niezmiernie interesująca, która z daleka zdawała się wcale nie mieć ścian, a być tylko rozpiętym namiotem z dachów” – opisał ją Szydlowski. Był to opis niezwykle udany. Takie właśnie słowa cisną się na usta, kiedy patrzy się na szkic, który latem 1889 roku zrobił w Sękowej dwudziestoletni uczeń Szkoły Sztuk Pięknych Stanisław Wyspiański.

Widać na nim namiot. Namiot z dachów.

Pokryte gontem płaszczyzny niczym namiotowe płótno spływają stromo w dół. Niemal łączą się z sobotami, które sięgają prawie samej ziemi. „Dopiero zbliżając się, dostrzegało się niskie ściany w głębi podcieni, obiegających kościół dookoła, a przez pomieszczoną w wieży kruchtę dochodziło się do wnętrza, budzącego osobliwy nastrój. Odczuwało się w nim przedziwny urok polskiego wiejskiego kościółka. Niewielką przestrzeń wypełniały ambona i chór organowy. Sprzęty te uderzały bujnością ornamentacji, lśniły jaskrawością złocen i barw” – pamiętał Szydlowski.

Ale tego dnia, kiedy pojawił się w Sękowej, z bolącym sercem zbierając materiał do *Ruin Polski*, zobaczył coś zupełnie innego.

Piękny drewniany kościół przypominał na wpół rozebrany kurnik.

Zniknęły spływające do ziemi soboty. Z pokrytej gontem i deskami wieży, która pod kopulastym hełmem gościła dzwon z 1540 roku, zostały pionowe słupy i kikut ośmiorobocznej latarenki. Z dachu – słynnego wysokiego sękowskiego dachu – sterczały nierówne, poszarpane deski, upodabniając konstrukcję do rozpadającego się szałasu albo żerdzi do suszenia liści tytoniu...

Szydłowski wiedział, co się tu stało. „Wojna nie uszanowała tej cennej pamiątki” – napisał z goryczą.

PAMIĄTKA

„Cenna pamiątka” powstała około 1520 roku. Prawdopodobnie zastąpiła starszy kościół. Sama Sękowa istniała przynajmniej od 1363 roku – wówczas król Kazimierz Wielki zezwolił Niemcowi Niklowi na założenie wsi w tzw. Sękowym Lesie. Od samego początku jeden z łańcuchów osady – słynącej z tkalni i później papierni – przeznaczony był na utrzymanie parafii.

Modrzewiowe ściany kościoła wzniesli świetni cieśle. Długie, ręcznie ociosane bierwiona kładli jedno na drugim, łącząc je na rogach „na zamek” specjalnymi nacięciami. Do kwadratowej nawy głównej dołączyli węższe prezbiterium. Jak we wszystkich świątyniach tej epoki jego trójboczne zamknięcie skierowali wprost na wschód. Całość przykryli wspólnym, wysokim, bardzo stromym, dwuspadowym dachem, który od stropu do szczytu mierzył aż ponad osiem i pół metra.

Jednak to, co miało stanowić o wyjątkowości sękowskiego kościoła – wieża i soboty – powstało dopiero w XVIII wieku.

Wieża, którą wówczas zbudowano, była niska. Nie strzelała w niebo jak w niedalekiej Binarowej. Potężne słupy, na których się wsparła, ustawiono prawie pionowo, połączono skośnymi „krzyżami św. Andrzeja” i nakryto kopulastym hełmem z latarnią. Z daleka wydawało się, że nie przewyższa nawet siedemnastowiecznej wieży z sygnaturką na dachu kościoła. Równocześnie z wieżą powstały wysokie, strome soboty, które upodobiły kościół do wielkiego, drewnianego namiotu.

Po osiemnastowiecznej przebudowie sękowska świątynia stała się dziełem skończonym. I skończenie pięknym. Malowali ją wybitni artyści, opisywali znani badacze starożytności, szkicowali ich zdolni uczniowie...

W 1886 roku we wsi powstał nowy, murowany kościół. Przeniesiono do niego parafię. Modrzewiowa świątynia została na uboczu, nad brzegiem potoku Sękówka, w kręgu coraz wyższych lip i topól. Nie zapomniano o niej jednak. Szanowano ją i kochano, trwała więc, zadbana i piękna, aż w zieloną ciszę Beskidu wdarła się wielka polityka i jeszcze większa wojna.

Kościół w Sękowej;
fot. M. Klag, z arch. MIK (2006)



OKOP

Zimą na przełomie 1914 i 1915 roku Sękowa stała się areną konfliktu między światowymi potęgami. Front przebiegał tuż koło kościołka. Jeden z oddziałów wojsk austro-węgierskich postanowił okopać się właśnie tutaj. „Za najspсобniejszy materiał do budowy rowów i schronisk strzeleckich uznano deski i gonty ze ścian i dachów kościołka i wzięto się do ich rozbiórki” – zapisał potem Tadeusz Szydłowski.

Zachowanie żołnierzy najwyraźniej zszokowało młodego konserwatora zabytków. Przywykł do wież i fasad, obalonych ostrzałem artyleryjskim i do spalonych pożarami dachów. Wiedział, że wojna nie szanuje sztuki. Ale rozmyślna i bezlitosna dewastacja, jaka zimą 1914–1915 roku spotkała Sękową, mocno nadszarpnęła jego wiarę w człowieka. Nie mógł uwierzyć, że dopuścili się jej kulturalni i wykształceni poddani CK monarchy.

Ale taka była prawda. Cesarsko-królewscy żołnierze rozebrali podcienia i zakrystię. Drewnem z szalunku dzwonnicy i pokrycia nawy umocnili błotniste okopy. Gontem z podcieni i polichromowanymi deskami z wewnątrz świątyni palili w obozowych ogniskach. To, czego nie zdołali wykorzystać, zniszczyli w bezmyślnym szale: rozbili późnorenesansowe, kipiące od złocień ołtarze, potłukli cenne sprzęty, podarli haftowane chorągwie i paramenty, przewrócili i wyszczerbili nawet ciężką, kamienną, gotycką chrzcielnicę z 1522 roku.

Kościół zniknął przy nich stopniowo, rozbierany deska po desce, i pewnie znikłby zupełnie, gdyby na początku maja 1915 roku tryby wielkiej maszyny wojennej nie zgrzytnęły ponownie, nie ruszyły i nie posłały żołnierzy dalej ku chwale cesarza.

Zdewastowany kościół w Sękowej,
1915; fot. R. Reinfuss, „Wierchy” 1935

W tle: portal wejściowy do kościoła
w Sękowej; fot. J. Nowostawska-
Gyalólkay, z arch. MIK (2012)



MEDAL

Zadanie, które po wojnie wziął na swoje barki Tadeusz Szydłowski, było wyjątkowo trudne. Pojechał oglądać i inwentaryzować ruiny Polski.

Widok ruin kościoła w Sękowej zabolął go okrutnie. Świątynia była drewniana, a Tadeusz Szydłowski wiedział, że w Polsce nigdy dotąd nie odbudowano żadnego drewnianego kościoła.

Ten z Sękowej miał być pierwszy.

Szydłowski sam kierował restauracją, która zaczęła się już w 1918 roku. Ze starannością graniczącą z czułością młody, lecz bardzo już doświadczony konserwator dopilnował odtworzenia zakrysty, niezwykłych podcieni i krępej wieży. Zlecił uzupełnienie gontu na dachach, podźwignięcie gotyckiej chrzcielnicy i zakonserwowanie zachowanych fragmentów polichromii. Zdecydował nie odbudowywać znajdującej się kiedyś pod wieżą kruchty. Zostawił tam otwartą przestrzeń. Idąc ku głównemu wejściu do kościoła, wystarczyło odtąd stanąć i zadrzeć głowę do góry, by zobaczyć nad sobą płataninę wątych naraz belek, na których kiedyś się trzymało olbrzymie, szare cielsko dzwonu...

Zdewastowany kościół w Sękowej; wyd. 1916, nakład W. Spiro, Tarnów, druk H.P.W nr 204, z arch. S. Dziadzia



Kościół w Sękowej, 1915; wyd. 1929, z arch. S. Dziadzia

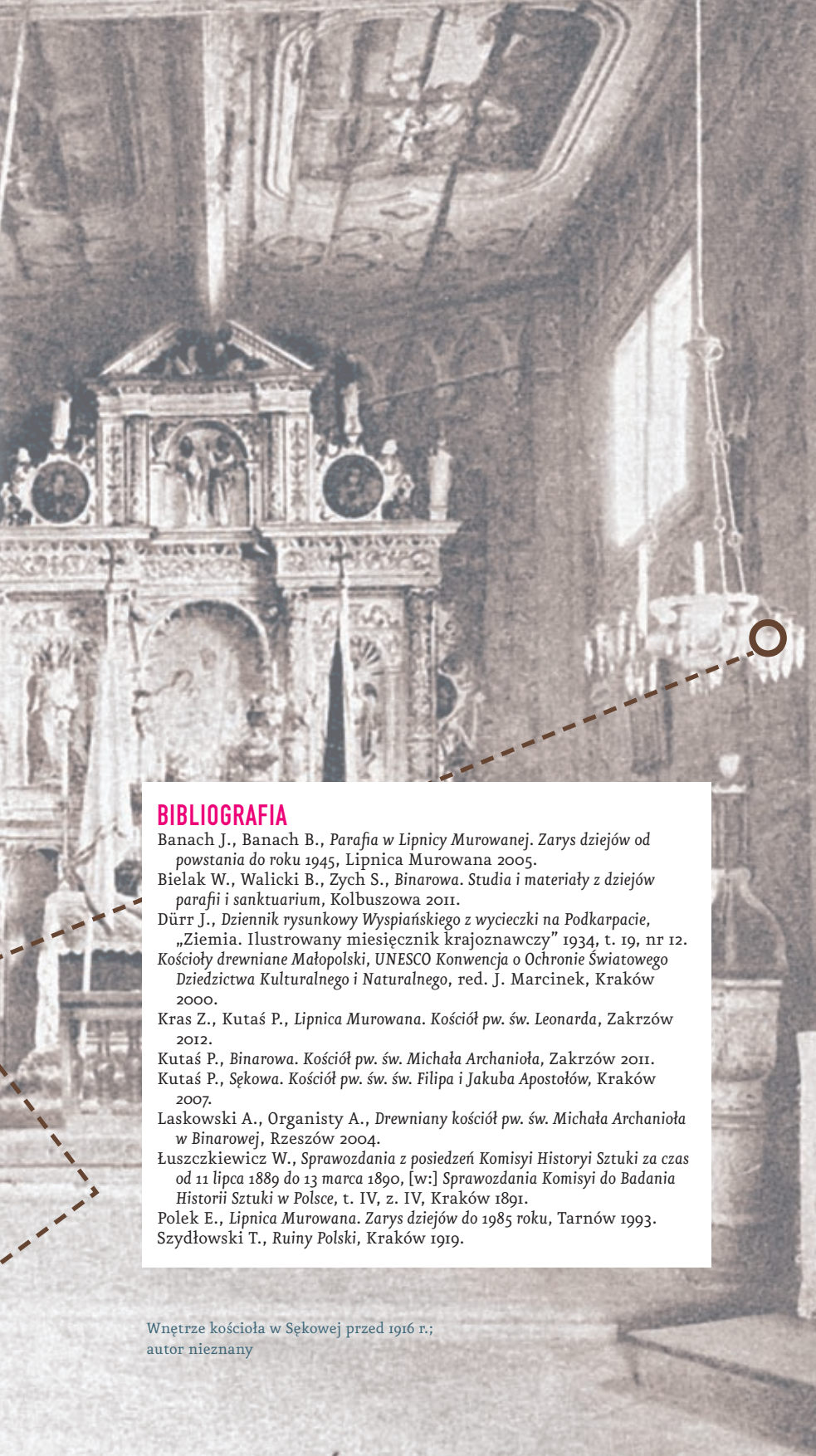


Szydłowski nie zdołał ocalić zdewastowanego wyposażenia świątyni: ambony ani trzech ołtarzy z szesnastowiecznymi obrazami. Dopiero w latach 1948–1949, już po jego śmierci, udało się zrekonstruować późnorenansowy ołtarz z wizerunkami świętych Mikołaja, Benedykta i Antoniego, który niegdyś uderzył go „bujnością ornamentacji, [...] jaskrawością złocen i barw”.

Szydłowski doczekał się w Sękowej świetnych następców – zwłaszcza w osobie księdza prałata Stanisława Dziezdica. Wzorowo przeprowadzone prace konserwatorskie i troskliwa opieka księdza zaowocowały uhonorowaniem zabytku w Sękowej najbardziej prestiżową z europejskich nagród w dziedzinie ochrony dziedzictwa kulturowego – Europa Nostra Award. W 2003 roku modrzewiowy kościół świętych Filipa i Jakuba Apostołów trafił na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego UNESCO.

I znów, jak kiedyś, gdy przyjedzie się do Sękowej, spośród jeszcze wyższych topól nad rzeczką wyłania się niezmiernie interesująca budowla. Z daleka zdaje się nie mieć ścian, a być tylko rozpiętym namiotem z dachów...





BIBLIOGRAFIA

- Banach J., Banach B., *Parafia w Lipnicy Murowanej. Zarys dziejów od powstania do roku 1945*, Lipnica Murowana 2005.
- Bielak W., Walicki B., Zych S., Binarowa. *Studia i materiały z dziejów parafii i sanktuarium*, Kolbuszowa 2011.
- Dürr J., *Dziennik rysunkowy Wyspiańskiego z wycieczki na Podkarpacie*, „Ziemia. Ilustrowany miesięcznik krajoznawczy” 1934, t. 19, nr 12.
- Kościół drewniane Małopolski, UNESCO Konwencja o Ochronie Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Naturalnego, red. J. Marcinek, Kraków 2000.
- Kras Z., Kutaś P., *Lipnica Murowana. Kościół pw. św. Leonarda*, Zakrzów 2012.
- Kutaś P., Binarowa. *Kościół pw. św. Michała Archaniota*, Zakrzów 2011.
- Kutaś P., Sękowa. *Kościół pw. św. św. Filipa i Jakuba Apostołów*, Kraków 2007.
- Laskowski A., Organisty A., *Drewniany kościół pw. św. Michała Archaniota w Binarowej*, Rzeszów 2004.
- Łuszczkiewicz W., *Sprawozdania z posiedzeń Komisji Historii Sztuki za czas od 11 lipca 1889 do 13 marca 1890*, [w:] *Sprawozdania Komisji do Badania Historii Sztuki w Polsce*, t. IV, z. IV, Kraków 1891.
- Polek E., *Lipnica Murowana. Zarys dziejów do 1985 roku*, Tarnów 1993.
- Szydlowski T., *Ruiny Polski*, Kraków 1919.

Wnętrze kościoła w Sękowej przed 1916 r.;
autor nieznany

SZLAK MŁODOPOLSKA MAŁOPOLSKA

Szlak Młodopolska Małopolska prowadzi przez miejsca związane z epoką Młodej Polski.

Wybrane obiekty na szlaku Młodopolska Małopolska

- w Krakowie:

Kościół na Skałce (ul. Skałeczna 15),

Dom Towarzystwa Lekarskiego (ul. Radziwiłłowska 4)

– możliwość zwiedzania budynku po wcześniejszym uzgodnieniu,

Teatr im. Juliusza Słowackiego (pl. św. Ducha 1) – możliwość zwiedzania z przewodnikiem,

Kościół pw. św. Krzyża (ul. św. Krzyża 23),

Kawiarnia „Jama Michalika” (ul. Floriańska 45),

Bazylika Mariacka (Rynek Główny),

Kawiarnia Noworolski (Rynek Główny 1, Sukiennice),

Kościół oo. Franciszkanów (pl. Wszystkich Świętych 5),

Dom Długosza (ul. Kanonicza 25) – nie jest udostępniony do zwiedzania,

Collegium Maius (ul. Jagiellońska 15) – Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego,

Pałac Sztuki (pl. Szczepański 4),

Dom Józefa Mehoffera (ul. Krupnicza 26) – oddział Muzeum Narodowego w Krakowie,

Muzeum Stanisława Wyspiańskiego (pl. Szczepański 9) – Kamienica Szołayskich – oddział Muzeum Narodowego w Krakowie,

Akademia Sztuk Pięknych (pl. J. Matejki 13),

Muzeum „Rydlówka” (ul. W. Tetmajera 28),

- w Zakopanem

Muzeum Jana Kasprowicza na Harendzie (Harenda 12a),

- w Porębie Wielkiej

Muzeum „Orkanówka” (Poręba Wielka 109).

Szlak jest trasą wirtualną (bez oznaczeń) oraz nielinearną (nie ma jednej, stałej, wyznaczonej trasy zwiedzania).

Przewodnik po szlaku Młodopolska Małopolska w języku polskim i angielskim do pobrania na stronie Małopolskiej Organizacji Turystycznej: www.mot.krakow.pl w zakładce: Działalność.

KRAKOWSKI SZLAK TECHNIKI

Krakowski Szlak Techniki to trasa spacerowa prezentująca zabytki industrialne związane z różnymi gałęziami przemysłu: koleją, browarnictwem, energetyką, transportem oraz infrastrukturą drogową i rzeczną.

Obiekty:

Dworzec Główny – stacja kolejowa (pl. J. Nowaka-Jeziorańskiego 3),

Browar rodziny Goetzów – obiekt w trakcie modernizacji,

Podkop Talowskiego i wiadukt kolejowy przy ul. Lubicz,

Elektrownia Teatru Miejskiego (pl. św. Ducha 1) – obecnie Scena Miniatura Teatru im. J. Słowackiego,

Kuźnia Zieleniewskich (ul. św. Krzyża 16) – obiekt w trakcie remontu,

Strażnica pożarnicza (ul. Westerplatte 19),

Wiadukt kolejowy nad ul. Grzegorzeczką,

Przepust drogowy pod linią kolejową przy ul. Miodowej,

Elektrownia krakowska (ul. Dajwór 27),

Zajezdnia tramwajowa (ul. św. Wawrzyńca 15) – obecnie Muzeum Inżynierii Miejskiej w Krakowie,

Gazownia krakowska (ul. Gazowa 12–16),

Przyczółki mostu Podgórskiego,

Most Piłsudskiego,

Bulwary wiślane,

Elektrownia Miejska w Podgórzu (ul. Nadwiślańska 4)

– obiekt w trakcie modernizacji,

Fabryka Emalia Oskara Schindlera (ul. Lipowa 4)

– obecnie oddział Muzeum Historycznego Miasta Krakowa.

Zabytki na szlaku są oznaczone tablicami – emblematami w kształcie zębatek. Na każdej z nich jest krótki opis danego obiektu.

Dla zwiedzających został opracowany przewodnik w dwóch wersjach językowych – polskiej i angielskiej – który można pobrać w formacie PDF ze strony Urzędu Miasta Krakowa: www.krakow.pl

SZLAK MAŁOPOLSKA ROMAŃSKA

Szlak Małopolska Romańska prowadzi przez małopolskie zabytki architektury sakralnej.

Obiekty:

Czchów (pow. brzeski) – **kościół pw. Narodzenia NMP,**

Dziedkanowice (pow. myślenicki) – **kościół pw. św. Marii Magdaleny i św. Mikołaja,**

Kościelec (pow. proszowicki) – **kościół pw. św. Wojciecha,**
Kraków:

bazylika Mariacka (Rynek Główny),

kościół pw. św. Wojciecha (Rynek Główny),

kościół pw. św. Andrzeja Apostoła (ul. Grodzka 54),

kościół pw. św. Marii Magdaleny (pl. Marii Magdaleny) – nieistniejący,

katedra pw. św. Stanisława i św. Wacława (Wawel 3),

kościół ss. Norbertanek w Krakowie (ul. T. Kościuszki 88),

kościół pw. Najświętszego Salwatora (ul. św. Bronisławy 9),

opactwo oo. Benedyktynów w Tyńcu (ul. Benedyktyńska 37),

kościół pw. św. Benedykta w Krakowie (Wzgórze Lasoty) – kościół otwierany tylko 21 marca (św. Benedykta) oraz w pierwszy wtorek po Wielkanocy,

opactwo oo. Cystersów w Mogile (ul. Klasztorna 11),

Luborzycza (pow. krakowski) – **kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego,**

Miechów (pow. miechowski) – **kościół pw. św. Jakuba i Grobu Pańskiego,**

Prandocin (pow. krakowski) – **kościół pw. św. Jana Chrzciciela,**

Tropie (pow. nowosądecki) – **kościół pw. św. św. Świerada i Benedykta – pustelnika,**

Wysocice (pow. miechowski) – **kościół pw. św. Mikołaja.**

Zabytki na szlaku nie są oznaczone tablicami. Oficjalna strona szlaku: www.malopolskaromanska.pl

SZLAK DWORY MAŁOPOLSKI

Szlak Dwory Małopolski to trasa prezentująca ponad 350 dworów, pałaców i willi w województwie małopolskim.

Wybrane obiekty znajdujące się na szlaku Dwory Małopolski:

- na terenie gminy Krzeszowice:

Pałac Potockich w Krzeszowicach – nie jest udostępniony do zwiedzania,

Willi w Nawojowej Górze – częściowo udostępniona do zwiedzania, po wcześniejszym uzgodnieniu,

Ruiny dworu w Sance,

Dwór w Siedlcu – obecnie siedziba Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Duszy Chrystusa Pana,

- w powiecie chrzanowskim:

Dwór z Drogini w Nadwiślańskim Parku Etnograficznym w Wygiełzowie,

Pałac w Młoszowej – obecnie należący do Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach,

Pałac Starzeńskich w Płazie – siedziba Domu Pomocy Społecznej,

Ruiny pałacu w Porębie Żegoty,

- w gminie Wadowice:

Dwór Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym – siedziba muzeum poświęconego artyście,

Dwór w Kleczy Dolnej – w rękach prywatnych, nie jest udostępniony do zwiedzania,

Zespół dworsko-parkowy w Kleczy Górnej – w rękach prywatnych, nie jest udostępniony do zwiedzania,

Ruiny dworu w Rokowie,

Dwór Mikołaj w Wadowicach – obecnie mieści się w nim restauracja.

Szlak Dwory Małopolski to szlak wirtualny – bez oznaczeń w terenie, nie ma jednej, stałej wyznaczonej trasy zwiedzania.

Informacje dotyczące szlaku Dwory Małopolski można znaleźć na stronie internetowej: www.dworymalopolski.pl

MAŁOPOLSKA TRASA UNESCO

Małopolska Trasa UNESCO obejmuje zabytki wpisane na Listę Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego UNESCO w regionie, reprezentujące różnorodne fenomeny kultury i dziedzictwa Małopolski.

Obiekty:

Kraków – **historyczne centrum miasta wraz ze Starym Miastem, Wawelem, Kazimierzem, Stradomiem** – łącznie ok. 3 tys. zabytków architektury i wiele muzeów (wpis w 1978 r.),

Wieliczka – **zabytkowa kopalnia soli** (wpis w 1978 r.),
Kalwaria Zebrzydowska – **manierystyczny zespół architektoniczny i krajobrazowy oraz park pielgrzymkowy z XVII w.** (wpis w 1999 r.),

Auschwitz-Birkenau – **niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny i zagłady** (wpis w 1978 r.),
drewniane kościoły południowej Małopolski i Podkarpacia (wpis w 2003 r.) – sześć gotyckich kościołów o konstrukcji zrębowej prezentujących średniowieczną tradycję budowlaną, która w formie prawie niezmienionej przetrwała do dzisiaj:

Binarowa (pow. gorlicki) – **kościół pw. św. Michała Archaniola,**

Dębno Podhalańskie (pow. nowotarski) – **kościół pw. św. Michała Archaniola,**

Lipnica Murowana (pow. bocheński) – **kościół pw. św. Leonarda,**

Sękowa (pow. gorlicki) – **kościół pw. św. św. Filipa i Jakuba Apostołów,**

Blizne (woj. podkarpackie, pow. brzozowski) – **kościół pw. Wszystkich Świętych,**

Haczów (woj. podkarpackie, pow. brzozowski) – **kościół pw. Wniebowzięcia NMP.**

Małopolskie kościoły drewniane są również obiektami na Szlaku Architektury Drewnianej – największym szlaku turystyczno-kulturowym w Małopolsce.

Informacje o Małopolskiej Trasie UNESCO można znaleźć na stronie: www.visitmalopolska.pl



WIRTUALNE
MUZEA
MAŁOPOLSKI

Wejdź między muzea!

Już wkrótce pod adresem muzea.malopolska.pl spotkają się eksponaty wybrane z 35 muzeów. Dzięki trójwymiarowym modelom będzie można dokładnie obejrzeć to, co na co dzień jest ukryte. Powstający portal stanie się źródłem wiedzy o historii Małopolski, udowadniając, że muzea inspirują do poznawania świata i pozwalają zrozumieć jego złożoność.



Gdzie elektryczność tam też wygodę i czystość. Dobrze się



LICZY SIĘ ENERGIA.
Przyłącz się do nas.

